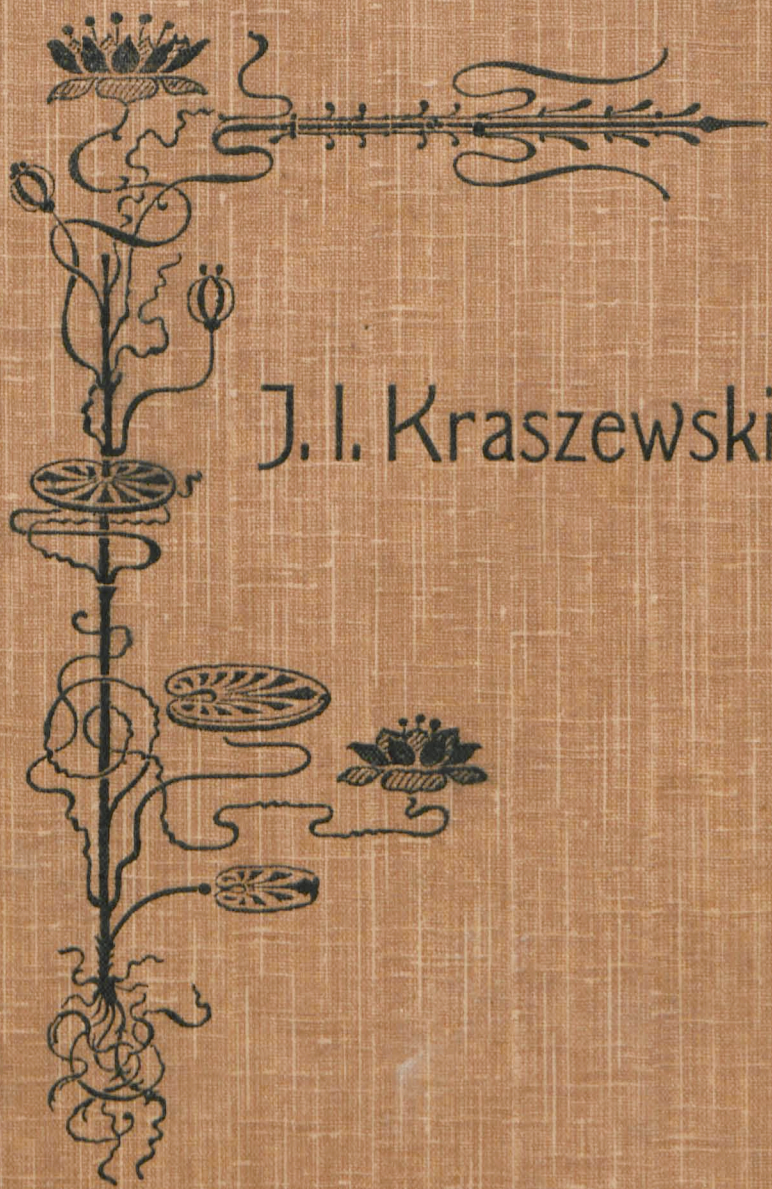




J. I. Kraszewski

STACH Z KONAR.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z CZASÓW KAŻMIERZA SPRAWIEDLIWEGO.

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM IV.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

Druk J. Jeżyńskiego, Daniłowiczowska 16.

—
1899.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 3 Июня 1899 года.



MV/M 276

I.

Lat kilka znowu upłynęło od opisanych wypadków, na skrzydłach swych jasnych i czarnych zmian nie przyniosły wiele.

Kaźmierz siedział jeszcze na Krakowie, choć czuć było nieustanne znowy i spiski, które go podkopywano. Mieszek, jak przepowiadano, nie mógł wytrwać spokojnym. Odkryte już były podstępne jego układy z Leszkiem chorym, którego dzielnicę spodziewał się zagarnąć z Władysławowiczami, wyzwaniem do spółki na Kaźmierza, obietnicami podziału spuścizny.

Nie żył już biskup Gedeon, który w silnych rękach trzymał wodze często wypadające z dłoni obojętnego Kaźmierza. Na miejscu jego, jak przewidywano, obranym był wychowaniec i spadkobierca myśli dziekan kapituły Pelka Lis, równie możny znaczeniem rodu swego, silnej woli, bystrego rozumu, prędkiego postanowienia, energii niezłomnej.

Pelka, jak większa część duchownych przeznaczonych do wyższych dostojęństw w kościele, wychowanie swe kończył w Rzymie, a los mu dał nawet być tam towarzyszem i przyjacielem tego, który na najwyższe biskupstwo rzymskie był obrany. Mąż to był mogący we wszystkim Gedkę zastąpić, a śmielszy jeszcze od niego.

Starzał powolnie Kaźmierz, ale się charakter jego nie zmieniał, występowały tylko z wiekiem dobitniej wszystkie jego jasne i przyciemnione strony, wielka miłość sprawiedliwości do ofiar gotowa, chciwość wiedzy nienasycona, szukająca pokarmu, gdziekolwiek znaleźć się go spodziewała, pobożność z mlekiem matki wyssana, a duchem wieku rozplomieniona, naostatek gorącej krwi piastowskiej porywy, które na gorycze życia pociech szukać kazały w zapomnieniu się u boku niewiast, w miłostkach pokątnych. Z tych co go dawniej otaczali stali jeszcze wszyscy niemal przy nim, bo Kaźmierz nie łatwo serce odmieniał, nie odtrącał druhów lekko starych, nie lubił nowych ludzi i twarzy. Przywiązywał się powoli, ale na długo i choć w blizkich sobie wady odkrywał, wołał ich z niemi, niż nowych, a nie znanych.

Jaksa, przyjaciel młodości służył mu dotąd wiernie, ale w dojrzałym wieku stawszy się pobożnym bardzo, choć jeszcze rycerską wkładał zbroję krzyżem naznaczoną, więcej już na mnicha, niż na rycerza wyglądał. Sercem i duszą cały był teraz w swym nowo założonym klasztorze mnichów Grobu Pańskiego, których osadził w Miechowie. Sprawy świata mniej go już obchodziły.

Jaksa, jakśmy mówili, z Henrykiem razem nieszczęśliwą drugą wyprawę krzyżową odbywał, z niej przywiózł Bożogrobców do swojego Miechowa; a że i Henryk także ich klasztor założył księciu Kaźmierzowi drogą była ta braterska i Jaksy fundacya, do której też się przyłożył. Nie zapominając o Cystrersach swoich, pomagał pobożnemu druhowi w jego świątobliwej pracy. Wszystkie te nowe fundacye na ziemi polskiej były jeszcze przesadzeniem roślin nie naszego nieba, nieprędko mających wydać owoce. Większa część mnichów składała się z cudzoziemców i obcemi tylko pomnażała. Niektóre klasztory wcale polaków nie przyjmowały. Były to więc odoosobnione ołtarze na chwałę Pańską wzniesione, lecz niewielkiego

pożytku dla ziemi. Wedle ówczesnych pojęć szło więcej o to, aby hymn chwały płynął ku niebiosom, niżeli światło szerzyło się po ziemi. To drugie było celem podrzędnym. Klasztory wychodziły później na korzyść cywilizacyi, niosły z sobą księgi, naukę, szkółki, wiele nawet kunsztów i rzemiosł, ogrodnictwo polepszenia rolnicze, nasiona; lecz w początkach z tem wszystkim stały, jak wyspy na morzu, z krajem mało mając związku.

Całe takie zgromadzenie Włoch, Francuzów, Kolończyków, które tylko swoich przyjmowały, potrzebowały lat długich nimby się z krajem zżyły, mogły począć nań działać i zawiązać z nim węzeł żywotny.

Lecz i to co mimowoli dawało takie *coenobium* przeniesione na ziemię naszą, drogiem było, ziarna z nich się sypały, rozsładniki w nich rosły. Sam widok kościołów, gmachów, samo ocieranie się o ludzi w nich pracujących nauczyły i cywilizowały. Jaksa równie często przebywał na dworze pańskim jak w Miechowie, gdzie często w chórze z Bożogrobcami, w refektarzu ich w kapitule zasiadał, kosztując błogiego spokoju mniszego życia. Z nim książę lubił rozprawiać o religijnem królestwa swego ubłogosławieniu. Cheiał wznosić kościoły, mnożyć monastera, kwozić relikwije, zaprowadzać nabożeństwa, a na granicach państwa tępić pogaństwo uparte w Prusach i Polesiu, gdy na Pomorzu sascy książęta już go uprzedzili.

Ostrzegano ciągle Kaźmierza o zamiarach Mieszka, któremu wiek nie odjął żądzy panowania. Stał przy nim zawsze jeszcze ów Kietlicz, chętny doradzca, sługa wierny, prawa ręką pana, nieustannie knujący spiski i podbudzający do jakichś nowych zamachów. Człowiek ten przy swej powierzchowności nieporządnej, mowie nieporządnej, pozorach nieokrzesania, miał zabiegliwość i przebiegłość niezmierną, którą lata zaostrzyły jeszcze. Rzucił się zuchwale na największe niebezpieczeństwa i umiał z nich wychodzić

cało. Wiedzieli o nim wtajemniczeni, że przebrany wciskał się aż do Krakowa, wślizgał do zamku nawet, zawiązywał tajemne z ziemianami stosunki. i na różne sposoby podszezuwać się starał przeciw Kaźmierzowi, którego miękkość i nieudolność wyśmiewał, a że ludzie łacniej zawsze zło niż dobro chwytają i wiarę mu dają, udawało mu się niechęci budzić przeciw dobremu księciu. Jawniej Kietlicz ukazywał się często w Płocku, Raciborzu, Wrocławiu, a choć tu głośno nie występował z niczem, pocichu do śmiałego zamachu namawiał, który według niego nieochybnie powieść się musiał.

Mieszek sam mało występował, na Kietlicza zdając starania, któremu też starszy z synów księcia Bolko, młodzian krwi gorącej, a niewielkiej rozwagi, dopomagał chętnie i dawał mu się rzucać i kierować kędy wskazał.

Do Krakowa kiedy niekiedy dochodziły o tem wieści. Donoszono Gedkowi, dopóki żył, o zabiegach Kietlicza, ostrzegał on Kaźmierza, ale ten niełatwo dawał wiarę złemu, przeciw bratu jątrzyć się nie dopuszczał, a otaczający ciąglemi strachami temi znuczeni, w końcu im ucha nie podawali.

Sam książę marszczył się i sposepniał, gdy mu przynoszono wiadomości, w których upatrywał tylko chęć poróżnienia go z bratem i zamącenia miłego mu pokoju. Zwracał natychmiast rozmowę do spraw innych, do ulubionych swych pogadanek o świecie, niebie, przyszłości i żywocie człowieka.

Trwały zawsze owe biesiady z uczonemi, do których należeli mistrz Wincenty, ze wszystkich księciu najmiłszy (temu zleconem było pisanie dziejów starych państwa), Pelka biskup krakowski, Cystersów kilku i benedyktynów z Tyńca, prałatów i kanoników kapituły. Karmiono Kaźmierza zbieranemi dlań zewsząd płodami żywo rozbudzającej się właśnie literatury średniowiecznej i pisarzami starożytnemi, z których ustępy czytano. Z tego się wywiązywały

długie sokratyczne rozmowy, dla których książę o wszystkim zapominał.

Bawili go też łowy niedające zniewieścieć i gnuśnieć, przypatrywanie się turniejom i gonitwom. Niekiedy znikał Kaźmierz wyrwijając się dworowi swojemu i szeptano, że czasem spędzał wieczory kędyś w zamkniętem dla wszystkich domostwie, do którego przystęp był trudniejszy, niż do klasztoru. Wchodził tam sam jeden, unikając oczów i wymykał się pod strażą jednego wiernego Smoka, który u drzwi jak pies był zwykł czatować.

Wichfried, choć łaski pańskiej nie stracił, nie był już tym, co dawniej powiernikiem serdecznym; Kaźmierz posługiwał się nim rzadko, a nie spowiadał mu wcale. Przyjmował go wesoło, lubił żartobliwe jego i płochę mowy, obdarzał hojnie, czasem ze słowem do kogo posyłał, lecz o sobie nie zwierzał się chętnie. Niemiec przez nałóg, lenistwo czy kunszt, jakim go usidlić umiała Dorota, pozostał jej wiernym. Stosunki jego z nią całe były osobliwe, gachem się czasem wydawał, przyjacielem się nazywał, a zazdrości nie miał wcale, patrząc obojętnie na ciżbę tych, których zawsze lekka niewiasta do zabawy sobie przyzywała.

Życie jej nie zmieniło się bynajmniej, oczekiwała ciągle, ale głowy nie posypując popiołem, strojąc ją chętniej w wianki, a zażywając dobrej myśli. Od wieczery tej, przy której Wichfried wygadał się przed nią z domysłem, iż dawna kochanka księcia w Krakowie znajdować się musiała, Dorota gorączkowo śledzić poczęła wszystkie Kaźmierza kroki. Długo się jej nie powodziło i nie schwycić nie mogła, lecz wdowa była uparta, nie szczędziła wydatku. przekupywała ludzi, wciskała się gdzie mogła, i w końcu doszła do czegoś... Stara pomocnica jej Czechna włóczyła się wszędzie, a najlepiej strzeżone tajemnice przed okiem bab uchować się nie mogą. Upewniła się więc Dorota, że książę miał inną kochankę, do-

myślała się już, że nią była ta pierwsza, z którą się uganiał po lasach. Przystęp do niej zdawał się niemożliwy. Jagna znikła ze swego dworku, w którym Stach tylko kiedy niekiedy przebywał. Niewiedzano gdzie się podziała, znacznie dopiero później wysłuchiła Dorota, że ją umieszczono w murowanym dworze, jak zameczysko obwarowanym wśród drzew ukrytym za Wisłą. Strzeżono go tak, że się tam nikt nie mógł dostać. Porankami i wieczorami wyjeżdżał ktoś ztąd na łowy w lasy, domyślano się w nim przebranie księcia ulubienicy.

Każmierz zajeżdżał do dworu czasu łowów i w różnych porach, gdy tylko zbiedz mógł niepostrzeżony. Dwór stał nieopodal za rzeką. Dorota pod różnemi pozorami dostać się tam próbowała, posyłała Czechnę, ale nie puszczano nikogo, usiłowania były próżne. Nie zaprzestała ich jednak Dorota, a oczom księcia ciągle narzucała się umyślnie. I w tem się jej niepowodziło.

Czasem Wichfried uwiadamy ją skrycie, gdzie i kiedy książę się miał znajdować; naówczas Dorota starała się tam weisnąć koniecznie i oczy zwrócić na siebie. Bodaj publicznie zaczepić.

Trafiło się kilkakroć, że na pozór celu swoje-go dopięła, książę widział ją strojną, piękną, powabną, mogącą namiętność rozbudzić, a jednak pozostał chłodnym i obojętnym. Dorota wracając potem do domu słaba ze złości, miotła się z rozpacz, przeklinała Kaźmierza, łajała Wichfrieda i czekała na zręczność nową.

Przy wielkich uroczystościach, na turniejach, na bożeństwach publicznych widzieć ją zawsze było można narzucającą się na oczy księciu, uśmiechającą, wdzięczną bezwstydnie; słaby Kaźmierz tej jednej pokusie zwycięzko się opierał. Raz udało się Dorocie w czasie gonitwy w podwórzu zamkowym tak się zwolna przysunąć, przecisnąwszy między widzami, iż prawie obok Kaźmierza stanęła. Przemówiła śmiało

do niego, uśmiechnął się książę, kilka słów obojętnych rzekł do niej i natychmiast chroniąc się od napaści z miejsca swojego się ruszył. Im dłużej to trwało, tem Dorota zjadlejszą się stawała.

Zamykała się godzinami całemi siedząc ze starą Czechną, warząc, dymiąc, przyprawiając jakieś czary, z których sobie napróżno skutek jakiś obiecywały. Tymczasem wdowa starych i młodych wciągała do swojego domu, bawiła się, a gdy który w nadziei wyposażenia przez księcia o rękę się zgłaszał, wyśmiewała go lub odkładała na te czasy, gdy zostanie starą babą. Sługa, przyjaciel, domownik Wichfried wisiał przy niej ciągle. Był to ostatni węzeł co ją z zamkiem łączył. Zrywać go nie chciała, a gdy niemiec obojętniał i długo się nie pokazywał, wszelkich środków używała, aby go odzyskać. Dwa razy Wichfriedowi trafiały się małżeństwa dobre, swatał go sam książę posażno, Dorota zawsze potrafiła zabiedz, przeszkodzić, odradzić, nieopuszczając mu się ożenić.

Do poufanych księcia domowników należał z Sandomirza wywieziony Goworek, ale ten mając sobie powierzone namiestnictwo w Sandomirzu i Lublinie, więcej tam siedział niż przy dworze. Ulubiony księżnie Helenie i panu, mąż prawy, silnego ducha, spokojny, na rodzinę nie podszezuwał, i myśli Kaźmierza poślubiał posłusznie. Dla Goworka nie miał książę tajemnic, przez niego żonę często trwożną uspokajał i łagodził, za opiekuna go też w myśli dzieciom przeznaczał.

Obok niego występował już naprzód coraz więcej zyskując władzy, gorętszy i przedsiębiorczego ducha Mikołaj Lis, brat biskupa Pełki, któremu już wielką moc i pierwsze dostojęństwo wrócono. Co brakło powolnemu Kaźmierzowi, on dopełniał rzutkością swoją, gorącością, przenikliwością i odwagą. Mąż był rycerskiego ducha, niecierpliwy trochę siebie pewny, woli upartej, bystrego oka. Gdzie trzeba było ziemian hamować, coraz z większymi występu-

jących żadaniami, podnoszących głowy bez miary — tam Mikołaj pana zastępował.

Za biskupa Gedki, rycerstwo krakowskie, możni ziemianie, któremi się posługiwano, zyskali przewagę wielką; próbowali jej teraz nadużywać. Mikołaj książęcej władzy bronił. Lada co, gdy się ziemianom nie podobało, tłumnie a z wrzawą szli na zamek domagać się, aby po ich woli szedł książę. Naówczas Mikołaj za niego występował, opór łamał, groził, rozpędzał i księciu dopiero się dał ukazać, gdy mu drogę przetrzebił.

Zyskał tem już wielu niechętnych, lecz że od czasów Gedki ziemianie nawykli byli skupiać się około biskupa, a brat Mikołaja właśnie obrany był pasterzem, przez niego i z nim umiał się Mikołaj utrzymać przy swem, nie dopuszczając, aby mu szkodzili nieprzyjaciele.

Stary Żyra postanowiony opiekunem chorego Leszka, wiekiem osłabły, mniej był czynny od czasu zwłaszcza, gdy dawszy się oszukać Mieszkowi, o mało Leszka, Mazowsza i Kujaw nie przekazał w ręce przebiegłego Kietlicza.

Śmierć biednego słabego wyrostka, położyła koniec tym knowaniom, nie zraziwszy Mieszka od poszukiwania nowych środków do zrzucenia brata ze stolicy, którą swoją mianował.

Stach, któremu uszła Jagna, bo ją ani śmiał, ani mógł wstrzymać, pozostał sam na straży jej dworku i ludzi. Ni pan, ni sługa, najczęściej gościem tu był tylko. Wynosząc się za Wisłę zakleła go, aby domu nie porzucił.

— Słuchaj — rzekła — stał się cud, pan mój mi serce powrócił, ale Bóg jeden wie na jak długo. Jagna starzeje. Dziś jutro wiedźma napojem, albo mi go inny jaki zły los odebrać może... Gdzież ja przyjdę umierać? Zachowaj dla mnie ten dach, ja do Ściborzyc powracać nie mogę. Ten duch ojca i matki i sześcicia mojego chodzi i tuli się po kątach, jabym tam

i umierać nie mogła spokojnie. Jutro mnie wygnąć mogą, jam jak palec jeden w świecie, sierota!

Gospodarz u mnie!

Gospodarstwo to było ladajakie; Stach zaglądał tylko, rozpytywał, a niczego dla siebie nie tknął. Swojem żył, dach tylko cudzy mając nad głową i czeladzi nie dając się rozpuścić.

Biskup Gedko, który do zgonu nim się posługiwał, wiedząc kogo mieć będzie następcą po sobie, tajemnicę Stacha i jego samego mu powierzył. Miał więc wstęp do Pełki taki, jak do poprzednika. Jemu powierzone było śledzenie spraw Kietlicza, wywiadywanie się o Mieszkowe stosunki w Płocku i Wrocławiu, on oznajmił pierwszy o podstępie, którym chciano opanować Leszkową dzielnicę, starego Żyrę okłamiawszy.

W ciągłych tych potajemnych włóczęgach, Stach nabrał do nich smaku, już mu ich niemal do życia było potrzeba. Gdy nie miał kogo śledzić, za czem jeździć, gdzie się podkładać; tęskno mu było, niepokoił się. Pozawiazywał różne stosunki w Poznaniu, Płocku, na Szlązku, w Gnieźnie, miał wszędzie swoich ludzi i, jak zwał, swe języki.

Trzeba było podsunąć się, aby naocznie przekonać się o skupiających siłach, dopytać co Mieszek mówił, za czem Kietlicz się uganiał, posyłano Stacha lub on sam się wyprawiał i nigdy nadaremnie nie wrócił. Oskarżano go czasem, że zbyt nią miał trwogę, lecz w końcu okazywało się zawsze, iż przepowiedział co się stać miało.

W Krakowie, po latach tylu nadaremnych usiłowań, już sobie te wieczne odgródki Mieszka lekceważono, ale Stach stał niezmordowany na czatach.

Życie prowadził, jak sam powiadał, pokutnicze, którego chwili dla siebie nie miał. Smutny chodził i zapracowany. Jagna, do której się przywiązał, przyczylnia się jeszcze do zatrucia go.

Dopóki się do niej nie zbliżył, czasem jeszcze

z Jaśkiem Bogorją i innemi umiał poszaleć i dzień jaki spędzić weselej—teraz twardy żywot prowadził. Na stajni we dworku było zawsze poddostatkiem koni do zmiany, bo ledwie jedne zmęczone przysły z nim, drugie świeże brał i dalej ruszał. Nieodstępny Żegieć towarzyszył mu wszędzie — i gdyby nie on nierazby Stach swe nierozważne zuchwalstwo ciężko przypłacił.

Widzimy to wszędzie prawie w owych czasach, że każdy czynniejszy mąż podwojony jest takim drugim, który się dlań poświęca, siebie się zrzeką, a jemu dodaje siły. Czasem jest to dodana głowa, niekiedy ręka. Często ten drugi gubi go lub zdradza; Sieciech, Dobek, Kietlicz są takimi nieodstępnymi pomocnikami. Przy pomniejszych ludziach stoją też te ich cienie, jak przy Kietliczu Bereza, za Stachem Żegieć, przy Kaźmierzu Goworek i Wichfried. Dla Ludwika francuzkiego takim był opat Segur, dla Krzywoustego Dunin i całe grono tych rycerzy bez oczów; bez rąk, pokaleczonych, niezwalczonych. Fenomen ten podwajanego człowieka w wiekach średnich w najrozmaitszy sposób przedstawia się wszędzie. Swobody osobistej naówczas całej nie było, niewolnik, sługa, domownik silniejszy duchem dorabiał się jej, wcielając w pana swojego. Tą drogą szło się do władzy i siły lub przynajmniej w niej uczestniczyło. Takim właśnie Kietlicz osławiony był dla Mieszka, który nie mając ruchawego narzędzia tego, ustałby był może w zabiegach, i leżał odpoczywać. W siłę wieku zauszniak ten pański pałał zemstą i do ciągłych knowań podzegał. Stach musiał w ślad za nim jeździć, chodzić i tropić jego kroki.

Rzadko więc spoczął we dworku, który dlań był gospodą tylko. On był pociechą jedyną dla starego Hreczyna, który za swą panią i Ściborzycami tęskniąc, w bezczynności, osamotniony, całe dnie na ławie pod okapem przesiadywał, wyglądając go. Gdy Stach przybył, poruszał się Hreczyn, jak dla

prawowitego pana swojego, usługiwał mu i rad był choć pomówić z nim o Jagnie. Nie śmiał on wyznać, jak mu gorzkim był los jej; myślał, że wyswata ją za Stacha i zawiezie kiedyś do domu.

Tego, co się tu działo, nie lubił, brzydził się tem, bolał czując, że się to źle skończyć musi. Rzadko mu się trafiało to szczęście, by chłopię przybiegło poznać go do pani. Stary pośpieszał natychmiast, ale rozmowa z Jagną krótko zwykle trwała. Hreczyn powracał do dworku smutniejszy jeszcze.

Stacha już tak prawie kochał, jako panię swoją, tęsknił i za nim, nie mogąc pojąć, za czem nieustannie się włóczy, na co się przydały te wycieczki, z których, oprócz pokaleczonych koni i znużenia, innego skutku nie widział.

Gdy kilka dni miał wolnych w Krakowie, co się rzadko trafiało, używał ich Stach na to, aby się na biskupim dworze rozpatrzyć i rozsluchać, a czasem pójść do Juchima, który dotąd dotrzymywał wiary i zdawał się Kaźmierzowi życzliwy. Prawda, że mu się z tem nie-
źle działo, bo pieniądze kował.

O Mierzwie wcale jakoś słyhać nie było, oddał się całkiem Mieszkowi i nawet już w Krakowie pokazywać się nie śmiał. ani wiernego udawał. Nie dziwił się temu Stach, ani nad stratą bolał bardzo.

Właśnie powrócił był z Poznania, dostawszy tam języka, który go znów napełnił trwogą i zaniósł biskupowi Pelce wiadomość, że część ziemian krakowskich miała już zmówiska z Mieszkciem. Wypadło mu dla dosłedzenia tych zdrajców zapukać do drzwi Juchima. On znał najlepiej wszystkich.

Dworek żyda bardzo był teraz urósł i rozszerzył się, a że mu nie groziło od Kaźmierza, mniej się teraz z zamożnością tał gospodarz.

Zwykle gdy Stach przybywał, odzwierny zobaczywszy go, natychmiast mu z poszanowaniem drzwi otwierał. Tym razem uderzyło go to, iż za wrotami

po wyglądnięciu okienkiem, zawrzało, zaszumiało, szeptało długo, nim się furta otwarła.

Nie mając jednak podejrzeń żadnych, Stach wszedł szybko do izby gościnnej, w której zwykle Juchima znajdował.

Tu go nie było.

Na stole wino stało i jakieś słodczyce, kubki niewypróżnione, a na jednym siedzeniu leżała zapomniana czapka. Uderzyła ona Stacha swą dziwną powierzchownością, naksztalt zawoju czarnego; przypomniał sobie, że w takiej właśnie Mierzwę dawniej widywał. Aleć kołpaków podobnych po świetle wiele być mogło! Dziwniejszem wydało mu się, że ztąd ktoś przed nim uszedł—czego zastawa niesprzątnięta ze stołu dowodziła.

Juchim wnet nadszedł witać gościa, lecz pomieszany widocznie, blady, tak, iż odrazu poznać po nim było można, że coś w sobie taił...

Stach pochwycił ową czapkę i podnosząc ją, a potrząsając, zawołał:

— A to co? gościa mieliście, który się skrył przedemną?

Juchim obaczywszy owo lice odrętwiał, ręce złożył, wargi mu się trząść zaczęły.

— Tylko nie kłam!—rzekł Stach.—Wiem, czyja czapka, bom ją nie jeden raz widział na niepoczeiwej głowie Mierzwy.

Juchim usłyszawszy to imię, krzyknął przeraźliwie, głowa mu na piersi opadła. Widząc pomieszanie Stach dodał nakazująco:

— Jeśli on ztąd ujdzie, ty mi odpowiesz za to!

Juchim stał tak osłabły, iż się za stół musiał pochwycić, aby na nogach utrzymać. Błagające oczy zwrócił ku mówiacemu.

— Mówię ci — dodał Stach — tu jest Mierzwa. Znam go nadto, abym uwierzył, że on tu dla zabawy przyjechał. Toć prawa ręka pana Kietlicza, wroga naszego. Jeżeli przybył, to za jego rozkazem i, szyi

nie stawiał napróżno. Ja w tem, że cały ztąd nie ujdzie.

Zginie on—ale z nim i przyjaciele jego, a pomocnicy!

Juchim słowa nie mógł wyrzec jeszcze, strach nim owładnął taki, iż patrząc na starca, litość brała.

Z zimną krwią dodał Stach:

— Dawaj mi go tu!

Grobowe milczenie w izbie panowało, oczy tylko Juchima skierowały się ku drzwiom, które wszedł; wskazywał niemi Stachowi, że tam znajdował się winowajca.

Natychmiast śmiałym krokiem wszedł do bocznej komory. Tu, osłonięty sukienną oponą, drżał w kącie przyczajony zdrajca, głowę okrywszy, rękami bladymi cisnął konwulsyjnie pochwycone sukno. Porwawszy go za kark, Stach wyrzucił struchlałego na środek izby tak silnie, że Mierzwa padł i nie wstając, na kolanach kłęczący, ze złożonymi rękami błagać się zdawał o życie.

Widok tego człowieka litość obudzał i wzgardę. Pod wrażeniem trwogi twarz jego zmieniała się tak okropnie, wykrzywiła, przeciągnęła, iż do człowieka prawie nie był podobny. Stach patrzył nań z góry, milejąc długo.

— Ha! nareszcie mam cię ptaszku! — krzyknął — teraz już mi nie ujdiesz!

Mierzwa trząsł się i milezał, tłumaczyć się próżnem było — sama jego przytomność była dowodem winy.

— Mów, z czemeś tu przybył?—zawołał Stach—bo, że nie dla zabawy z przyjacielem Juchimem, to pewna.

Nim mógł odpowiedzieć na to Mierzwa, Juchim, który był odzyskał przytomność, wpadł do komory, składając ręce.

— Na co chcesz przysięgi? — począł, jęcząc — na nasze świętości? na biblię, na dziesięcioro? na

wszystko, co każesz przysięgnę, że nie byłem i nie jestem zdrajcą! Z tym człowiekiem nie miałem nic! Pierwszy raz szatan go tu przyniósł do mnie! Nie wiem czego chce, niema jak pół godziny, gdy się tu wcisnął na zgubę moją.

Mierzwa klęczał ciągle.

— Gadaj! — powtórzył Stach, nie zważając na żyda — gadaj, lub tej chwili na męki cię dam, aby ci gębę otworzyli.

Podźwignął się Mierzwa powoli, rękami począł twarz trzeć i płakać, namyślając się co miał odpowiedzieć.

— Miłościwy panie—przebąknął—ja także gotów jestem przysięgać, żem niewinny.
(Przełknął ślinę).

— Ja tu mam robaczki moje, za którymi zatęskniłem...

Zapłakał, a Stach się rozśmiał.

— Nie drwij ze mnie; robaki czy bękarty cię tu nie sprowadziły. Mów, bo cię dam na męki. Gdy cię oprawcy na postronkach do góry podniosą, dopiero ty mi wyśpiewasz, coś za judaszowstwo przywiózł zadaną.

Ja cię znam!

Mierzwa namyślał się.

— Jestem sługą księcia Mieszka—odezwał się—zostałem mu wierny.

— A płacę od nas brałeś?

— Chciałem się z rąk waszych uwolnić — zawołał odzyskując śmiałość Mierzwa. — Jestem sługą mojego pana, nie żadnym zdrajcą.

— A coś ty mi przyrzekał? — rzekł Stach.

— Co? w początkum wam służył — mówił podsędzia — potem sumienie przemówiło, wróciłem do Mieszka. Nie zaprę się.

— Przysięgłeś mi?

— Przysięga przymuszona nie nie waży; życiam bronił — rzekł Mierzwa.

— Że się wyklamać potrafisz, to wiem — odezwał się Stach.—Sługa Mieszka! a pocóżes tu? aby mu jedna przyjaciół i siac zradę! Sameś przyznał!

Juchim!—zwrócił się do żyda — ty mi odpowiadasz za niego; jeżeli ujdzie, dasz głowę. Ja idę po straż. Mówić z nim stracony czas, na gałąź niecnotę!

Juchim ręce splótłszy na piersiach, drżał, Stach zwrócił się do prog.

— Miłościwy panie — odezwał się sędzia—mnie życie drogie, ja powiem wam wszystko...

— I zaprzysiężesz fałszywie — wtrącił Stach — a potem powiesz, że przymuszona przysięga nie waży!

Mierzwa głowę spuściwszy, mruczał coś, Stach chciał już wyjść, pochwycił go za połę.

— Miłościwy panie! zlituj się, ja mam żonę i dzieci!

— Żonę i nie jedną—rzekł Stach—miałeś ich tu trzy czy cztery na odmianę, nie licząc tych coś musiał w Poznaniu przysposobić.

Jęknął Mierzwa. Juchim ręce załamane trzymał przed Stachem, mówić nie mogąc, błagał go oczyma.

— Po coś przybył? — zagrmiał Stach.

Mierzwa myślał chwilę.

— Po co?—odparł burkliwie—wasza miłość wiesz. Jestem sługa Mieszka, przyjechałem mu jedna ludzi, ałem, kłuję się! nie widział nikogo, z nikim nie mówił, nie robił nic... Tu na nas nikt spojrzeć nie chce.

Z wzgardą popatrzawszy nań, Stach odchodził znowu, gdy Mierzwa jak długi padł mu do nóg.

— Życiem daruj! zrobię co chcesz! — zawołał—życiem daruj!

— Nie od ciebie nie potrzebuję—odtrącając go, rzekł Stach.

Wtem Mierzwa nagle, jakby mu jakaś myśl przyszła, wstał i począł mówić prędko:

— Juchim da za mnie porękę, żem ja tu nie nie Stach z Konar. T. IV.

zrobił, a taki sprawiedliwy pan, jak ksiązę Kaźmierz, karać mnie za to nie może, iż pana mego słucham. Wam żadnej krzywdy nie uczyniłem — Juchim wie, Juchim poręczy.

Drgnął naprzód żyd, gdy usłyszał o poręce, potem głowę spuścił, nie umiał odpowiedzieć, nie wiedział co począć.

— Juchima przecie macie w rękę, i jego trzós — rzekł Mierzwa. — Każdego czasu, jeżeli noga tu moja postanie, jeżeli co zbroję, weźmiecie go. On musi za mnie dać porękę!

— Musi? co to jest musi? — wyjąknął żyd — ja, za was?

— Jak nie dasz poręki — krzyknął Mierzwa, zwracając się ku niemu — na mękach czy bez mąk tak cię zwikłam, opłatom, oczernię, poprzysięgnę na ciebie, że zginiesz ty i cały ród twój i wszystkie mienie twe. Jak ja zdrajca, tyś też zdrajca. Choćbyś nim nie był, zrobisz cię!

Stach słuchał, uśmiechając się z pogardą. Juchim odrętwiały, ręce to łamał, to sobie niemi oczy zakrywał — jęczał, głos stłumiony z piersi mu się dobywał, jak płacz nie mogący wyjść na świat.

Chwycił się za głowę i resztę włosów rozpaczliwie targać zaczął.

— Porękę za mnie da! — nalegał Mierzwa — a nie? mam ja ginać, zgubię i jego!

— Juchim za ciebie da porękę — odparł Stach — a któż jemu za was zaręczy?

Juchimowi oczy błysły.

— Tak — przerwał — on musi dać zakładnika, syna swojego najstarszego Marka; ja go wezmę i dam porękę!

Mierzwie oczy się zaiskrzyły.

— Marka tu niema! — zawołał.

— To go przywiozł! — odparł żyd.

Stach myślał, wahał się, nie pewien co uczyni.

— Rozprawicie się o to z kim innym — począł —

nie moja rzecz o twoim losie wyrzekać, ale moja dać cię w ręce komu trzeba.

— Tylko życia mi nie bierzcie! — przerwał Mierzwa — co chcecie róbcie ze mną, służyć będę.

— Służby twej nikt nie potrzebuje, milez! — odparł Stach. — Sam Bóg chciał, abyś się dostał w ręce moje, nie puszcę cię...

Obaj obżalowani stali jak martwi...

— Mnie kara Boża spotkała niewinnego — odezwał się Juchim. — Świadcę się Bogiem moim, którego imienia wymawiać nam nie wolno, żem nie uczynił, anim pomagał do zdrady!

Podniósł oczy do nieba.

— Ten człowiek przyszedł tu po to, aby mi życie wziął!

— Co się tu stało — odezwał się Stach uspokojony — pewnie z niczyjej woli, tylko z Bożej. Mierzwa pójdzie ze mną do biskupa, bo Kaźmierz mógłby mieć nadto nad nim litości. Ale wolno go nie poprowadzę. Po ludzi moich posłać, Juchimie! Nim oni nadejdą, postronka mi dajcie...

Mierzwa wdrygnął się, lecz milezał już. Nie było na podoręczu sznura, Juchim musiał długi pas zdjąć z siebie, którym Stach sam ręce w tył odgiąwszy spętał Mierzwie.

Sędzia prosił o opończę, aby przez miasto nie szedł skępowany, jak złoczyńca. Stach nie mu nie odpowiedział. Żyd musiał wyjść spełnić rozkaz i postarać się o ludzi.

Po wyjściu jego, Mierzwa spróbował jeszcze litością natchnąć Stacha, lecz żadnej od niego odbierając odpowiedzi, zamilkł w ostatku zagryzłszy usta.

Wkrótce nadeszli ludzie Stacha; Juchim przyodziawszy się w płaszcz, musiał iść razem z winowajcą. Poprowadził ich uradowany obłowem Stach do biskupa. Sześciem dla jeńców na dworze ściemniało, śnieg pruszył i nie spotkawszy nikogo, dostali się

do dworca biskupa, któremu znać dano, iż Stach zdrajców jakichś na uczynku złapanych prowadził.

Nie jego już rzeczą było, sprawcę wysłać. Mieszkowego sądzić, który stanął w obronie swej przed biskupem z całą umiejętnością i przebiegłością swoją. Nie pomogły one nic — i po długich jękach i prośbach, biskup go kazał do więzienia dać, dopóki by zakładnika nie stawił.

H.

Od wstąpienia na stolicę Kaźmierza cicho było i zamarło na zamku w Tęczynie. Dobrogost i Sędziwój stronili od księcia i dworu; znano ich jako przyjaznych Mieszkowi, lecz nie dali powodu jawnego, aby ich nieboszyk Gedko lub następca jego Pelka do odpowiedzi za to pociągać mogli. Trzymali się cicho i na uboczu. Jeździli wprawdzie do Poznania i młodszych swych przy dworze księcia Mieszka osadzali, lecz za to ich karać się nie godziło, a mniej niż ktokolwiek, Kaźmierz mógł im to za złe poczytać. Pan był miłościwy wszystkim, szanujący wszelką miłość i każdą wierność.

Bracia z Tęczyna na wielkie nawet zjazdy, gdy się ziemianie wszyscy zbiegali do Krakowa, nie stawali wcale. Mówiono, albo, że ich doma nie było, lub, że chorzeli, a w końcu i wcale nie, bo już o nich zapomniano.

W Tęczynie jednak teraz, gdy pomiędzy ziemianami ciągle wyprawy na Ruś, do Halicza, dla wypędzania jednych, a osadzania drugich kniaziów, coraz częstsze a uciążliwsze, zrobiły niechęci i na-

rzekania — co było nieprzyjaznego Kaźmierzowi, tajemnie się na narady zbierało.

Biskup Pelka może nie przypuszczając, aby tak blisko, pod boki księcia i jego coś się knuć mogło, nie zwracał na te zjazdy uwagi. Odprawiano je niby, dla myśliwstwa i zabawy, a w istocie groźne były wielce. Mieszko miał tu ognisko, z którego skry sypały się na całą ziemię.

Od dawna już oczekując sposobnej pory, gotowano się do jakiegoś zamachu na korzyść Mieszka, który niczem nie zrażony, zawsze pragnął i spodziewał się panowanie odzyskać. Teraz nowa do Halicza wyprawa, z powodu sporu Romana Włodzimierzowicza ze Wsewołodem Belzkim niechętnym, następcą pole do próby nowej, śmielszej nad inne nieudane.

Sama wieść o tej wojnie postanowionej, jak się uskarżano, bez wiedzy i rady panów, burzyła umysły. Korzystał z tego Mieszko i słał kogo tylko mógł ze swoich ludzi, aby tam ziemian podburzali.

Zapowiedziane były wielkie łowy na zamku w Tęczynie i, wrzekomo dla nich rozsyłano gońców zapraszających do wszystkich tych, którzy albo już byli w spisku, lub się ich do niego wciągnąć spodziewano.

Bracia oba siedzieli tu już od dni kilku. Wielkie przygotowania czyniono dla gości, w izbie stoły ciągle nakryte były i pozostawiane, bo przyjęcie naówczas bez obfitości jadła i napoju niezwało się gościnnem. Sadzano przybyłego natychmiast do misy i dzbana, aby głód i pragnienie sycił i gasił.

Powoli do zamku ściągali się ziemianie, nie wedle obyczaju huczno i ludno, ale kupkami małemi, ze psy i myśliwskim przyborem. Spodziewano się wszystkich siedemdziesięciu głów rodów możnych, gdyż tyle ich było, co się z powodu wypraw na Ruś Kaźmierza, przeciw niemu oświadczały, chcąc mu wypowiadać posłuszeństwo. Żymano się na samowolę księcia i hetmana Mikołaja.

Po jednemu ziemianie wjeżdżali na zamek otwarty, po większej części ludzie już nie młodzi, których strój i oręż wielką zamożność wydawały. Każdy z nich zaraz się rozbroiwszy, szedł do wielkiego ognia w bocznej izbie, siadał na ławie, ciepłem winem się zagrzewał i rozmowę przerwana ciągnięto dalej.

Czy z obawy służby, chociaż ta posłusznie podzielała panów swych miłość i wstręty, czy z poczucia własnej winy i pewnego sromu, zwykle burzliwe ziemian narady i zjazdy, tym razem odbywały się cicho.

Mruczano więcej niż mówiono, szeptano półsłowy i półgłosem. Kilku tylko, szczególnie Sobek z Kozieglów i Daczko brat jego, dwu Śreniawitów z Proszowie, śmielej się czasem i głośniej wyrywali. Gospodarze oba, ludzie niezbyt mówni, potakiwali znakami lub potwierdzali półgębkiem. Wiedzieli wszyscy o co szło.

— A no! — mówił Sobek z Kozieglów — mamy już dosyć tego panowania miłościwego; trzeba mu koniec położyć. Dobry pan tak się stał dobrym dla Rusinów swych, wujów, stryjów, siostrzeńców i powinowatych, że dla nas jest zły, bo naszą krew musimy bękartom Halickim do tronów ich drogę skrapiać. Z Węgrami się zadarli — idź a idź na Ruś — nie pytał

— Po co ma pytać? — przerwał Śreniawa — gdy biskup Pelka powie, a pan Mikołaj brat jego potwierdzi, Kaźmierz posłucha, oni dlań w sobie wszystkich ziemian zamknęli.

Nie dosyć było Brześć szturmować, Halicz brać dla Mściława, teraz znów ich trzeba godzić i rozsądzać, a my za to płacim!

— Niedolega we wszystkim — odezwał się rzadko przemawiający Dobrogost z Tęczyna. — On sobą nie rządzi, nim wszyscy, Rusiny, baby, księża, tylko nie ci co powinni, nie my, co tu gospodarować mamy prawo. A toć lepiej Mieszka posadzić co siłę ma, państwo do ładu przyprowadzi i naszych panów ojców

duchownych trochę na bok usunie, bo wkrótce, jak tak potrwa, sami biskupi już tu będą rządzili, bez wszelkiego pana się obchodząc.

— Hej! hej! — wtrącił z boku Drogut, stary i siwy człek, który schylony siedząc w ogień patrzył obojętnie. — Gdyby Mieszek tę siłę miał, o której prawicie, dawnoby już mógł opanować Kraków; ale i to ciemięga.

— Hol hol nie mówcie tego — rzekł inny. — Dla niego teraz porwać się, a nie dokazać, sprawa gardłowa; Pelka i Mikłasz, gdy mu się noga ośliźnie, nie przebaczą i będzie z nim co ongi ze Zbigniewem było. Musi dobrze się gotować i wyważyć!

— Waży też do zbytku! — mruknął Drogut z uśmieszką. — Przypomnijcie sobie lat ostatnich sprawy.

— A toć! Albo nie jeździł do cesarza do Rudobrodego i nie dał córki własnej na ofiarę dzikiemu synowi Bogusza z Pomorza?

— I cóż z tego miał? nie — rzekł Drogut. — Rudobrody go zbył niczem, a Bohusz córkę wziął, ale porwać się nie śmiał.

— Bo i nie pora była — odezwał się Dobrogost. — Tylko co Brześć i Halicz wziął Kaźmierz, rycerstwo było rozzuchwalone zwycięstwami, do kupy ściągnięte, gotowe... Jak się miał porywać? jak?

Przypomnijcie sobie nie tak to stare dzieje, że naówczas Mieszek poczynił bardzo mądrze i oględnie. Hol hol nie wiecie, jak ze Szlachakami się sprzął a Kaźmierz na nich podszczywał?

— Tak — odparł Drogut — tylko, że i z tej mądrości nie było nic. Kaźmierz jak zawsze przebaczył, Mieszek się pokłonił i pojechał przemyslać o nowej sztuce, żeby i ta chybiła.

Nie sporzę, że wynajduje coraz co nowego, a no, nigdy mu nie dojrzeje tak, żeby się rozpękło, zwiędnieje w zawiązku.

— Cóż on winien? co? — począł drugi brat z Ko-

ziegłów. — Ludzie mu gorzej psów służą. Pan Bóg zdaje się go próbować. No, i jak Bóg miły, Kaźmierz przez te swoje relikwie, świętych nabożeństwa poprostu siłą Bożą odgania wszystko. Już nie mogło być nic większego, jak owa syna cesarskiego Henryka wyprawa w trzydzieści tysięcy ludzi na Kaźmierza.

— Prawda! — rozśmiał się Drogut — i pięknie się skończyła! gdy Henryk na owem probostwie odpoczywając, co się pod nim zawaliło, ledwie sam w oknie siedząc z Arcybiskupem Moguńskim ocalał, a Turyngskiego Landgrafa i innych panów ledwie żywych za uszy wyciągnięto z kloaki, w którą wpadli...

— Czyste czary! — podchwycił Sędziwój — bo ledwie się z tego gnoju dobyli, na drodze znowu od dzwonów zostali pobici, co im się zerwawszy, na głowy pospadały.

— Że nieszczęśliwy Mieszek, to prawda — potwierdził drugi — ale i Kaźmierzowi, jak temu dzbanowi co długo do wody chodzi, w końcu się urwie ucho.

Wielka większość przytomnych powitała odpowiednią śmiechem wesołym.

— Ż Leszkiem młodym albo nie mądrze sobie postąpił, nie przebiegle, namówiwszy starego bałwana Żyrę, że mu Płock zdał i wymógł zapis. Już zamki wszystkie miał w ręku.

— A długoż je trzymał? — spytał Drogut.

— Na Mieszku jakiś przeklon cięży! — szepnął inny, wzdychając.

— Nieprawda — odparł Dobrogost. — Już przez to samo, że po tylu nieszczęściach nie stracił otuchy, dowód stawi, iż siłę w sobie czuje...

— A na Kaźmierza już Pan Bóg zaczął zsyłać przestrogi, i jemu się już nie wiedzie — mówił Śreniawa. — Piękne chłopię, najstarszego syna stracił tak marnie.

— O tem to jakoś różnie ludzie mówią — odezwał się głos z kąta.

— Niema o czem mówić, bo to był jawny Palec Boży — kończył Śreniawa. — Chłopak ze swawoli drzewo ścinał, na którem się coś poruszało. Była to żmija, czy padalec, co mu się na szyję rzuciła i ledwie dotknęła go, padł martwy.

— Syna ma drugiego, ten na dziedzica starczy — odparł Dobrogost. — Znalazłoby się też dzieci więcej, gdyby ich po kątach szukać, a no, z temi się chwalić nie będzie.

Po krótkim milezeniu; starszy jeden począł znowu:

— Mówcie wy sobie co chcecie, wojna z Kaźmierzem, to razem z duchownymi i z Panem Bogiem i ze Świętymi Pańskimi. Już matka jego Salome kości i relikwii świętych siłą nagromadziła, a Kaźmierz sobie w Rzymie uprosił całego jednego świętego zwłoki za patrona.

— Że mu te moce i potęgi pomagają — wtrącił drugi — temu nikt nie przeczy, ale my też nie jesteśmy niebożnicy, i tego samego Boga i Świętych Jego czcimy.

— Nie tak jak on! nie tak! — przerwał inny, głową kręcąc — on im kościoły buduje, trumny sprawia bogate, chwałę ich mnoży. To wszyscy wiedzą jak po kości święte ślą do Rzymu do Papieża i co się tam stał za cud.

Mileczeli wszyscy, a mówiący dalej ciągnął:

— Powiadają, że Lucyusz biskup najwyższy gdy do niego posłowie ci przybyli, wszedł z nimi do grobów, w których mnogie zwłoki męczenników spoczywają, i przechodząc około nich, począł sobie mówić, jakby pytał: — A któryżby z was jechać chciał do Polski?

Stał naprzód u grobu Wawrzyńca świętego, z którego usłyszał wychodzący głos: — Nie dawajcie mnie na nową spiekę, bo tam się jako na ruszcie palić będę musiał między ludźmi gorącemi, a ugasić ich żaru nie zdołam,

Więc zdumiony wielce, postąpił krok dalej, kędy spoczywał Szczepan święty, a oto od grobu jego dał się słyszeć głos: — Nie dawajcie mnie na nowe kamienowanie porywcznością narodu tego, który i na świętych swych i błogosławionych i ukochanych gotów miotać głazy, gdy nim szal ołwładnie, choćby jutro miał o przebaczenie błagać.

Gdy coraz bardziej strwożony Lucysz, dalej jeszcze krok postąpił i spojrzął kędy leżały kości żołnierza-męczennika Floryana świętego, wysunęła się z grobu ręka jego i dał się słyszeć głos: — Dajcie mnie im za patrona, pójdę do ziemi ich, gdzie nieustannie płomienie gasić potrzeba, aby ich nie pochłonęły.

A tak dostał się nam mąż rycerski Floryan święty, który zaraz na wstępie do grobu swojego cud uczynił. Albowiem, gdy z wielką czcią prowadził zwłoki biskup Gedko i książę, wóz z nimi zatrzymał się na Kleparzu, gdzie święty chciał mieć kościół wystawiony pod zawołaniem swem, który mu też tam wzniosł Gedko i złożono w nim rękę tę świętego, co się ku naszej ziemi wyciągnęła litościwie.

Milezeli wszyscy słuchając opowiadania, aż Sobek z Kozieglów przerwał zaspianie długie, które po nim nastąpiło.

— Na Boga, ani na Świętych Jego się nie porywamy. Gdyby tak przyszło lękać się wszystkiego, nieby już człowiek nie poczał. Czas, byśmy o sobie pomyśleli; Pełka i brat jego, a cała gromada ich zauszniaków obróć nas w chłopy i niewolniki.

Pytaliż się oni kogo o tę na Ruś wyprawę? Słowa nikt nam nie rzekł, posyłają wici, słuchaj, pod gardłem.

— Tych Węgrów i Rusi naprawdę aż pod gardło mamy — odparł drugi z Kozieglów — niech już będzie co chce, a bronić praw swych musimy. Gdyśmy tu z Sandomirza prowadzili Kaźmierz, lepszegośmy się w nim pana spodziewali

A oto zaraz w Łęczycy okazało się, żeśmy nie dla

siebie, tylko dla biskupów pracowali, a dla kmieci. Im popuszczono, nas ściśnięto, ledwie dyszymy.

— Gedko nam tłumaczył, że książę nas do Rady przybiera i bez Rady nie stanowiąc nie będzie. Nie pytając dziś o radę nikogo — rzekł Dobrogost.

— Cała Rada, dwu Mikołajów, Pełka jeden, Jaksa i może niemiec przybędą, nas co przedniejszych ojczyków zbywają, gdy przyjdziemy, tem, że już postanowiono...

Szeptać poczynali gromadkami pytając jedni drugich co postanowiono, gdy Dobrogost cicho rzekł niektórym. iż Kietlicza samego lada chwila spodziewa się z Krakowa; bo się teraz nie na żart zbierano do roboty.

— Gdy Kaźmierz na Ruś wyciągnie z całą siłą swoją — dodał — i swoich tam wszystkich zabierze, na zamku się pozostanie mało, albo nie ludu. Ku Haliaczowi się zapuści, będziemy mieli dosyć czasu Mieszka powołać, który na Szlązku stać musi i czekać hasła... Wprowadzimy go na zamek i okrzyknemy.

— Ha! ha! niech Kaźmierz sobie w kochanym Haliżu o gospodę prosi — śmiał się Srenawita.

— Albo we Włodzimierzu! Jużci mu ją Rusini dać winni — mówił inny szydersko — objadali go tu długo kniaziowie siadając u niego.

— Niechaj potem zna co ziemianie ważą! — mruknął Sędziwój.

— Byle się raz powiodło — dodał Dobrut — ja bo już wiarę straciłem, bośmy się nie mało razy sparzyli — i nie było z zachodów nic.

— Szyję za to daję — odezwał się Dobrogost — że Mieszek i Kietlicz tym razem dobrze wszystko wyważą i udać się nam musi...

Nie próbowali dotąd, bo nie byli swojego pewni.

— Zamku nie będzie bronić komu — mówił jeden.

— A miasto? a kmiecie?

— Na tych siłę mamy — odparł Dobrogost — czerń i ciżbę zgniecimy i rozproszym.

— Zgnieciemy potwierdzali drudzy.

Głosy się nieco podniosły żwawsze i wnet spiskujący sami się tego uląkszy znaki sobie dawać poczęli, aby milczeć.

Nadjeżdżali coraz nowi, czekano na obiecanego Kietlicza, który się opóźniał. Ziemniako już dobrze, oba gospodarze niespokojni trochę, naradzali się czyby ludzi nie posłać na drogę ku Krakowu. Inni odradzali, aby oczów na siebie nie zwracać zbytnim ruchem.

Ile razy w podwórzu zatętniało, wybiegano pa-trzeć, ale przybywali tylko ci co umyślnie pod noc się wybrali, aby ich nie postrzeżono.

Kietlicza nie było.

Domyślawszy się już płochliwsi czegoś straszne-go. Nuż główny sprawca, prawa ręka, dostał się Pełce w garść? Przeczyli inni, iż to nie mogło być.

— Nie ma na świecie przebieglejszego lisa — mówił Sobek — nad tego Kietlicza. Uchowaj Boże by go pochwycili, Mieszek ani synowie jego sami sobie rady nie dadzą. Patrzeć na tę przysadzistą beczkę, na jego łeb ogromny wzięłby go za parobka, za człeka, co się żwawiej poruszyć nie zdoła, a zwi-ja się jako nikt, a sunie jako wąż.. Mądry będzie, kto go ulowi!

— To prawda, że gdyby Henryka Kietlicza nie stało — rzekł Dobrogost — więcejby się z nim straciło, niż w dwu pułkach. Mieszek bez niego nie wart nic.

— Jako żywo — zaprzeczył Sędziwój — my lepiej księcia znamy. A któż to tego Kietlicza wziął tępego i nieokrzesanego i uczynił go tem, czem dziś jest? On ci go popychał, on kierował, sam też bez mózgu nie jest..

— Pewno! pewno! — potwierdzało kilku.

Rósł tak niepokój z nadchodzącym wieczorem, aż gdy do stołów zasiedli i do kubków się wzięli, zapomniano trochę o trosce. Ino gospodarze często spoglądali ku sobie i nasłuchiwali.

Misy stały próżne i dzbany odnawiano, gdy

naostatek w progu powitany okrzykiem stłumionym, ukazał się mężczyzna gruby, otyły nieco, czerwonej twarzy, najeżonego włosa. Był to długo oczekiwany Kietlicz. Sędziwój, który naprzeciw pośpieszył, postrzegł zaraz, że niewesół powracał. Twarz jego od wiatru ze śnieżnicą mocno zaogniona, pomieszana była, oczy biegały niespokojnie, usta miał zacięte, czoło pofalowane.

Na powitanie ledwie skinieniem głowy odpowie-dziawszy, oczyma począł mierzyć zebranych. Wszyscy od stołów stając cisnąć się do niego zaczynali. Za-rzucano go pytaniami, na które zasapany i zmęczony nie odpowiadał. Z obawą jakąś ludzi mierzył wzro-kiem, jakby się znaleźć między niemi spodziewał nie-wiernych. Dobrogost dał mu znak, odstąpili na bok.

— Z czemże wracacie? — spytał.

— A, z lichem! — odparł szorstko Kietlicz.

— Cóż się stało? grozi co?

— Jeszcze to tam nie wielkiego — rzekł, głos zniżając Kietlicz — a no! a no! — Ruszył ramionami.

— Mówcież! — naglił Dobrogost.

Wahał się przybyły, widząc tylu ludzi dokoła których nie znał, targał na sobie odzienie, podano mu wina kubek, wychylił go żywo.

A tu naciskali się ciekawi, co zamiast go cie-szyć, niepokoiło.

— Ot co — rzekł pocichu do gospodarza. — Wzięto mi najlepszego, najpotrzebniejszego sługę. Jak go na męki pociągną, gotów śpiewać co nie trzeba i mnie zdradzić. Uchodzić muszę...

Choć oprócz Dobrogosta mało kto mógł posły-szeć rzeczzone słowo, popłoch jakiś wionął po całym zgromadzeniu. Ruch się wszczął niespokojny, szeptano trwożliwie dokoła. Kietlicz pomiarkował, że niepo-trzebny może strach posiał — mogło to sprawie za-szkodzić. Rzuciwszy oczyma ku drngiej izbie, wsu-nął się do niej z kilku zaufanemi i drzwi się zaraz zawarły za niemi.

— A! zła godzina! — rzekł Kietlicz — zła godzina! Ale nie takeśmy już przebyli i przeżyli, nie ma czego rozpaczać — tylko ostrożnie dalej! westchnął — Mierzwę mi wzięto!

Mierzwa znanym był braciom z Tęczyna i innym wielu z czasów sędziowskiego urzędu, jako człek bystry i mądry, zasmucili się wszyscy.

— Gdzie? jak? — przerwał Sobek — pewnie do bab polazł, bo podwikę nadto lubił!

— Niel — mówił, ożywiając się Kietlicz — lichu nadało, do starego druha do Juchima wstąpił, a tam go niepocziwy człek, niejaki Zabór, co mi już kością stoi w gardle, bo go na mej drodze wszędzie pełno — człek co mi się jak wąż z rąk wymyka — pochwycił i ujął!

— Gardło mu wezmą! — smutnie szepnął Dobrogost.

Kietlicz głową potrząsał.

— Może się nie dadzą — rzekł. — Gdzie dwu takich w sprawie jest, jak Juchim i on, nie może być, żeby się nie ratowali. Jeden ma rozumu dużo, drugi pieniędzy.

Tarł czoło Serb i stękał.

— Mnie uchodzić trzeba — ciągnął po chwili. — Krótko się rozmówmy. Na zamku trzeba ludzi kilku zyskać, aby było komu wrota zawczasu otworzyć. Jak tylko wyciągną na Halicz, dawajcie nam znać, w pogotowiu stać będziemy na szlachej granicy, wpadniemy jak piorun na Kraków.

— Nie wiecie, kogo Kaźmierz zostawi tu? — spytał Sędziwój.

— A no Pelkę biskupa, pewnie z bratem Mikołajem, tych dosyć. Nie lękali się dotąd nas... nie widzieli nie...

— Mikołaj w Krakowie — przerwał Dobrogost — twardy człek i obrotny — to źle!

— Bez ludu, co on wart? — odparł Kietlicz. — My z dobrą wpadniemy gromadą. Mieszek niedawno

poręczył bratu swą wierność, spodziewać się go Kaźmierz nie będzie. Weźmy ich w pierwospy.

Byle sobie na Ruś wyszli.

— Pójdą panie — mówił Sędziwój. — Gdy idzie o sprawę kniaziów ruskich, Kaźmierz gotów zawsze choćby krew przelewać, byle im służyć. Nie dla żony to czyni, boć jej tak bardzo nie miłuje, ale mu się umieją przypochlebiać, kłaniać, polecać, a wspańiałomyślny pan rad, aby go sławiono i czołem mu bito... O! pójdzie na Ruś, a choćby i na Węgry. Już to postanowione.

Kietlicz się zwrócił ku nim.

— Na was, miłościwi ziemianie tutejsi cała waga, wszystka nadzieja — rzekł. — Bez was choćby z tyśiącami, my nie starczym. Biskup Pelka i pan Miklasz wojska się nie ulękną, a ziemianom ustąpić będą musieli.

— Będzie nas dosyć! — zapewnił Sędziwój.

Drudzy dwuznacznie głowami poraszali.

— Ilu liczyecie? — spytał Serb.

— Żupanów z ich rodami i zawołaniem mamy siedemdziesięciu — dodał Sędziwój — toć znaczna rzecz.

Kietlicz nie nie powiedział.

— Przysporzy się ich, gdy wieść się rozszerzy, żeśmy na zamku i mamy go w rękę — ciągnął Sędziwój. — Siedemdziesiąt zawołań, na głowy zbierze się dużo. Zamek opanować, pójdzie reszta sama!

— Zamek i biskupi dwór — poprawił Kietlicz. — Pelkę w rękach musimy mieć, brata jego też, bo ci są najstraszniejsi.

— Gdyby nawet wasze poczty nie nadciągnęły — mówił Dobrogost — naszych siedemdziesiąt żup, siła znaczna. Każdy swoich przyprowadzi, mają ich pogotowiu... Kto tylko mógł, od ciągnięcia na Ruś się wyzwolił.

— I z tem trzeba ostrożnie — przerwał Serb. — Gdy nadto wielu pozostać zechce w domu, Pelka i Miklasz mogą przewąchać, że się coś gotuje! Z każdego

zawołania gorszych trzeba Kaźmierzowi dać, niech idą. Skoro się to na Ruś ruszy, resztę powołać od kołka do kołka i na Kraków!

Zaczęto się naradzać i obliczać pocichu, i rzadka tylko szepty, głośniejsze wybuchy przerywały. Poza drzwiami zamkniętymi do wielkiej izby gwar słyhać było głuchy, nienastający, czekano tam, aby się drzwi otworzyły, aby im znać dano, co się uradzi, bo niepokój zrodziło posępne oblicze przybyłego, a podwoiło go to, że na osobności z małą garstką pocichu radził.

Wyszedł ku oczekującym Dobrogost i półgębkiem oznajmił, iż nic złego się nie stało, że choć ciężko szło, ale nie zmieniło się nic, i gotowości, a pilności wielkiej tylko potrzeba było.

Czoła się zasepiły.

Dobrut począł szeptać swoim, że taki coś jest o czem im nie mówią, aby serca nie psuć.

Drudzy ducha krzepili. Przycichła jednak zrazu dość wesola wrzawa, naradzać się przestali. Dobrogost zaraz powrócił do komory, w której był Kietlicz. Wielu ciekawszych u drzwi jej się skupiło nastawując ciekawego ucha—lecz oprócz szmeru, nie pochwycić nie mogli.

W tem zdało się im, że nagle zawieruszyło się we wnętrzu, hałas powstał, gadanie pomieszane, niewyraźne, niespokojne. Głos jakiś piskliwy, jęczący, który do żadnego znanego nie był podobny, dał się słyszeć.

W istocie był tam ktoś obcy. W chwili, gdy gospodarze i kilku zaufanych umawiali się z Kietliczem, wsunął się starszy komornik oznajmując, że ktoś pilno przybył z Krakowa, żądając mówić z Henrykiem.

Kietlicz, choć nie sam to imię nosił, dorozumiał się, że o niego szło i uląkł zdrady. Już miał uchościć, gdy Sędziwój wybiegłszy sam wprowadził za sobą ledwie dyszącego, trzęsącego się, mówić jeszcze

niemogącego i piersi rękami drżącemi cisnącego Juchima.

Kożuch na nim pomięty, sianem i słomą potrząsiony, odzienie domowe ledwie narzucone, świadczyły o pośpiechu z jakim się wybierał. Oparł się stary o ścianę u drzwi dysząc jeszcze ze znużenia. Wodził długo oczyma po izbie, nim się przemówił zebrał.

— O wszystkim wiem — rzekł przystępując Kietlicz.

— Nie wiecie o wszystkim! — przerwał Juchim z rozpaczą, odzienie na piersiach targając. — Ja jestem zgubiony, ten człowiek mnie w grób wrzucił mnie, dzieci—wszystko!

Jęknął.

— A ty jego i siebie wyzwolisz — odparł Kietlicz zimno.

— Jak? jak? — zawołał Juchim. — Ja jego nie uratuję, my poginiemy oboje! Przyslijcie mu syna na zakładnika, przyslijcie, może tak się co zrobi! Ja nie wiem!

I głowę w dłonie ująwszy, żyd jęczeć począł: Kietlicz się przybliżył doń powoli.

— Syn, syn wam się na nie nie zda — odezwał się — ani Mierzwie ani wam nie przebaczą i nie zawierzą. Choćbyś się opłacał, już oni złem okiem na was będą patrzeć. Ratujcie Mierzwę, bo mi potrzebny, a sami też z nim do nas uchodźcie!

Juchim w początku słuchał chętnie, potem głową zaczął trząść.

— Uchodźcie! aj! — odezwał się — cóż to ja sam, a żonę, a dzieci, czy ja w pole zabiorę? — i to co mam...

— Pieniądze i życie ratujcie naprzód — dodał Kietlicz — reszcie się nie stanie.

Juchim nie słuchał już, tak rada wydała mu się niezdarna.

— Tego co ja tam mam — mruczał — galganów, Stach z Konar. T. IV.

sprzętu, ubóstwa mego? ja na dziesięć wozów nie zabiorę.

— Stary, a nieporadny! — z gniewem zawołał Kietlicz. — Czyż ja cię mam uczyć, abyś wozy nocami po jednym odprawiał!

Juchim uśmiechnął się gorzko, nie chciał mówić, aby się z bogactwem nie wydawać, rady brzmiały mu jak szyderstwo i uraganie. Za nic w świecie nie byłby tego mienia na które pracował całe życie, puścił bez straży; zabrać je i uwieźć niepostrzeżenie było niepodobieństwem. Nierychło podniósłszy głowę, mówić zaczął z gorącością wielką.

— Albo to wy nie możecie tego teraz zrobić na co się od lat tylu daremnie zbieracie i odgrazacie? wojsko ciągnie na Ruś, miasto będzie puste, zamek goły. Niech książę przychodzi, weźmie jak grzyba.

Gospodarze z Kietliczem spojrzeli na siebie. Ostrożny Serb wtrącił.

— Albo to łatwa rzecz?

— Jeżeli ona teraz wam nie łatwa, to już zawsze będzie trudną — ciągnął żywo Juchim. — Dużo jest ludzi, co z pana nie radzi, nowogoby ehcieli. Wszystko co żyje, zbierają na Ruś — no — w mieście robi się, co potrzeba. Starosta będzie nasz, ja za niego ręczę, a ja go znam! Ocalcie nas, ale potrzeba prędko — prędko.

Zadychał się stary i spozryzał. Słowa jego tak przypadały do myśli słuchających, że mu się nie sprzeciwili. Zdawało się, że ich odgadł.

— No — wtrącił Kietlicz — kto wie? mogłoby to być, ale i wy nie żałujcie na to groszy. Starostę ująć trzeba.

— Gdy wszystko mam tracić, wolę połowę — zawołał Juchim i poprawił się zaraz — wolę część. Nie pożałuję, starostę mam w rękę.

Kietlicz i bracia oba zbliżyli się do żyda, rozpytując pilno i o starostę i gmin miejski, za kim on trzymać będzie.

Starostę upewniał Juchim, rękę kładąc na pierśsiach, że weźmie, co do gminu, namyślał się nad odpowiedzią.

— Gmin? a co znaczy gmin? — rzekł cicho. — Motłoch księcia lubi, bo jałmużny daje, ubogich karmi, zły nie jest, ale gmin pójdzie za starostą, a tego ja mam!

Za kmieci nie chciał ręczyć żyd, owszem utrzymywał, iż tych od Kaźmierza żadną nie odciągnie siłą.

Już się narada kończyła, gdy nagle Juchimowi oczy zabłyśły i począł rękę podnosząc.

— Ja jeszcze jedno powiem! Może ja tego nie wziąłem z własnego rozumu, może to nie mądra rzecz, ale mnie przychodzi do głowy jeden sposób, aby wszyscy poszli do Mieszka, nawet ci, co nie są jego!

Zatrzymał się chwilę i głos zniżył jeszcze.

— Cóż to? — ciągnął miotając oczyma — jak on pójdzie na wyprawę na Ruś, czy jego tam zabić albo otruć nie mogą?

Wszyscy zamilkli, a żyd zląkł się własnego słowa i rękami potrząsać zaczął.

— Nie trzeba, żeby jego kto zabijał albo truł — dodał żywo — na co? można powiedzieć, że on nie żyje. O tyle mił kto może temu kłam zadać? a jak wieść pójdzie, że jego na świecie nie ma, czy nie pójda wszyscy do tego co jest?

Kietlicz się uśmiechnął, wszyscy zrozumieli i przewrotność i zręczność tego wybiegu.

— Rozumny człek! rada dobra! — zawołał Serb. — Gdyby nie ten kłopot dzisiejszy, nie byłby nam skarbnym jej przyniósł, a mybyśmy na tę myśl nie wpadli!

Uderzył tak silnie po ramieniu żyda, że się aż wzdrygnął.

— Róbcie tak — dodał.

— Co to pomoże — przerwał żyd — jeżeli wy się nie ruszycie? Jak się wieść rozgłosi, trzeba żeby

było komu hezpańskie wziąć! Zamku nie ma bronić komu.

— A biskupi ludzie?—spytano.

— Biskup swoich daje księciu na Ruś—odparł Juchim.

— Brat jego idzie czy nie?

— Kto go wie—odparł Juchim—a co on będzie wart sam jeden?

W ten sposób Juchim stał się powiernikiem zmowy, nie postrzeżono się nawet, gdy przyjmując jego radę, wydano się z własnymi zamiarami. Plan cały był osnuty. Kietlicz zyskiwał pomoc pieniężną i czynnego robotnika, któremu szło o własne życie i mienie, nakoniec pomysł szatański rozpuszczenia fałszywej wieści o śmierci Kaźmierza, który się wszystkim zdał najdzielniejszym środkiem, do odebrania mu ostatnich przyjaciół i sług wiernych.

Pozostale dziecię Kaźmierza, Leszek był małym chłopięciem, któremu opiekunem z prawa Mieczysław przypadał.

Rozjaśniły się twarze.

— Nie ma już potrzeby tak pilno myśleć o Mierzwie—rzekł Kietlicz.—Może posiedzieć trochę, uwolnim go, zamek zdobywszy!

Juchim zmarszczył brew.

— Byle nie zdradził, nie gadał, i nie uciekł—dodał chmurno—bo za niego wezmą mnie i zabiją!

— Nie bój się — przerwał Serb — tobie się nie stanie, a rychło też wszystko się skończy musi.

Po tej rozmowie żyd uspokoił się nieco. Nie było już dłużej o czem rozmawiać, poszeptano jeszcze i Juchim, który musiał nocą do miasta powracać, aby wycieczki jego nie postrzeżono, wymknął się do swoich sani. Kietlicz kazawszy też konie podprowadzić, wyszedł do oczekujących w wielkiej izbie.

Jeden z nich zaraz przeciw niemu wystąpił, był to młodszy brat z Kozieglów.

— Powiedzcie nam, coście uradzili — odezwał

się śmiało — bośmy tu karku nastawiając darmo nie przybyli, i chcemy wiedzieć, jak stoi sprawa? Będzieli z niej co? Albo znów mąka przepadła i chleba nie upieczem.

— Wszystko stoi, jak było mówiono — odparł posłannik Mieszka—nie zmieniło się nic. Stójcie pogotowi, my przyjdziemy. Nie chybcie nam.

Ziemiańskie urażeni trochę, że im długo czekać kazano, nie zwierzając się niczego, poczęli wołać.

— Nie chybcie wy! niejeden raz myśmy już na was czekali, a my nikogo nie zawiedliśmy. Wodźcie nas, wodźcie, Kaźmierz jak siedział, tak siedzi, aby i teraz tak nie było!

— Teraz pora inna i my gotowi — rzekł Serb surowo—ksiaże z synem Bolesławem na granicy już stoi. Z Wielkopolski lud pójdzie z nami, Pomorze i Szlązko.

Wtrącił ktoś, że bez Szlązaków lepiejby się obeszło; inny dopominał się naznaczenia czasu — odparł Kietlicz—że to od wyciągnięcia na Ruś zależało. Gwar się wszczął o prawdopodobny ów czas wyjścia, gdy już ten, na którego się oglądano, znikł z izby i przez komorę do koni swych pośpieszył, aby nocą dostać się do lasów i nie być postrzeżonym.

Gdy go nie stało, wszyscy też na noc szukali legowisk na sianie, ławach, gdzie kto uspiął miejsce pochwyć. Nazajutrz zapowiedziane były łowy, z których mieli się wszyscy rozjechać, każdy w swoją stronę.

Tak ten spisek siedemdziesięciu uknuł się pod boki księcia, czujnym okiem biskupa i pilnym dozorem brata jego Mikołaja, a nikt się go prawie nie domyślał. Stach jeden miał jakieś przeczucia, chwytając ślady knoń, których nie mógł złapać wątku. Obawiał się wyprawy na Ruś i ogłoszenia Krakowa, lecz biskup gromił go, że siebie i drugih niepotrzebnie trwoży.

Tak pochwylenie Mierzwy, które zdawało się

szcześliwą zdobyczą, pomnożyło tylko niebezpieczeństwo, wciągając w spisek Juchima i wszystkich tych, na których ów wpływ miał i związki z niemi.

Na zamku, w mieście nikt nie przypuszczał nawet, aby co ukochanemu księciu zagrażać miało. Wróżono mu zwycięstwo nowe, bo wszystkie wyprawy szczęśliwie się wiodły i Kaźmierz nie powrócił z żadnej nie pokonawszy nieprzyjaciół, nie postawiwszy na swem co zamierzał.

III.

Na krakowskim zamku, pomimo trwożącej jeszcze zimy, która w tym roku dłużej niż zwykle wiała od Tatarów chłodem i śniegiem, wszystko się sposobiło do wyruszenia na Ruś z pochodem.

Sam książę zdawał się wyprawy najgoręcej pożądać, już dla swych stosunków z kniaziami, już dla utrzymania wpływu swojego na kraje te, które chciał w zawisłości od siebie zachować. Biskup Pelka i brat jego wojewoda podzielali myśl Kaźmierza; w ziemianach i rycerstwie, jak czasu poprzednich wypraw na Ruś, wielkiej ochoty do wojny tej nie było—ale młodzieży śmiała się nadzieja walki.

Nie zwolywano na radę starszyny, postanowiono w małym kółku na zamku, aby ruszyć, a książę ani przypuszczał, ażeby ziemianie iść odmówili lub sarkali na to.

Pelka z bratem, oba ludzie silnej woli, nie obawiali się nikogo, mając księcia z sobą, na ziemian nie wiele zważali. Nie rozumieli tego, aby im kto

opór mógł stawić. Wojewoda Mikołaj szczególnie lekcewazył radę cudzą.

Zdania były podzielone na dworze księcia, Goworek wierny druh i sługa, pytany milczał, lub, gdy Kaźmierz naglił, nie śmiało przebąkiwał, że wojna ta nie była mu po myśli, a ludziom po sercu.

Książę przypisywał to jawnej już niechęci Goworka przeciw wojewodzie Mikołajowi i od myśli swej nie ustępował. Inni bliźcy księcia niespokojni byli, widząc, że znaczna liczba ziemian szemrała przeciw rozlewowi krwi dla spraw ruskich, które lekceważono.

— Co nam potem czy Roman czy Wsewołod będą panowali na tych pustkowiach? Jak jednemu tak drugiemu wierzyć nie można, a pomagać nie warto!

Kaźmierz chciał przyspieszyć już tylko wyprawę, gdyż od pobytu w Krakowie kardynał Malebranca, który tu przybył wzywając na wojnę krzyżową, miał na sercu jeśli nie Saracenów, to innych bliższych pogan wojować i iść w puszcze polskie na Jaćwież.

Wieść o zdobyciu Jerozolimy od lat kilku gorliwsze o wiarę rycerstwo do wojowania z poganą pobudzała. Nie mogąc się wybrać do ziemi świętej, Kaźmierz chciał przynajmniej zmusić sąsiednich pogan, aby wiarę przyjęli. Odwoływały go chwilowo niepokoje między Romanem a Wsewołodem, chciał się oswobodzić od Rusi i zaraz potem iść z krzyżem.

Część rycerstwa już powoli pociągnęła ku ruskim grodom, reszta wybranych, przyboecznych księcia gotowała się też wyjść z Krakowa. Ściągały się i dopełniały pocztę, sposobiły wozy — czekano tylko aby niebo się cokolwiek rozpogodziło, a ziemia stężała.

Dawno Kaźmierz nie był tak dobrej myśli, tak wielkiego jak teraz ducha. Przeszłe zwycięstwa spokojnym go czyniły o losy wojny; dłuższy spoczynek ochoty do ciągnięcia dodawał.

Księżna Helena też życzliwa Romanowi, nie

śmiejąc namawiać do wojny, w duszy jej była rada. Mały ona wpływ wywierała na męża, ale woli jej chętnie czynił zadość w tych rzeczach, któremi mógł jej dowieść, że całkiem obojętnym nie był.

W samych początkach, gdy zagadano o pochodzie, niektórzy się starali księcia powstrzymać, teraz, gdy postanowienie zapadło, każdy myślał tylko jak dopomódz.

Ostatnie to były wieczory u stołu z duchownymi i ulubieńcami.

Dnia tego byli oni wszyscy jakby na pożegnaniu zgromadzeni, nie brakło i ulubionego księciu mistrza Wincentego, ani świeckich kilku przyjaciół, między któremi żartobliwy i wesoły Chmara niepoślednie miejsce zajmował.

Gdy poważniejsi puszczały się na zbyt kręte manowce, stawiając sobie zadanie do rozwiązania niemożliwe, Chmara występował z prostodusznością swą i kmiecym rozumem, umysły pośpinniałe rozweselając.

Wiek podeszły nie pozwalał mu ciągnąć z księciem, był nawet trochę tej wojnie przeciwnym, choć nie dla tych co inni pobudek. Jemu żal było oblicza pańskiego i wieczorów na zamku spędzonych.

Książę Kaźmierz, jeszcze nie wyszedłszy, obliczał już kiedy powróci, rachował dnie pochodu, czas potrzebny do załatwienia sprawy pomiędzy kniaziami, odpoczynku i powrotu. Wszystko się obiecywało łatwym i szybkim. Wiosna nadchodząca wyprawę miała uczynić bezpieczniejszą dla ludzi i koni. Goworek słuchał pańskich wróżb i milczał. Mistrz Wincenty, z wielkiej miłości swej dla pana, słowy wytwornemi prorokował laury nowe, zdobycze mnogie i sławę pokojodawcy.

— Rycerska jest rzecz — mówił — pragnąć wojny, a królewska wojnę rycerstwu i państwu uczynić pożyteczną. W pokoju gnuśniejają ludzie, w gnuśności na enocie łatwo stradają. Niedawno rzymianie męż-

two a cnotę mieli za jedno, bo bez mężstwa cnoty nie ma. Da Bóg uspokojenie na Rusi, poniesie pan nasz najmiłszy krzyż na piersiach przeciw pogan w Polesie, którzy ani mniej złośliwi, ni bardziej godni są litości nad Saracenów. Opieka rycerza, patrona naszego, Florjana świętego królestwu temu zyskana, orężowi pańskiemu błogosławić będzie.

— Wojna, piękna rzecz — wtrącił Chmara — nie przeczę, a no wy, panowie duchowni, zachęćcie nas do niej, sami jednak siedzieć doma wolicie.

— Bo my między czterema ścianami największego wojujemy nieprzyjaciela jaki kiedy powstał na ziemi, szatana i ciało nasze podległe pokusom jego — odparł mistrz Wincenty — a modlitwy nasze orężowi waszemu skutecznie w pomoc przychodzą.

Chmara skłonił głowę.

— Miłościwy panie — zwrócił się do Kaźmierza — żebyś choć na skowronki poczekał i na trawę zieloną, pod namioty będzie zimno!

— Nim my się do Halicza dobijemy i wiosna też dopędzi nas — rzekł Kaźmierz.

— Na to się coś nie zanosi — odezwał się milczący Goworek. — Ja, gdybym odradzać śmiało, miłościwego pana odciągnąłbym od tej wojny, której i wojewoda Mikołaj sam mógłby podolać.

— Dla czegoż mnie rycerskiej sławy i uciechy pozbawiać chcesz! — spytał książę z wymówką. — Masz że mnie już za niedołęgę i niewieścucha?

— Nie, ale miłość wasza droższą mi jest niż wszystkie ruskie kraje — odpowiedział Goworek. — Prawdę mam rzec, wołałbym na zamku widzieć księcia niż na dalekich szlakach z całym rycerstwem, gdy tu — ja zawsze go mam na myśli — Mieszek czycha może? a z oddalenia chceć korzystać.

— Krzywdzisz brata mego — odezwał się książę. — Choćby i pragnął panowania nie sięgnąłby po nie z bezbronności korzystając. Stał by mi po rycersku oko w oko do boju.

— Nie chcę ujmować Mieszkowi—tłumaczył się Goworek—zestarzał stary, a za nim Kietlicz stoi, ten nie śpi!

— O Kraków lękaś się?—zapytał książę śmiejąc się.

— I o Kraków i o ziemię krakowską, która stać będzie otworem.

— Za nie że liczysz Mikołaja, który za wieloletnim stanie? Ten ci tu na straży będzie!

Spuściwszy głowę zamknął Goworek. Po chwili Chmara się odezwał tonem sobie niezwykłym.

— Ci co od Wielkopolski przybywają mówią, że tam bardzo wojenno wygląda.

— Nie przeciw mnie! spokojny jestem — rzekł książę.

— Jak skoro wasza miłość spokojną, nam się niepokoju ukazywać nie godzi — zamknął Goworek.

Na wiosnę się zbierało, wyznaczono dzień wyjazdu. Książę duchownych prosił o nabożeństwo i błogosławieństwo na drogę. Wszyscy posmutnieli, gdy się czas wyruszenia zbliżył, nawet ci co wyprawy nie byli przeciwni. Goworek, choć ostrożnie przypominał, że zamku zupełnie bezbronnym zostawiać się nie godziło. Odpowiedział mu książę, składając wszystko na wojewodę Mikołaja, ale przyjaciel na imię to głową potrząsał.

— My tu zostaniemy—rzekł—z tem co W. Miłości najdroższe, z księżną panią i dziećmi, więc się troszczym. Za złe nam nie bierzcie.

Podał mu rękę Kaźmierz uśmiechając się, Goworek ją ucałował.

— Gdy wy tu z niemi, jam o moje skarby spokojny dodał.

Wieczora odjazd poprzedzającego wcześniej się z zamku zwykli biesiadnicy rozeszli, Wichfried towarzyszył panu do sypialni. Był on zawsze tym druhem co dawniej, choć od czasu zerwania z Dorotą zaufania wiele postradał. Śledził tak dobrze Kaźmierz, iż

o wycieczkach za Wisłę był uwiadomiony, książę go nigdy nie brał z sobą, ani mu o nich wspominał, a gdy Wichfried napomynać próbował, zagadywał o czem innem.

Brak zaufania płacił mu książę uprzejmością wielką i obfitości darami. Byłby wreszcie może i zwierzył mu się, gdyby nie Jagna, która między sobą a księciem nikogo mieć nie chciała.

Panowała ona teraz nad sercem odzyskanem, tak jak niegdyś — władza jej silniejszą była może, choć wdziek młodości lży zmyły z jej twarzy, a smutek na niej gościł częściej od uśmiechu.

W pustem domostwie za Wisłą prawie sama jedna, Jagna pędziła życie, jakiegoby inna niewiasta nie zniosła. Gdy księcia nie było, z okna dworu, które ku Wawelowi wychodziło, patrzała na zamek, śledząc co się tam na nim działo, odgadując co książę robił o każdej dnia porze, szyjąc w krosnach, czekając na niego.

Krosna stały u okna tego, oczy jej nie schodziły prawie z Wawelu. Milcząc, rzadko do kogo przemówiła, oprócz pana swego i sług. Żyła myślą i sercem. Potęgowało się w niej samotnością to przywiązanie, które pochłonęło życie całe — tęskne godziny oczekiwania opłacały się temi, które z nim pędziła.

Dla niej Kaźmierz nie miał tajemnic, przed nią jak przed samym sobą mógł wypowiadać wszystko, i tęsknoty życia i jego nadzieje a zamiary. Jagna tak się umiała zespolić z myślami jego, że nigdy o nic sprzeczka żadna nie powstała między niemi. Chciała tego tylko co on, a z wyrzeczonego słowa snuła myśl, która w niem jak w ziarnie tkwiła.

W początku tajemnicą był ten pobyt Jagny i wycieczki Kaźmierza, który z sobą nie brał nikogo oprócz wiernego Smoka, milczącego jak kamień. Później ukryć się to nie mogło. Zausznicy donieśli o tem księżnie Helenie, która oplakawszy błąd męża, wedle zwyczaju, udawała, że wcale o nim nie wiedziała.

Dorota, która z zaciętością wroga starała się powziąć wiadomość o tej co jej Kaźmierza odebrała, wysledziła miejsce jej pobytu, ale wszelkie zabiegi, aby się tam dostać, wysłać kogoś, napaść jakąś zgrotować — rozbiły się o czujność ludzi, którym straż była powierzona. Smok sam ich dobierał, a miał takich, co z obcemi mówić nawet nie chcieli. Odźwiernym zaś był człek, co nie spał nigdy i nie wierzył nikomu. Dwór bardzo szczupły otaczał Jagnę, a ten się prawie ztąd nie oddalał, aby do miasta nie wynosił wieści i z niego niepotrzebnych nie ścigał.

Stara Czechna służąca Dorocie, z polecenia jej różnemi sposoby zabiegała, aby się dostać do murosanki (tak ją zwano), albo z którą z dziewcząt zawiązać stosunek — wszystko dotąd było próżnem. Niemawie, pragnienie zemsty wznagały się w Dorocie, w końcu już jej nie tyle może szło o odzyskanie Kaźmierza, co o pomszczenie się na współzawodnicy.

Z myślą tą dzień i noc się nosiła, poprzysiegając, że póki żywa się jej nie wyrzecie.

W pomoc chciała użyć Wichfrieda — odmówił, księciu przypominać przyrzekał zawsze, ale nadto nie więcej. Znajdował do tego sposobność, wtrącił słowo, Kaźmierz słuchał niecierpliwie. Jeżeli o co dla niej prosił, dawał chętnie, ale na oczy widzieć i znać jej nie chciał. Miał teraz wstręt do niej, a to co z boku chodziło, zwiększało go jeszcze. Litował się nad nią i brzydził. Gdy zabiegała mu drogę, odwracał oczy.

Ze śmiercią starego wojewody Szczepana, Dorota straciwszy najpotężniejszego ze swych opiekunów, w miejscu jego wybrała drugiego możnego a niemłodego wdowca z rodu Porajów. Miotła nim jak chciała, a posługując się z wielkiem jego krewnych zgorszeniem.

Wichfried też często całe dnie tu przesiadywał, młodzieży pełno było zawsze; rzadki wieczór bez

śpiewów i piasów przechodził, w których gospodyni zawsze przodowała. Niemiec widując ją tak wesołą, wmawiał, że juści Kaźmierza zapomnieć musiała, naówczas marszczyła brew, zacięła usta i odpowiadała:

— Obaczysz!

Lata płynęły, a osobliwa ta niewiasta trzymała się zawsze młodo, na podziw świeżo i rzeźwo na umyśle. Z latami zdawało się jej przybywać zuchwastwa i gorączki do ladajakich rozrywek. Najszaleńsza myśl się jej jęła, byle coś cowego w niej było. Dostać się nie mogąc do murosanki, Dorota czasem puszczała się w okolicę, stawiała niemal pod oknami na widoku, tak by ją Jagna mogła zobaczyć i palcami wskazując na okna, ruchami różnemi ścigając oczy na siebie, dokuczała nieprzyjaciółce.

Jagna ani się sromowała, ani tych wyznań unikała. Gdy ją Dorota zastała w oknie, nie uciekała przed nią, zasiadała całą twarzą do niej obróconą i spokojem swym uragała Dorocie. Była to wojna niema, ale zajadła.

Wieczorem książę wszystkich odprawivszy, ze Smokiem, który przy koniach czekał za bramą — ruszył za Wisłę. Rzeka stała jeszcze lodem, choć już puszczać zaczynało. Kaźmierz nie uląkł się ani kruszych lodów, ni płonek rybaczyc — ruszył na drugą stronę. U wrót po uderzeniu pana poznawano, otwierały się natychmiast.

Na górze czekała zawsze Jagna z lampką w ręku, bo czuła gdy pan przybędzie. Szli potem we dwoje do jej izby, gdzie zimą ogień płonął i stół był nakryty. Tu siadali oboje, i jakby nie wczoraj, ale tylko co przerwana rozmowa, rozpoczynała się znów. Tym razem książę przybywał smutny.

— Ej! gołąbko ty moja! — zawołał — kiedy ja do ciebie powrócę? Wszak ci to wyprawa za pasem, a ja... z pożegnaniem!

— Wiem — odpowiedziała Jagna spokojnie. —

Wyprawy ja się nie boję, Bóg i święty patron ustrzeże. Tego co się tu zostaje, to się lękam.

Jagna od Stacha przez Hreczynę miała wieści.

— A czegoż się ty tu boisz?—spytał książę.— Mieć będziesz opiekę, o tom się starał.

— Mnie jedno widmo prześladowe. Mieszkowe—odezwawało się dziewczę.— Mówicie, że mi się to śni; sny tych co kochają, próżne nie są. Dusza czuje co ukochanemu zagraża.

— Wszystkim bo wam Mieszek na myśli—rzekł obojętnie Kaźmierz.—Bodajbym straszniejszego nieprzyjaciela nie miał! Cóż on może?

— Co? a no i Kraków ci wziąć!—zawołała.

— Zważajże ty, dziełatko moja złota—rozśmiał się książę—że go sami ziemianie moi ztąd wygnali, nie chcieli go, a mnie przymusili bym tu siedział.

— O, królu ty mój!—odparła Jagna—albo wy ludzi nie znacie, albo ich na swe podobieństwo wyobrażacie. Ci co kochają dziś, jutro nienawidzą.

— Nie dałem powodu! Bóg świadek!—rzekł książę.

— A bez powodu nienawiści nie ma?—poczęło dziewczę.—Gdy mu serce żółcią zapłynie, człek sobie powód wyszuka. Wszak ci już mówią.

Tu się wstrzymała, spojrzała, smucić go nie chciała.

— Śmiało, Jagno! co mówią?... — podchwycił książę.

— Mówią — ciągnęła dalej — ot tak, że mając iść na wojnę, książę Rady nie pytał, mówią, że wojewoda Mikołaj bardzo sobie dumnie poczyną, mówią, że pan krwi ziemian nie luluje, mówią, że Rus tego nie wart!

— Jam to wszystko słyszał—rzekł Kaźmierz—Goworek mi to powiada, rycerstwo ciągnie z okrzykiem, a Miklasza pocziwego słuchają jak dzieci, z Rusi łup nie do pogardzenia przywożą: i pawołocze i futra i srebro i złoto.

Jagna główką wahała.

— Wolać Boża — odparła — co on przeznaczy, człek nie przeinaczy! Panu mojemu, orłowi białemu chce się na wojaczkę, o! chce!

— Bom do niej stworzony, na nią wysadzony!—mówił książę — choć ja krwi przelewać nie lubię, choć wolę ksiąg czytanie i z gołąbką gruchanie. Rycerstwo by mną pogardziło a nazwałoby mnichem, gdy i tak z mnichy rad siedzę.

Jagna pomilczała, zaśpiewała.

— Panku złoty! — ozwała się — czarne myśli dzierzgać przykro, a no mów! Gdyby się to stało, co się stać nie może, da li Bóg! gdyby ten Mieszek Kraków opanował, co ma Jagna czynić?

Książę, śmiejąc się, ramionami niecierpliwie ruszył.

— No, mów, co czynić ma?

— Nie może to być!

— Nie może! Bajki prawmy!—mówiła Jagna—dzieciom na sen, starym na zabawę; juści się bajdy plotą. Co mam czynić, gdyby Mieszek Kraków wziął?

— Uparta gołąbko moja!

— O, we wszystkim, biały orle mój! w miłości, w nienawiści, i w żalu i w smutku! O, uparta! Co robić, gdyby Kraków wziął?—powtórzyła po raz trzeci.

— Ani go weźmie, ani się on kusi!

— Bajkę prawmy!

— Cóżbyś ty zrobiła?

— Co? Siadłabym na konika i może do Ści-borzyca, do Gaju, albo gdzie w las uciekła. Zwolałabym ludzi, strąbiła ziemiany, hej! kto wie? Kraków odebrała!

Kaźmierz śmiać się począł.

— Tak i czyn, a no bajki dosyć — rzekł smutniej. — Mikołaj wojewoda wie, że murowanki ma strzedz jako oka w głowie, ale kto w niej, nie wie.

— Wszysey wiedzą! wie i on! — rzekła spokoj-

nie. — Albo ja się wstydzę? Jam ci twoją pierwszą żonę, której ani biskupi narzucili, ani książęta swatali! a no, sam Bóg! Ślub nam dawał wiatr wiosenny w dębinie!

I rękami objęła Kaźmierza, a dwie łzy, jak dwie perły błyszczące, z oczów się jej stoczyły.

Wkrótce potem książę na koń siadał i gnał nazad na Wawel ze Smokiem; drugi raz puścili się przez łód, który pękał już pod kopytami końskimi i załamał się u brzegu, ale książę uskoczył na brzeg twardy, a Smok za nim przez wodę się rzucił.

Drugiego dnia bito we dzwony. Książę wyjeżdżał wprost od drzwi św. Wacława, przeprowadzony przez duchowieństwo, zawrócił na Kleparz do nowego kościoła św. Floryana, patrona swojego; modlił się tam jeszcze, a rycerstwo rozwinawszy znaki, zanuciło

Boga-Rodzicę.

Szli wesolo, choć wiosenna odwilż z mokrym śniegiem i wiałą biła w twarze, szli wesolo żegnając panie mieszczyki i panów mieszczańskich, stojących u progów, siedzących po oknach, — szli wesolo, bo przodem jechał z poczem świetnym sam książę, a z Wawelu księżna Helena, Goworek, Pelka, dwór długo za nimi patrzali, krzyżem świętym żegnali.

— Bóg daj powracać zdrowo! Bóg daj prędko! Bóg daj wesolo!

Na zamku stało się straszliwie pusto, stratowane podwórca, pootwierane szopy, ślady wozów, ludzi resztki, niedobitki, straż we wrotach słaba. Goworek się krzątał, aby w porządku garstkę tę utrzymać, którą mu zostawiono więcej dla posługi niż dla obrony.

Stach, choć po uwięzieniu Mierzwy trochę nabrał otuchy, że im szyki pomieszał — całkiem nie był spokojny. Ludzie, przez których się dowiadywał co się działo po ziemi i okolicy, niedobre znosili wieści. Juchim był spokojny, mało mówny, jakby więcej wiedział niż chciał mówić. Ruszał ramionami,

narzekał na nieszczęście swoje, a po nocach się gdzieś wykrażał.

Biskup Pelka, któremu Stach się ze swych strachów spowiadał, odrzekł mu:

— Jeśliś podejrzliwy jedź tam z kąd ma zagrażać niebezpieczeństwo, a dochodź czy ono tam jest? Aliści bodaj widma się wam przed oczyma suwają!

Odprowadzony z tem Stach wrócił do dworku, niepewien, czy ma jechać i gonić wiatra w polu, czy tu stać na straży? Dzień i drugi wałęsając się po mieście, spędził na rozmyślach. W końcu, że mu zawsze siedzenie w miejscu doskwierało, ruchu i zajęcia potrzebował, kazał konie sposobić. Żegiec też nie od tego był, i on sobie przykrzył zamknięty.

— W polu zawsze się jakaś zwierzyna nawinie — mówił — a w progu domu chyba pies ogonem zakręci pod nosem.

Gotowali się więc do podróży. Czas był obrzydły, bo ziemia u nas okropniejszej pory nad tę co wiosnę poprzedza. Wojuje ona z zimą, która jak w brudnych łachmanach żebraczka, barłogu swojego broni. Śnieg, deszcz, wiatr mieniały się z mrozem i ślizgawicą, z odwilżą do kości przejmującą. Pora to jednak była najprzyjaźniejsza dla tych co potrzebowali krętymi drogami przemykać się niepostrzeżeni, bo po gościńcach nawet trudno było kogo spotkać. Stach rozpytujać, z ludźmi gwarząc po drodze, po gospodach sznurkując, zaglądając do chat, włókł się nie śpiesząc, ku Poznaniowi i Gnieźnie.

Choć dnia już było przyrosło, nie pędził bardzo koni, jechał nie śpiesząc, aby dalej. Odsadzili się już o dni kilka od Krakowa, gdy na noclegu spotkali się z kupcami, ciągnącymi od Wielkopolski do Krakowa. Byli to Niemcy, którzy potrosze się języka nauczywszy, z mową łamaną, znając już kraj, nie obawiali się po nim wędrować dla zysku, opatrzeni w listy przechodnie od książąt i duchownych.

Stach leżał już na sianie w izbie, gdy nocą przy-

Stach z Konar. Tom IV.

blakali się do gospody i szczęśliwi, że ją znaleźli, zabierać się zaczęli do spoczynku. Nie troszczyli się o to wiele, że ich rozmowę mógł kto słyszeć, mówiąc z sobą po szwabsku, i pewni, że ich tu nikt nie zrozumie.

Ponieważ w tej samej izbie w drugim końcu się umiescili, Stach mógł wysłuchać rozmowę. Było ich trzech. Mamrotali zrazu po cichu, a potem, ośmieleni czy zapominając się, coraz głośniej.

— Aby no listy nie zamokły — rzekł jeden.

— Nie ma strachu o to, dobrzem jeskórą obłożył — odparł drugi.

— A księcia Mieszka pisanie gdzie?

— Tam, gdzie inne.

— Trzeba śpieszyć, choć droga psia, bo to ważna sprawa, a i nagroda będzie sowita.

— Najgorzej z dopytaniem się do tego w Krakowie, któremu list do rąk oddać trzeba. Jak się on zwie?

— Warsz, starosta... o nim tam wszyscy wiedzieć muszą. Drugi do menniczego Juchima, ten też znany być musi.

Stach uszu nastawił pilno.

— Trzeci znaczek trzeba jeszcze gdzieś wieźć w sąsiedztwo, mila czy dwie, nie wiem.

— Niedaleko, jam tam już był — odezwał się drugi. — Zamek to pański, a ludzie bogaci i sprzedać co można.

Niemiec przekreślił nazwisko Tęczyna, ale Stach się go łatwo domyślił.

— Wszystko pilne, pilne! — rzekł najstarszy z nich. — Książę Mieszek już sunie ze swojemi.

— Kupę ludzi nazbierał.

— Jak mrowia tego jest. On i syn i kilka książąt.

— I pan Hendrych, co listy nam te dawał.

— Mieszek też osobą swą.

— Ja — rzekł inny — nie będę tam długo popa-

sał. Weźmie się na wojnę, na zabijatykę, obcemu człowiekowi zginąć łatwo, listy nie pomogą. Obedrzeć zechcą, żoldactwo grabieżniki.

— Czasu jeszcze dosyć nim książę Mieszek nadciągnie. Zejdziemy z drogi. Mówią nawet, że wojny nie będzie, bo tam ze sobą mają zmwę. Zamek in poddadzą i miasto.

Szydzili Niemcy z tego, co się gotowało dla Krakowa. Stach słuchał, słuchał przyczaiwszy się, tchu nie puszczając, a że więcej chciał się dowiedzieć, długo ani drgnął na posłaniu. Pierwszą myślą jego było rzucić się na Niemców, aby im listy, które wiezi odebrać, lecz, obrachowawszy się z siłami swemi, bojąc się popłoch rzucić, boć pozabijać wszystkiel było mu trudno — Stach inaczej postanowił. Leżał spokojnie dopóki się do snu nie poukładał; gdy znużeni wkrótce chrapać poczęli, wstał i z izby wybiegł do Zegcia, do koni. Obudził go, kazał siodłać.

Noc była jak w garnku ciemna; słota i wicher nad głowami — ale na to nie było co zważać. Gdy podróżni zaczęli się w stajni poruszać, czujny gospodarz wyszedł z ogarkiem. Powiedział mu Stach, iż sen miał taki, że jechać zaraz musiał preecz, zapłacił i w świat — nazad do Krakowa.

Szczęściem pierwszą część drogi robił i nie śpiesząc, konie zmęczone nie były, mogli więc napowrót pędzić co tchu, choć ślizgawica, błoto, lody i wody piekielnie dokuczały. Teraz już gościeńca nie patrząc, na proszki trzeba się było przedzierać, a prędkiej. W stajni widzieli konie kupców, które były spaśne i duże, do chodu dobre — wyprzedzić je musieli.

Więc prawie bez spoczynku zaczęli biedz, i co wprzód dni kilka kosztowało, teraz we dwa, licząc z nocami, przebyli zdyszani, konie pokaleczywszy, tak, że jednego na drodze zamieniono.

Gdy miasto się pokazało wreszcie, Stach lżej odetchnął, i jak stał do biskupa jechał.

Pora była wieczery. Pelka z bratem wojewodą, księży kilku siedziało u stołu.

Mowa była o tem właśnie, jak świeżo z Rzymu surowo ponowiono zalecenie, aby małżeństwa wszelkie księża błogosławili, i to nie po domach, ale w kościołach — jak surowo wzbroniono księżom brać żony a brody im golić polecono.

Wojewoda na tę surowość narzekał trochę, twierdząc, że dawniej księża żony zawsze miewali, ale biskup gorąco obstawał przy tem, iż ci co do wojującego kościoła należeli, nie powinni się byli obciążać rodziną, bo i rycerz idący na wyprawę, brzemion zbytnich na ramiona nie bierze.

Stach obłożony, zmęczony, zawsze mając wstęp do biskupa wolny, natychmiast wszedł do jadalni. Zobaczywszy go Pelka, uśmiechnął się dobrotnie i rzekł:

— Duchu niespokojny! powiedzże zkąd i z czem przybywasz?... Boś pono z podróży! widać to po tobie!

Odwrocił się doń i wojewoda, ale Stach, osób widząc tyle, mówić nie śmiał.

— Na gardło moje — zawołał wreszcie — wiadomość niosę taką, że od niej włosy na głowie powstać mogą! A no, czy miejsce mówić?

Biskup i wojewoda powstali ku niemu.

— Mów, nie zwlekaj! wszyseśmy tu swoi — dodał Pelka, patrząc na duchownych. — Sumieniem obowiązuję do tajemnicy.

Rozpoczął więc Stach opowiadanie, jak jechał, gdzie kupców spotkał, powtórzył co mówili, opisał ich konie, wszystko, czemu się dobrze przypatrzył. Naostatek dodał, że przysiądź był gotów na krzyż, iż to co mówił prawdą było. Życie jego przeszłe zresztą i znany charakter za nim świadczyły.

Wojewoda stał chwilę przerażony. Biskup stronę, z której płynęło niebezpieczeństwo — przeżegnał. Onie mieli wszyscy.

— Ludzi do obrony mamy mało — ozwał się wojewoda — zbierzemy przecież tylu, że się zamek utrzyma, w Bogu nadzieja!

— A miasto? — spytał biskup.

— Jeżeli starostę w porę schwycimy, może i ono — dodał wojewoda.

Stach na rozkazy czekał.

— Wy, co kupców konie znacie i twarze — rzekł do niego wojewoda — ruszajcie na gościniec, stąńcie na czatach. Chwycić Niemców trzeba i listy im odebrać...

Rachowano kiedy kupey przybyć mogą, a Stach co najrychlej obiecywał ich nazajutrz wieczorem, bo droga była rozkiszła, a konie objuczone.

Nocy już nie było dla biskupa i Mikołaja; ten posłał po swoich ludzi, konia sobie kazał podprowadzić. Pelka gromadząc co miał najkosztowniejszego, natychmiast się gotował schronić na zamek. Z obawy zdrady czyniono wszystko potajemnie i nieznacznie.

Noc upłynęła na posyłkach na wsze strony, nad ranem posły powracać zaczęli, sprawa się okazała gorszą niż sądzono. Resztki słabszych ludzi, pozostawione przez Kaźmierza, nie mogły się pościągać tak rychło. Nikt się nie spodziewał napaści, nie wierzone w nią.

Biskup i wojewoda, nie tracąc odwagi, bodaj z małą garścią postanowili na zamku siedzieć i nie poddawać ga. Obey już nawet wszystkiemu ludzie nazajutrz dostrzedz mogli, że noc coś przyniosła niespodziewanego. Na zamku ruch był wielki, opatrywano wały, tyny, bramy — a gdy ludzie pytali, mówiono, że na wszelki wypadek gotować się trzeba. Trwożne przeczucia ogarniały mieszczan, z których bojaźliwsi z mieniem się do zamku wpraszać poczęli. Tych, którzy mieli żywność i ręce zdrowe, przyjmowano.

Stach nad ranem poszedł do Juchima, ludzi

z sobą wzięwszy. Wrota były zaparte; gdy się do nich dobijać zaczęto, nierychło i niechętnie otworzyła służba. Sam Juchim nie pokazał się. Ludzie pomieszani, dopiero groźbą wyłamania zastraszeni, wpuścili oznajmując, że pana nie było, bo od dwu dni wyjechał do Wrocławia, gdzie wiadomo było, iż monetę kuł.

Pomimo to Stach wszedł, dom cały trzęsąc i rozpatrując, wśród jęku i płaczu niewiast i dzieci. Nie znalazł ani Juchima, ani skarbów jego, które chciał zabrać dla księcia. Że się one ukryte gdzieś znajdować musiały, bo wywieźć ich nie było czasu, wiedział Stach dobrze, lecz żadne groźby na ludziach ukazania wymódz nie potrafiły. Dom strażą obstawwszy, poszedł Stach do starosty Warsza, ale i tego dawno w domu nie było. Rodzina zaklinała się, iż nie wie, gdzie się znajduje.

Zasiadł potem, czatując na kupców na gościńcu u wrót miejskich — i czekał. Dzień, wieczór, noc i drugie tyle czasu zeszło — Niemcy nie przybyli. Wytrwał jednak na stanowisku, nie wiedząc, że kupcy obawę mając do Krakowa jechać, zawrócili naprzód do Tęczyna i tam zdawszy pisma wszystkie, sami w inną udali się stronę.

Stało się, czego Stach przewidzieć nie mógł, — a gdy po próżnem oczekiwaniu, nie pochwyciono zapowiedzianych, wojewoda człek prędkiej, Stacha za kłamcę poczytawszy, w pierwszym gniewie do więzienia go chciał wtrącić.

Biskup się temu oparł, gdy ponowiwszy przysięgę, Stach uroczyście zaręczył, iż prawdę mówił, której bliska przyszłość dowieść miała. W rozpacz po tym sporze z wojewodą, Stach, choć mu groziło niebezpieczeństwo, gdyby go Kietlicz pochwycił, zapomniawszy o sobie, nie chroniąc się na zamek, dzień cały przeleżał we dworku, straciwszy do wszystkiego ochotę.

Pamięć o obowiązku i pokucie nierychło wzięła górę i znękany zwłókl się z pościeli. Potrzebował

Jagnie oznajmić, aby ona o bezpieczeństwie swoim myślała zawczasu, ale właśnie Wisła była lody porwała i życia nie wając, na drugi brzeg dostać się nie było można.

Stach do życia wielkiej nie przywiązywał wagi, choć Żegieć, na kolana padłszy, błagał go, aby się na okrutną krę nie puszczał, wziął człon i sam z nim popłynął. Lody dopiero u brzegu sparły łódkę i obalili, tak, że wyskoczywszy na nie, częścią wpław, częścią po krach na ląd się dostali.

Od wyjazdu księcia Jagna już w oknie swem nie siadywała, w innej izbie, krosien nie tykając całe dnie, pół martwa, milcząca, w kącie się zaparłszy, drzemała i marzyła. Stachowi jednemu dostać się tu było można, bo przykaz był u wrót, aby go tu puszczano.

Przyszła więc ze swą smutną wieścią. Zobaczywszy go przed sobą, Jagna zakrzyknęła, domyślając się, iż darmo do niej przez kry na Wiśle nie przyszedł.

— Niosę wam zły gościniec — odezwał się Stach. Ot, co się dzieje. Mieszek na Kraków ciągnie, ino go nie widać.

— Pewne to? — zawołała, zrywając się.

— Jakom żyw.

Musiał jej opowiedzieć z kądem wiadomość wziął, słuchała go pobladłszy, ale wróciło jej życie.

— Niech biorą Kraków — zawołała — odbierze go im mój pan, a zdrada, w którą nie wierzył, na wierzch wypłynie!

— Co wy myślicie? — spytał Stach.

— Ja? ja miałam przeczucie — rzekła — czekałam tylko rychło li się to stanie. Na koń siadę, do Ścioborzyc w lasy, nie wiem! Hreczyna mi ślij z końmi!

— Przez Wisłę, a lody?

— Powiedzcie mu, że go chcę mieć — odparła Jagna. — Wisła ta broni mnie od Mieszka, a Hreczyn przy pomocy Bożej dostanie się tu, gdy lody przejdą.

Na ucieczkę czasu mam dosyć, gdy zamek brać zechcą, a w mieście zawrę! Nie boję się!

Ze spokojną twarzą, ale brwią ściśniętą wysłuchiwała Jagna resztę powieści.

— Nie byłoby tego — rzekła — gdyby nie ziemian zdrada, gdyby nie Doroty bracia i to brudne ich gniazdo! Pocięgę tylko mam, że gdy Kraków wezmą i siostrę zabiorą, a na wieżę posadzą!

Błysły oczy jej gniewem i zemstą, lecz płomyk ten prędko zagasnął. Posmutniała.

— Co mi ona? — szepnęła. — Pana mi już nie odbierze! Nie!

Stach patrzył na nią żałośnie. Uśmiechnęła mu się.

IV.

Dzień był pogodniejszy, słońce próbowało przebijać się przez chmury; z za nich wiosny obietnicami, pasami sinemi niebo oczyszczone przeglądało.

Skowronek nad rolę mokrą podnosił się do góry i śpiewał na owo nabożeństwo życia, jakby dzwonek na mszę świętą.

Boeciany leciały górą, mówiono, ale od Tatarów smagało jeszcze mrozem i śnieg powracał uparty. Między jedną a drugą winą, co się uciszyło, to ludzie spoglądali ku niebu. — Już wiosna?

Sypnęły potem krupy — znowu zima.

Młodzi mówili: tylko co zieleni nie widać, starzy prorokowali, że jeszcze śnieg powróci.

W mieście wymiatano śmiecia zimowe precz, ażeby je wiosenne wody z sobą wzięły, a spoglądano ku zamkowi, bo się tam działy rzeczy dziwne. Gdy książę wyjeżdżał, zamek stał otworem pusty, teraz wojewoda gotował go jakby do wojny. Lud pędzono do środka, żywność zwożono jak na oblężenie, ruch był, gwar i krzątanie. Śpieszono dniami i nocami. Robiło się niektórym trwożno, drudzy śmieli się wołając, że obawiać się nie ma czego. Tak dnie mijały.

Aż jednego rana ziemianie z okolic zbrojni wielkimi tłumami poczęli wjeżdżać do miasta, a wprost się na zamek kierować. Tam znaleźli wrota zaparte, wojewoda Mikołaj czuwał. Rynek stał już pełen koni i ludzi, między przybyłymi na czele dwóch braci było z Tęczyna, dwu braci z Koziegłów i Śreniawa z Proszowic.

Zobaczywszy ich zamięszanie, pomiarkowali zaraz, że nie dla Kaźmierza przybywali, ale przeciw niemu. Nie śpieszyli do zamku, gdy go zobaczyli zawartym — czekali. Coraz to nowe zawołanie, nowa chorągiew, nowy znak, nowe hasło wciągało do miasta. Ludzie się powoływali wedle obyczaju. Starzał Śreniawa! Koziegłowy! różnemi wrotami wchodzili Bogorje niektórzy, Różyce i inni tak, że z zamku patrząc, naliczono siedemdziesiąt znaków. Niektóre z nich były szczupłemi garstkami i rycerstwo to nie miało zbroi dobrych, oprócz przedniejszych, co świecili, reszta po małych, ubogich dworach zebrana być musiała.

Jechało to naprzód długo, bezładnie, kupiło się, aż kilku konnych nadbiegło z okrzykiem:

— Idą! idą!

Ruch stał się wielki. — Idą!...

Ulicami poczęły już wciągać wojska Mieszkowe, które po odzieży i znakach łatwo odróżnić było. Na czele pierwszych jechał młody Bolko syn Mieczysława, chłopak dzielny, wesół i rycerskiej postawy,

przy nim krępy Kietlicz z twarzą czerwoną. Tuż u jego konia znalazł się już Juchim, jak z pod ziemi wyrósł.

Trząsł się stary żyd z radości, za kolana obejmując to Kietlicza, to Bolka, a oczy mu się śmiały, a ręce podnosił, rzucał się, oglądał, tryumfował.

Na zamku cicho stało, jak mak siał. W dole krzyczano:—Żyw nam niech będzie książę nasz Mie szek!... Kaźmierz nie żyje!

— Kaźmierz nie żyje! — wołali nasadzeni. — Struli go miodem na uczcie Rusini! Na zamek! na zamek! Kaźmierz nie żyje!

Po mieście odgłos ten — Kaźmierz nie żyje! — poszedł jak piorun z ust do ust. Po twarzach ludzi widać było wielką żalność i trwogę. Łkać niektórzy poczynali, jakby ojca utracili.

Ziemiańskie się oglądali tylko — wołając. Na zamek!

Wszystek tłum z Bolkiem i Kietliczem, posypał się żywo, tłocząc, cisnąc ku zamkowi.

Juchim szedł przy koniu namiestnika, nie opuszczając go, powtarzając:—Nie mają się czem bronić! muszą się zdać!

Spytał Kietlicz o Mierzwę, a żyd oznajmił, że na zamku był więziony, ale nie mu się nie stało.

Na wałach zamkowych widać było zdala ludu dosyć, nie tak pusto, jak się spodziewano. Spokojnie stali patrząc, gdy z dołu ku nim wykrzykiwać Mieszka zaczęli i wołać, że Kaźmierz zmarł, że nie ma go już na świecie.

Do wrót ani Bolko, ani Kietlicz nie śmieli się zbliżyć bardzo, posłali przodem pólkównicę Serba Muchę, który począł wykrzykiwać, aby mu otwierano.

Krzyknął raz i drugi napróżno, z za wrót nie odzywał się nikt, choć na wałach stał dokoła lud zbrojny. Zaczęli więc we wrota żelazem kute tłuc i bić, aż naokół gęczenia ich słyszać było—i na to nie nie odpowiadano. Trwało to dobrych kilka pacierzy,

gdy na wyżki do wąskiego okna wyszedł ktoś i zagrzmiął głos.

— Precz od wrót, bo się kamienie posypią!

Pierchnęli ci co stali bliżej i zatrzymawszy się naradzali z sobą, wyszedł znowu Serb Mucha, wielkim głosem jakby na sądy wołał albo wolę książęcą opowiadał—krzycząc:

— Książę Kaźmierz nie żyje, zamek trzeba poddać na Mieszka. Miasto otworzono — wrota dawać! — Nie chccieli szturm i rzezi, posłuszni bądźcie. — Otwierać!

— Miasto całe nasze! — wołał Kietlicz.

— Ziemia nasza! — dodał Bolko zdala.

Patrzący z góry, zobaczyli w tej chwili człowieka, któremu zdawna nie wiele dawano wiary i nie wielką też miał wagę, choć miejsce znaczne zajmował. Był to starosta grodzki Warsz, pokorny sługa wojewody, biskupa, wszystkich zgoła, ale lis szczwany, który tu został na starostwie z czasów Mieszka, teraz znowu z nim szedł, wpródy się o to zmówiwszy.

Warsza tego, Pełka z bratem byliby dawno wygnali precz, a innego na jego miejscu osadzili, ale się obu im kłaniał, pochlebiał, zaklinał się, iż pana miłował nad życie tak, że go nad miastem od roku do roku zostawiono.

Sprawdziło się co Stach powiadał.

Warsza wypchnięto naprzód dając mu znać, aby mówił i począł ku wrotom wołać:

— Miasto się poddało, bo Kaźmierz pan nasz nie żyje. W Bożej mocy żywot człowieka. Otrułi pana Rusini, przysli ludzie z obozu płacząc. Starszy brat zajmuje ziemię...

Około Kietlicza i Bolka kilkanaście głosów wtórować zaczęło, że Kaźmierz nie żyje!

— Zamek zdawać! domagano się. Czekali na odpowiedź, gdy z okna odezwało się:

— Rozmowy z wami nie ma — zdala, od wrót!

nie chce się li wam trupa widzieć! Won zdrajcy, a nie to strzały!

Wysunęła się pięść ściśnięta przez okno, i w tem głaz ogromny z góry ciśnięty stoczył się na stojących tak, że Kietlicz ledwie miał czas uskoczyć, bo koniowi jego nogi potłukł. Głos ponury, groźny powtórzył Kietliczowi znaną mu przepowiednię nieboszczyka Gedki biskupa, o której wiedzieli wszyscy, do kogo się stosowała.

— W obcy cię kraj zawiodą jako koguta, co cudze pisklęta chce zagarniać, matkę z gniazda wyganiając.

Kietlicz posłyszawszy, zapienił się i pięści do góry podniósł ku murom!

Nastąpiła cisza krótka, z orszaku Bolka młodzież zaczęła znowu się odgrażać. Niechno książę nadciągnie! weźmiemy to osie gniazdo, z życiem nie ujdzie nikt!

— W pień! w pień! — krzyczeli Kietliczowi.

Na zamkowych zdało się to nic nie działać, a że na razie do zdobywania nagłego nie można było przystąpić, nahałasowawszy i nagroziwszy, postawili mocną straż, dokoła obesłali górę oddziałami, co jej z oka spuszczać nie miały, poczem Bolko, Kietlicz, Warsz i ziemian starsi pociągnęli do miasta.

Gród, w którym Warsz przez swych sotników i dziesiętników ład utrzymywał i poddał go, wprzód dy się o to zmówiwszy — pomimo, że się nie bronił i wrota otworzył, nie okazywał wcale radości z nowego pana. Twarze były zasepione, a ci co uwierzyli otruciu i śmierci Kaźmierza, płakali po nim.

Kietlicz posłał zaraz do dworca biskupiego, ale tam krom kilku starych duchownych, których tykać nie śmiano, nie znaleźli nikogo. Nie zamierzano też poczynić od gwałtów. Scholastyk Lambert, który często na zamku gościł, mąż surowy i nie obawiający się mówić prawdy, stanął przed Kietliczem.

z obojętnością dumną, nie obiecującą, aby na nim co wymódzić było można.

— Gdzie biskup? — pytał Serb.

— Tam gdzie jego miejsce, przy swym kościele — odparł Lambert — przy książęnej pani, na straży dzieci pańskich.

— Kaźmierz otruty, nie żyje. Mieszek z prawa opiekun, miasto mu się zdało, zamek powinien mu się też zdać!

Lambert ruszył ramionami.

— Z obozu nie było poselstwa ani wieści, nie wiemy nic.

— A nam wiary nie dajecie? — zapytał Kietlicz.

— To nie moja sprawa — rzekł zimno Scholastyk — jam tu dla kościoła zostawiony, nie dla was i księcia waszego.

Kietlicz odgrażać się począł, ale to najmniejszego nie uczyniło wrażenia.

— Idźcie na zamek do biskupa — dodał Serb — abyście ocalili się, póki czas. Czekamy tylko na przybycie księcia, potem szturm przypuścimy i noga nie ujdzie. Niech żywotów swych bronią...

Żołnierz rozsierzdzony sukni nie patrzy.

Scholastyk nie miał ochoty posługiwać Mieszkowi, namyślał się jednak, nie wiedząc, czy wiadomość na nieszczęście prawdziwą nie była?

— Jakiż dowód śmierci księcia Kaźmiera? — spytał.

— Posły były z obozu — krzyknął Kietlicz.

— Dajcież mi ich, abym z sobą na zamek prowadził — rzekł scholastyk — naówczas pójdę.

Serb naprzód lając i hucząc począł na zachwalstwo polskie, potem złagodniał i prosił, wreszcie scholastyk zgodził się do biskupa udać. Wziawszy kleryka z sobą i na wierzech sukni białą komżę włożywszy, aby żołdactwo duchownego w nim znało, z przewodem Kietlicza, poszedł scholastyk na zamek. Nie rychło mu wrota otworzono, poznawszy go, bo się

obawiano zdrady. Dopiero gdy się straż Kietliczowe oddaliły, furtę trochę przemknęto i wpuszczono ks. Lamberta z klerykiem. Straż, która z nim przybyła, pozostawała oczekując powrotu.

Na zamku znalazł scholastyk lud w gotowości, rozstawiony po wałach do koła, bo się lękano, aby z którejkolwiek słabszej strony nie kuszone się wtargnąć znienacka. Sam wojewoda Mikołaj we zbroi z toporkiem w rękę ustawiał i porządek czynił. Zobaczywszy Lamberta, podszedł ku niemu, domyślając się z czem przychodził.

— Idźcie do biskupa — rzekł — ja zamku poddawać nie myślę do ostatka. W śmierć Kaźmierzową nie wierzę, zdradą ona jest i lżą. Warszłotr, przechera miasto poddał, my bronić się będziemy.

Jakoż przygotowania widać było ogromne. Znoszono i ściągano na wały kamienie, drzewo i koły i co gdzie było na zamku dawniej przysposobionego na obronę, wideł, głazów, kół zębanych, narzędzi różnych i ciężarów. Ludu wojennego było mało, ale do obrony pod kilku dowódcami, każdy się nadawał, kto ręce miał. Wojewoda wcale się nie uląkł, a zajądłością największą pałał przeciwko zdrajcom szczególnież Warszłowi.

— Gdy da Bóg, książę wróci, ten mi głowę da! — wykrzykiwał.

W samą porę jeszcze Stach się też na zamek był schronił, boby go w mieście zemsta nie minęła.

Jakoż zaraz po otwarciu bram, Juchim, który się go obawiał, na dworek jego naprowadził ludzi. Przetrzęśli go, po wyżkach, na strychach, w lochach szukając i nie znaleźli nic, oprócz czeladzi, która o niczem nie wiedziała.

Grabić też niewiele co było.

Stach tymczasem na zamku był prawą ręką Mikołaja, i kaftan a zbroję przywdzawszy, biegał po wałach znużony. Znając Mierzwę i przebiegłość jego,

obawiał się nie bez przyczyny, aby człek, którego na zamku trzymano, stróżów, co z nimi mieli styczność, nie namawiał do zdrady. Mogli się znaleźć tacy, co uląklszy się Mieszka potęgi, a uwierzywszy w śmierć Kaźmierza, zamekby wziąć dopomogli. W czas tego więźnia przypomniawszy, Stach zaprowadzić go kazał do ciemnicy, do której jedzenie otworem podawano, a Żegciowi swemu pilność nad nim zlecił.

Gdy sam z tem do Mierzwy przyszedł, chytrym wzrokiem zmierzył go sędzia, w którym się jakaś otucha przebiła. Sądził, iż go może do poselstwa i układow użyją, i dopiero postrzegłszy, że go pod strażą wiodą, uląkł się losu, jaki mu był zgotowany.

Schylił się do kolan Stachowi, o życie prosząc.

— Życia ci nateraz nie odbiorą — odparł Stach — ale to wiedz, że jeśli się wyrwać będziesz próbował, a wezmą cię, ubić kazałem w miejscu.

Mierzwa ręce podniósł do góry, mówić chciał, nielitościwy Żegieć za kark go ująwszy, pechnął i do ciemnicy popędził.

Czuwano na wałach dzień i noc. Mikołaj ani siadł spoczywać. Biskup pocieszał księżną płaczącą i strwożoną i jakby nie było nic, do kościoła dzwonić kazał, nabożeństwo odprawując uroczyste. On też wcale o poddaniu się nie myślał. Goworek, któremu pani i dzieci zdane były, zbroję też wdział, ale w niej najwięcej u proga Teremu i mieszkania Heleny stał, bo z wojewodą w nieprzyjaźni będąc, stronił od niego. Zdawna się oni z sobą o znaczenie i pierwszeństwo spierali, bo wojewoda równym go sobie nie chciał znać, a Goworek ulegać mu się wzdragał.

Niewiasty, które powybiegały strwożone ku wałom, gdy się wojska zbliżały, posłyszawszy, że książę Kaźmierz nie żyje, zaniosły wieść tę do pani, która padła zemdlona. Nierychło dopiero potrafił ją tem uspokoić Goworek, iż jawne kłamstwo zmyślone, aby

zamek pochwycić, bo z obozu świadka nie było. W niepewności i obawie o los swój i dzieci, księżna już gotową była zamek poddawać, sama się pod opiekę Mieszka udać, byle jej Sandomirz powrócono. Zaklinała o to, lecz biskup ręczył za bezpieczeństwo i mówić o tem niedopuszczał.

Księżna zmieniła postanowienie co chwila, sama zostawszy poddać się żądała, gdy Pelka wlał w nią otuchę, chciała się bronić i zachęcała drugich do walki. Trwoga wszakże przemagała, bo szturm i zdobycie jej i dzieciom groziło śmiercią. W niepokoju ciągłym powoływała do siebie to Goworka, to wojewodę, to duchownych, modliła się, narzekała, płakała i na chwilę jej samej nie można było zostawić.

Gdy się to działo na zamku, Jagna wziawszy męskie ubranie, kaftan, łuk, mieczyk, obuszek, razem z Hreczynem i kilku czeladzi puściła się w lasy, najmniejszej nie okazując trwogi. Przy dworze pułstym służby mało co zostało. Wyjechawszy popatrzyła na Wawel i głową skinawszy pognąła lasami, szukając sobie bezpiecznej przeprawy przez Wisłę i schronienia.

Dorota nie spodziewając się napaści, nie wiedząc o niczem, do ostatka zabawiała się z przyjaciółmi, albo ze starą Czechną na naradach przesiadywała. Nie przeczuwała wcale niebezpieczeństwa do ostatniej godziny. Dopiero gdy z wojskiem Mieszka bracia jej weszli do miasta i już się na rynku pokazali sługa przybiegł dając jej znać, że Dobrogosta i Sędziwoja zobaczył. Wpadła w rozpacz i trwogę taką, iż zrazu przytomność straciła, sądząc się zgubioną, potem w ulicę zbiegłszy jak stała, w sukni jednej pognąła do swej powiernicy Czechnej, u niej spodziewając się znaleźć przytułek.

Czechna nie była ładną babą czarownicą. Miała dworek na przedmieściu piękny, ogrodu kawał i pola, a że się jej wszyscy radzili, bogaci i ubodzy,

mężczyźni i niewiasty, bo uchodziła za przemądrą lekarke i czarodziejkę—działo się jej dobrze.

Miano ją nawet za bardzo bogatą, a ona sama nie tała się z tem, że jej na niczem nie zbywało. Owszem, gdy do kościoła się wybrała, a chodziła doń często, aby ją duchowni za czary nie prześladowali, stroiła się w futra i łańcuchy, jak najdosłowniejsza kupcowa. Ze strachu, aby uroku jakiego nie rzuciła, zapraszano ją na wesela, chrzciny i pogrzeby; na nie też wybierając się, stroiła bardzo wytwornie. A choć lat przeszło pięćdziesiąt miała i dwu mężów pogrzebała, po których jej dzieci nie zostało, mówiono, iż radaby się była jeszcze za męża wydała. Na weselach podpiwszy sobie, bo rada do kubka zaglądała, młodych i przystojnych chłopców wabiła mowami i słówkami takimi, że się inne niewiasty rumienieć musiały i oczy sobie zakrywać.

Czechnie wszystko było wolno, bo się jej lękał każdy, okupywali się wszyscy od jej czarów, płacili za lekarstwa i zamawiania. Czasu rzadko miała chwilę wolną, tak ją sobie rorzywano.

We dworku jej, w izbie, w której przyjmowała ludzi, wielkiego dostatku widać nie było. Leżały w niej ziola różne, inne wisiły u pułapu, schły na drążkach wianki, wiązki korzonków i pęki nasion; stały w garnkach nalewki, w słoikach i bańkach maście. A choć tego była moc wielka, Czechna od razu szła i sięgała po to, co komu potrzeba było dać. Oko miała tak bystre, iż często nim człek głębiej otworzył, wiedziała co mu było potrzeba, zgadywała cudownie, czy jej dla siebie, czy dla kogo potrzebował i co mu było. Babieniem się też parala, a ludzie utrzymywali, iż do dzieci takie szczęście miała, że któremu ona pierwszą kąpiel przyrządziła, pewnie żyw i zdrów miał być.

Wdowa różnemi czasy sama do niej chadzać musiała, bo Czechna do dworu nie bardzo lubiła iść, aby jej tam nie widywano. Znała więc drogę do

dworku, a teraz strach ją pędził, że wprost pominąwszy tylko wojsko wciągające do miasta, przez ogrody i ciasne zaułki, poleciała do niej. Na przedmieściach podtenczas pusto było, bo lud wszystek się zbiegał, gdzie tłum widział. Gdy zdyszana, blada, w sukni obłoconej, rozpuszczonej, na pół obnażona przybiegła Dorota do Czechny, zastała ją samą jedną w progu, przysłuchującą się oddalonemu gwarowi. Nie widąc po niej było trwogi ni pomieszania. Zobaczywszy wdowę, namarszczywszy się i w chude, pomarszczone ręce plasnęła.

— Na Boga milego, Czechno, matko ty moja, ratuj! — zawołała Dorota. — Bracia mnie pochwycają, jam zginiona.

Nie nie mówiąc, głową wahając, Czechna ją do izby wprowadziła.

— Czy ty im teraz w głowie? — odezwiała się (bo wszystkim ty mówiła). — Nie rychło mieć będą czas gonić za tobą!

— Ukryć mnie musisz!

— Gdzie? tu? u mnie? — odparła śmiejąc się Czechna — a toć to targowica? drzwi się nie zamykają. Wszyscy teraz wiedzą, że Czechna wam posługiwała, to gdzież, jeśli nie tu szukać cię będą!

Dorota zanosila się z jęków i płaczu; stara patrzyła obojętnie, dając się jej wyszlochać.

— Oni mnie zamkną w ciemnicy! oni głodem zamorzą! — wołała Dorota — co chcesz dam, ratuj!

Upadła przed nią na kolana, ręce złożyła i powtarzała — ratuj!

Czechna wciąż potrząsała głową. Namarszczona myślała tak długo, w końcu nie nie mówiąc, z kąta chustę wzięła ogromną, którą się zwykła była wychodząc okrywać i skinęła na Dorotę. Ze dworku ścieżyna wydeptana prowadziła kręto między wiśniowe krzaki i drzewa, nie widąc było dokąd. Czechna szła przodem milcząc, Dorota oglądając się trwożnie za siebie, bo wrzaski z miasta aż tu dochodziły, biegła

potrącając ją, nagłąc, chcąc przyspieszyć pochód zbyt powolny. Nie zważając na to, stara się wlokła po swojemu.

W gąszczach zarośli widać już było dach, jakby bez ścian, wysoki i spiczasty, chatę ubogą, która w ziemię wrosła. Przed nią kałuża stała sięgająca aż do progu, którą po zgnilej kładce przebywać musiały. Czechna otworzyła drzwi niskie i weszła, Dorota wcisnęła się za nią.

W środku dymu pełno było, który oczy wyjadał. Nikogo tu nie zobaczyły, dopiero gdy się Czechna odezwiała: — Bywaj! — wyszła niewiasta chuda, oszarpana, wyżółkła, schorzała, nędzną okryta odzieżą. Stara poszeptala jej coś na ucho. Z izby drabiną prowadziła na wyżki, które wdowie wskazano. Gnana strachem wdrapała się na nie. Czechna popatrzyła na spinającą się do góry, zdyszana Dorotę, coś zagadła jeszcze i nazad powróciła do domu.

W sam czas uciekła z domu wdowa, gdyż ledwie dobiegła do Czechny, a bracia już dwór jej ludźmi otaczali. Spodziewali się ją wziąć na pewno. Wtargnęli zaraz Dobrogost z Sędziwojem do środka, ale zamiast siostry zastali tylko czeladź spłoszoną, rozbiegającą się po domu.

Szukanie nie nie odkryło. W izbie, w której siadywała, przekonać się tylko mogli, iż niedawno w niej była jeszcze. Sami więc w pogoń się puscili i ludzi rozesłali.

Okolo zamku nazajutrz rano, gdy na nowe wzywanie do poddania się odpowiedziano łajaniem, bezczeszczaniem i odgrózkami, Kietlicz z Bolkiem już tylko przybycia Starego oczekiwali, aby obleganie rozpocząć.

W południe tegoż dnia Mieszek z resztą sił swoich z Poznania nadciągnął.

Wszyscy jego półkowników, syn Kietlicz, starosta Warsz i Juchim, który się oto napraszał, wyszli do bram miasta na jego spotkanie. Juchim, który

dawno go nie widział, wzrokiem bojaźliwym mierzył księcia, chąc poznać, czy z sobą szczęście przynosi.

Twarz była postarzała ale zawsze jedna, z której nikt nie wyczytywał, — zaspiona, zastygła, nie ma. Taż sama do góry poddarta broda, czoło pomarszczone, usta zapadłe co dawniej. Siwizna tylko znacznie mu włos popruszyła. Czuć w nim było człowieka co się nie poruszał chyżo, ale nie padał nigdy, nie cofał się i nie ustawał. Z powagą wielką ale nie bez pewnej obawy, którą ukryć się starał, patrzył na otaczających. Wzrok jego naprzód padł na Warszę, a było w nim więcej surowości, niż wdzięczności, potem na Juchima, którego długo oczyma ścigał.

Bolko tymczasem do ojca się zbliżywszy z uszanowaniem, ale twarzą wesolą i rażnością młodzieńczą, szybkimi słowy, niewyraźnie, mieszając się tłumaczył mu co tu uczynili.

Stary mało go słuchał skinąwszy na Kietlicza, aby się zbliżył. Stali tak we wrotach, a mieszczanie starsi bili pokłony nadaremnie, bo nowy pan ani na nich chciał spojrzeć.

Gdy Serb mu o zamku powiedział, oczy tylko ku Wawelowi skierował i nie rzekł nic. Konia spiał i dalej w miasto jechali.

Tu ziemianie, dowódcy owych siedemdziesięciu zawołań poczęli go po drodze witając okrzykiwać panem, ale i tym mało co głową skinąwszy, do dwu tylko z Tęczyna trochę laskawszą obrócił się twarzą.

Juchim co go z dawniejszych lat pamiętał, znalazł cięższym niż był i w słowa skąpszym jeszcze, na twarzy surowość dawna nabrała prawie wyrazu zimnego okrucieństwa. Widok tej stolicy, z której niegdyś wygnany uchodził, zdawał się poruszać. Może w duszy pytał sam siebie, ażali znów go wyżeną, i ile razy pod te mury powróci, póki je dla siebie i dzieci zagarnie.

Wśród gwaru i opowiadań Bolka i Kietlicza jadących obok, Stary zwolna posunął się ku zamkowi.

Znał go dobrze, wiedział, iż do zdobycia nie będzie łatwym, tymczasem zaś kto wie, co się przygodzić mogło? Gdy mu doniesiono, że Pelka z Mikołajem zawczasu się na zamek schronili, z ust mu się wyrwało!

— Zdrada była!

Nie mówili już nie potem.

Wieczorem się obozem klasć wojska zaczęły dokoła zamku. Stary milezał, Kietlicz pędził i gromił ludzi, wołając, aby się corychlej do szturmów sposobili. Do szturmów na ową srogą górę przygotowania nie było, a przyrzady do tłuczenia wrót, drabiny na wały potrzebowały czasu, nimby je pościągano i powiązano.

Gdy z zamku nie bez trwogi patrzano na to mrowisko ludu, co go oblewało dokoła, z dołu, z obozu spoglądano ku górze nie wiedząc jak i z kądem ją ująć? Siła ludu mogła zginąć nadaremnie przy walce, a poleżawszy głodem można było wziąć załogę. Tak radzili niektórzy, ale Kietlicz nie godził się na to, obawiając powrotu Kaźmierza, choć go dla drugich umarłym głoszone. Wiedział dobrze, iż na pierwszą wieść o zajęciu Krakowa rzuci się rycerstwo z Rusi dla odzyskania stolicy.

Mieszek nie spodziewał się ich tak rychło, ażeby Ruś w pomoc miała przyjść nie wierzył, bo ona doma zajęta była. Dzień i dwa upłynęły na wahaniu, naradach i próbach. Tłzeciego o świcie, Kietlicz zamek zewsząd osaczywszy, w mileczeniu wielkiem ludziom pełznąć kazał na górę, a dostawszy do parkanów, rzucić na nie nagle. Rachował, iż się tam napaści spodziewać nie będą i na zaraniu na stanowiskach nie znajdą. W ciszy i mroku poszli ludzie na górę, lecz gdy się do tynów i parkanów zbliżali, sypnęły się nagle bale gwoździste, koły, kamienie, pociski... Połowa napastników potłuczona zwała się w dół, pozabijana, poraniona, a reszta

ierzechnęła. Strzały jak grad świsnęły za pociskami, rzykiem ogromnym rozległa się góra i okolica.

Z miasta ludzie powybiegali patrzeć na szturm, zdawało się im bowiem, że się zamek nie obro- Kietlicz zajadły, ludzi chciał prowadzić raz drugi jawiając napaść, żołnierze mu się wzdragali. Niecieli ginąć nadaremnie. Kilkuset było straconych z pokaleczonemi.

Stary, który z namiotu swego wyszedłszy patrzył, wprędce nazad do niego powrócił, wyglądać już nawet nie chcąc. Bolko zły z potłuczonemi na sobie blachami powrócił do niego.

Wymyślano sposoby różne. Ogień podkładać chciał Serb pod parkany, potem między mieszczany szukał takiego, coby do zamku się wśliznął i do otwarcia wrót straż przekupił. Słano do Juchima, aby nastęrczył człowieka, żyd ramionami poruszał, ręce załamywał, ale nie umiał wskazać zdatnego pomocnika.

W namiocie księcia radzono bezustanku i bez skutku.

On sam sparty na stole, słuchał tylko, rzadko wtrącając jakie słowo. Serb rozgorączkowany, zły poprzysięgał, że choćby miał życiem przypłacić do zamku się dostać musi. Niecierpliwiło go, że patrzal nań, a wziąć nie mógł. Słał nieustannie, chodził, ludzi ścigał, nagrody obiecywał, a wlokło się nie po myśli i Stary coraz mocniej był zaszepiony. Słowa z niego dobyć było trudno, oprócz narzekania na zdradę. Wszystko się o ten zamek rozbijało.

Szedł często przed namiot swój, stawał, na Wawel patrzył długo, jakby go temi oczyma świecącemi z pod brwi rozresłych chciał pożreć. Wracal potem, siadał, zasępiał się, a gdy syn po młodzieńczemu sypał przed nim słowy i nadziejami żywemi, potrzasał głową pogardliwie.

Minęło tak dni dziesiątek, wiosna przychodziła ciepła i sucha, ludziom było raźniej, lecz z obozu

wykradali się do miasta, a tam wszystkiego znajdując podostatkiem więcej myśleli o swawoli, niż o oblężeniu.

We dnie stawaly kupy zbrojne naprzeciw wawłów, na których ludzi nigdy nie brakło, zaczynały słowy ciskać jak kamieniami, łajac się, wyzywać i strzelać z łuków. Więcej z tego zabawy niż skutku.

— Nieboszczyka sługi, trupie wojsko! — wołano z dołu do góry.

— Rozbójnik! z trajcy! — odpowiadano od zamku.

Leciał za tem belt, padał kamień, rwano się zdala do siebie, rosta złość, ale do zamku dostąpić nie było sposobu. Gdy im głodem grożono, oblężeni ćwierci mięsa wywieszali na okaz i wory maki staczali umyślnie, okazując że zapasy mieli.

Mieszek po kilku tych dniach, Kietlicza wołać kazał.

— Kaźmierz może nadejść i Ruś z nim — rzekł — w gołem polu obrona trudna, odejść przed niemi ze strachu, nie mogę... Na dole zamek warowny stawić i wały trzeba sypać...

Z początku na ten rozkaz pański potrzęsano głowami, zamek drugi pod zamkiem wydawał się starszym niepotrzebny, wielu niebezpieczny, nazajutrz jednak powtórzył książę, iż mieć go chce; drzewo i kamienie ściagać zaczęto. Mieszek nie siedział już w namiocie, ale na pałacu, patrząc jak mu zamek budowano.

Wojsko musiało, pozrzucawszy zbroje, wziąć się do rydlów i toporów. Mała część tylko została na straży.

Z wierzełka murów na Wawelu, Mikołaj i biskup Pelka patrzyli co się u stóp ich działo.

Gdy drzewo zwozić się zabrano, zaniepokoił się wojewoda, myśląc, że tarany do bicia bram i murów budować myślą, ale wkrótce się okazało, że tyny, parkany, szopy i dwór zakładano.

— Oni tu myślą siedzieć — rzekł wojewoda — my też nie wyjdziemy ztąd dla strachu.

Zapasu żywności dość jeszcze było. Radzić jednak nad tem, by odsiecz przyspieszyć należało.

Choć wiadano, że na Ruś dojdzie wieść o oblężeniu, nie byli pewni, jak rychło; nużby głód ich zaskoczył nim Kaźmierz nadciągnie?

Wypadało z narady wysłać kogoś do księcia, a biskup zaraz Stacha wskazał—mówiąc—albo ten lub żaden.

Powołano go natychmiast. W izbie niewielkiej siedział Pelka u stołu za księgą, z której po całych dniach modlitwy czytał dlatego, iż owo przerywane ciągle nabożeństwo, mało ważył. W tem oblężeniu ducha na chwilę nie poprzestawał się modlić, aby ciągle nim być na straży. Wśród dwu rozmów, wśród dwu myśli, odmawiał wiersz psalmu, lub wysyłał westchnienie do Boga.

Oba z bratem nie tracili nadziei, że się obronią, lecz dzień każdy troski pomnażał.

— Ciężkie na was włożę znów brzemień—rzekł.

— Byłem mu podobną—odparł Stach.

— Widzicie co się dzieje, zamek sobie budują, jakby nam grozić chcieli, że ten zniszczą, a zawczasu inny przysposabiają. Kto wie, czy Kaźmierz zna położenie nasze i jak rychło powróci! Trzeba stać do niego.

A po chwili dodał:

— Jedźcie wy!

Stach stęknął.

— Nie proszę o zwolnienie ani się wzdragam—rzekł—ale jakże ja mogę stanąć przed obliczem pana? Wiecie ktem jest, że się mu ukazywać nie wolno mi, bom ja żywym dlań—policzkiem!

Biskup wysłuchał.

— Nie potrzebuje z tem iść do samego księcia—odpowiedział—złożycie się chorobą, pošlecie mu pisanie odemnie. Zwierzyć tego nie mogę innemu. Czyniliście już wiele dla okupienia grzechu młodości, zrobicie i to jeszcze, zasłużycie się panu, nam, królestwu...

Nie zapytano go nawet, jak się zdoła wydobyć z zamku dokoła osaczonego, jak przez miasto przemknąć się niepoznany, jak z niego wymknąć. Biskup wiedział, że nie mniejszych już dokazywał spraw, snując się po Szlaku i Wielkopolsce, a życia swego nie żałował.

Wojewoda Mikołaj mniej mu ufał, i obawiał się, aby go z listami nie wzięto. Zarzucano go pytaniami, biskup zachęcał. Mikołaj rad nie skąpił, w ostatku spytano, czy się podejmie. Milezał długo, ważył, wreszcie westchnienie mu się wyrwało i rzekł:

— Bóg łaskaw, pójdę!

Wojewoda po ramieniu go uderzył.

— Tak—dodał—będziesz miał opiekę Bożą nad sobą, bo dobrej sprawie usłuszysz. Bierz do pomocy co ci trzeba, opatrz się w pieniądze i spiesz!

Biskup dodał:

— Dam ci kartkę z pieczęcią moją, do pierwszego probostwa dojechawszy, konie sobie dawać każ. Od dzwonnicy do dzwonnicy niech cię odwożą, a pośpieszaj!

Stachowi twarz poweselała.

— O to tylko proszę miłości waszej—odezwał się do biskupa—abyście, jeżeli zginę, byli mi świadkiem, że moją pokutę do końca życia doprowadził, a za duszę grzeszną mszę odprawiali.

Pocałował w rękę biskupa, który błogosławił rozrzucony.

Wyprawiono Stacha nim wieczór nadszedł. Pierwsza z zamku ucieczka z Żegciem, przydała się teraz im, gdyż to samo miejsce mogło posłużyć do wysłunięcia się. Gdy ziemią, poczęli od strony Wisły się spuszczać. W obozie wszystko leżało uspione. Udało im się niepostrzeżonym dostać do stóp góry, a tu, choćby się z kim zetknęli, za należących do wojska uchodzić mogli. Nikt wszakże nie stanął im na drodze. Do brzegów rzeki dopadli po cichu, pomijawszy strażę niedbałą, które u ognisk się skupiały.

Stach znowu na czółen rachował, jak przy dawniejszej ucieczce i pierwsze, które im się nastroczyło, pochwycił. Skoczyli już wewnątrz, gdy rybak na sieciach śpiący w nim, narobił wrzawy zerwawszy się. Żegiec chwycił go za barki i do wody cisnął, aby z obozu ludzi wrzaskiem swym nie ściągnął, odepcnąwszy się od brzegu, wypłynęli na środek, gdzie już po nocy ani ich dojrzeć, ani pochwycić nikt nie mógł.

V

U Starosty Warsza, w jego dworze na mieście, czasu tego wesoło było jak nigdy, i ludno tak, iż każdy inny człek, nie byłby mógł długo w usługach gości tylu wydołać. Starosta, choć giętki i podatny, miał żelazną siłę.

Mało to, że wszystkie sprawy i żaloby miejskie się tu rozsądzały, a było ich mnogo, bo między żołdactwem a mieszczanami nieustanne wynikały spory i prócz tego starszyznę trzeba było dniem i nocą przyjmować, karmić i poić, wszystkie obozu rozkazy spełniać, żywności dostarczać, i dworować panom, aby z łaski nie wypaść.

W mieście samem nie bardzo szło po myśli Staroście.

Siedemdziesiąt zawołań ziemiańskich wprowadziło na stolicę nowego pana, mieszczanie zaskoczeni musieli też wrota otworzyć i pokłonić się. W początkach w śmierć Kaźmierza uwierzono, siła Mieszkowa zastraszała, teraz już zaczynało różnie mówić o zgo-

nie księcia, wielu zaprzeczało tej baśni, a wojska dawały się srodze we znaki.

Trzeba je było karmić, a czasu wojny nowe prawo o podwodach i przewodach zapomniane zostało. Brano mieszczanom i kmieciom konie, strawę, siano, co kto napadł, nie pytając i nie płacąc.

W mieście baby musiano zamykać, bo obozowi ludzie zuchwale się z niemi poufali—śpiżarnie chować, pieniądze zakopywać.

Szemrali bardzo kupcy i mieszczanie, że za Kaźmierza czasów całę inaczej bywało.

Nikommu tak pilno nie było ażeby zamek na Wawelu zdobyto, jak Warszowi. Stał mu nad głową, jak groźba. Zdawało mu się, że ludzie ci wojować nie umieli, nadto żalowali trochę gminu poświęcić, który na to był, aby go bito i tłuczono.

Zamek jakby się im uragał; przeczył nowemu panowaniu, które sobie nowe gniazdo musiało budować pod jego bokiem.

Szybko wznosił się ten gród nowy, choć niepokazny, liecho klecony, z drzewa cały—zawsze on znać, że tamtego nie zdobyto i rychło się zająć nie spodziewano.

Tymczasem zaczynało przebąkiwać, że na Rusi wszystko było skończone i ład przywrócony po myśli księcia.

Ziemian, co stronę Mieszka trzymali, liczono siedemdziesięciu, tych co Kaźmierzowi dobrze życzyli, dziesięćkroć więcej.

Kaźmierz, gdzie się tylko pokazał—zwycięzał, Mieszkowi upartemu nie się nie wiodło. Pierwsza radość z nowego pana, zaczynała się w niepokój zamieniać. Nuż tamten powróci?

Tymczasem Kietlicz lekkiej ręki nie miał. On tu teraz wszystkiem rządził, bo Mieszek na niego się zdawał i nim wyręczał wszędzie. Z Serbem ani rozgadać się, ani go uprosić nie było podobna. Nie parzył ludzi, przyjaciela czy wroga darł ze skóry.

— Na to wojnal!—powiadał.
A Warsz mu wtórować musiał.
— Na to wojnal!

Tymczasem u starosty, jak w gospodzie, pito i jedzono od brzasku do pierwszych kurów, a choć miasto dostarczało dużo, Warsz musiał dokładać. W ostatku, zamiast wdzięczności, lada ciura zrywał się na niego, groził i od czei odsądzał.

Gdyby zamku dobyto, wszystkoby wejść w karby musiało, załoga stanęłaby na nim, a obóz się rozszedł po okolicy i zamkach. Byłby pokój. Zamek stał, we wnętrznościach swych grózb pełen i wojny.

Co gorsza, nowemu panu i jego pomocnikom, zamiast coby miało dobrej myśli i łaskawości przybywać,—coraz tylko gniewu i złości przyrastało. Warsz nie śmiał się skarżyć nikomu, ale położył z troski i zbledniał ze strachu.

Jednego wieczora, choć żadnego widomego do tego powodu nie było, dał się czuć niepokój na mieście i w zamku; ludzie z obozu biegali w różne strony, wysyłani konno i pieszo; parę oddziałów wyprowadzono spiesźnie na gościńce; koło wrót miejskich powiększono strażę i czujniej chodzić zaczęto, przy nowym grodzie drewnianym roilo się, brzęczało, szumiało, jak w ulu.

U starosty Warsza, mimo że stoły były jak zawsze na przyjmowanie gości gotowe, zrobiło się dziwnie pusto, muchy tylko z mis się żywiły. On sam, który tych dni częściej chodził w kaftanie i żupanie, teraz przywdział blachy, miał się w pogotowiu, jak do wystąpienia.

Po ulicach spotykając się ludzie szeptali z sobą bojaźliwie, pytając co się działo? Niewiele kto wiedział. Popłoch czuć było, lecz z kąd on szedł, co groziło?—chyba starszyzna sama była wtajemniczona. Przez część nocy widać było ognie na wałach, krzątanie około szalasów i wozów, konie nawet z paszy nad Wisłą wszystkie pościągano.

Ciekawsi mieszczenie, mający stosunki z ziemianami i pułkownikami, podchodzili ukradkiem do znajomych, lecz na zapytanie, co się dzieje? odpowiadano im, że nie nie wiedzą—a kazano być w pogotowiu i czujności.

Krakowianie wyciągali z tego łatwy wniosek, że jakiś, z kądś nieprzyjaciół zagrażać musiał, a któżby nim mógł być, jeżeli nie Kaźmierz i wojska jego?

Padła trwoga na wszystkich, co jawnie stronę Mieszkę trzymali. Starosta Warsz posłał na zamek syna, który niedorosły był, ale roztropny, tak iż mu zawierzano, pytając Kietlicza poufnie:—Czy co groziło? Serb odparł gniewnie chłopcu, aby do licha szedł, i odprawił go z niczem.

Syna i starą żonę zostawiwszy w domu na wypadek przybycia gości, starosta niespokojny przypasałszy miecz, hełm na głowę włożywszy, mrokiem pobiegł do dworku Juchima. Tam się spodziewał najpewniej czegoś dowiedzieć. Tu, jak zwykle, długo stukać było potrzeba i opowiadać się nim wrota otwarto nie bardzo chętnie. Puszczonego starostę, który żyda zastał w izbie siedzącego nad stołem, w obu rękach trzymającego starą głowę, zatopionego w myślach.

Ujrawszy dostojnego gościa, starzec podniósł się z ciężkością, spojrział nań i powoli przywłókł się ku niemu.

— Co się to dzieje? nie wiecie wy?—zapytał Warsz—nigdzie nie dopytać nie mogę. Przyszedłem do was. Ludzie biegają, w obozie ruch! Co to jest?

Juchim podniósł ręce do góry i począł głosem drżącym:

— Ręka Wszechmocnego nas dotknęła! Nieścieżcie nad głowami naszymi!... Zagłada czeka, śmierć, zniszczenie, zguba!

Starosta osłupiał.

— Mów! co?—zakrzyknął.

— Nie wiecie nic? Książę Kaźmierz powraca!

Idzie z całym rycerstwem swym i z Rusią. Po drodze w Lubelskiej ziemi, z Sandomirza jego wierni się doń zbiegają. Siłę ma wielką, z nią na nas idzie. Idzie i jak piorun ognisty spadnie na głowy nasze!

Warsz oniemiał ze zgrozy. On i Juchim byli w położeniu podobnem. Widzieli ich wszyscy gorliwie dla Mieszka pracujących, posilkujących mu; obu czekała nieubłagana zemsta wojewody Mikołaja, który znał wszystko i wiedział. Oba mogli się za zgubionych uważać.

— Co bo mówicie?—przerwał Warsz, sam sobie usiłując dodać odwagi.—Mamy z sobą wojsko Mieszka i wszystkich ziemian krakowskich. Ruś! co znaczy niesforny tłum, garsć jakaś?...

— My ziemian mamy!—odparł Juchim.—A wielu ich z nami? Albo oni umieją sobie robić przyjaciół? Od tej pory jak tu są, połowę stracili tych co mieli! Nigdy ich dużo nie było, kłamali! Kietlicz odzierając i bezczeszcząc, resztę zniechęcił. Co ziemianie znaczą, którzy dziś jednemu, jutro drugiemu służyć gotowi?

Juchim ręce załamał—Warsz stał, myśląc już tylko o sobie.

— Któż tu weźmie górę—spytał.

— Kto?—zawołał Juchim.—Na co to pytać! Zamek się trzyma. Kaźmierz ich precz rozmieci! On podejdzie z jednej, wojewoda z drugiej strony—wszystko się rozleci! Ziemianie zdradzą, gdy Kaźmierza żywym zobaczą!

— A ty co myślisz z sobą?—dodał starosta.

Popatrzyli w oczy jeden drugiemu.

Juchim westchnął.

— Ja?—rzekł cicho—ja jestem mały człowiek, ja siedzę w domu, ja służę każdemu kto mnie potrzebuje, ja tu gość! Ze musiałem iść się kłaniać Mieszkowi, co za dziw? Każdy musi bronić swoich kości! Ja wojska nie mam, tylko pokłon mój.

Zamilkł, pot ocierając z czoła.

— Gdzie jest pokój, gdzie jest bezpieczeństwo na ziemi!—zamruczał.

Głową począł trząść, rękami ruchy czyniąc dziwaczne. Słów mu brakło ze wzruszenia.

Warsz zatopiony był w sobie.

— Ja muszę radzić inaczej—począł.—Oni powiedzą, że ja miasto wydałem! Nieprzyjaciół mam między mieszczanami. Powiedzą, że miałem z Kietliczem, że ja naprzeciw niego jeździłem. Kto wie, czego nie zmyślą na mnie! Ja życia nie jestem pewny, mnie ztąd z wojskiem trzeba, precz!

— A!—westchnął—dom, pola, wszystko zabrać gotowi!

Zawahał się.

— Juchim!—dodał—tobie nie będzie nic. Kupuj sobie dom, ogrody, wszystko!

— Ab!—krzyknął Żyd—a mnie to na co? Albo ja mam za co kupować i czem płacić? Ta wojna ostatni grosz mi wycisnęła! Pożyczałem księciu, dałem synowi, wziął Kietlicz; ja nie mam nic! nic!

Potrząsł polami sukni i jęknął.

Oba stali długo niemi.

— Życie ratować trzeba, to najdroższe—dodał Warsz.—Kto wie co jeszcze będzie; kto życie ma, wszystko ma!

Żyd mu nie odpowiedział. Dotąd ze starostą byli w stosunkach takich, że Juchim mu się kłaniał, a Warsz go bardzo szanował; teraz zobojętnieli dla siebie, Juchim stał wyżej, starosta stracił na powadze.

— Co oni mnie zrobić mogą?—począł Warsz napół do siebie, pół do Żyda—co mówicie? na gardle ukarzą?

Juchim zadumał się.

— Jeżeli sam książę sądzić będzie?... on jest miękkiego serca i krwi nie chciwy, ale wojewoda!

— A co im po mojem gardle?...—zagadnął Warsz.—Starostwo odbiorą?? aby gardło zostało! Do kopalni poszła? A i ztamtąd ludzie wracają, gdy

się mają czem wykupić. Uciec, to znaczy przyznać się do winy i do strachu? skazać się samemu!

Juchim nie przeczył ani potakiwał, jęczał. Starosta przeszedł się po izbie razy parę z głową spuszczoną i prawie bez pożegnania wysunął się nazad do domu. Idąc przechodzić było potrzeba przez uliczki wąskie, od nowego zamku dolnego na zamek wiodące, przebiegały je oddziały zbrojne, mimo nocy nie ustawało poruszenie w obozie.

W domu zastał Warsz w izbie pustej tylko jednookiego Berezę nad kufem, który mu kazała podać żona starosty. Kietliczowy sługa, teraz już pułkownik, siedział ponuro zadumany, mrucząc coś sam do siebie. Uzbrojony był od stóp do głów, napily i zły. Zobaczywszy gospodarza, ledwie się ruszył, ręką ogromną w rękawicy żelaznej uderzył o stół aż wszystko zabrzęczało.

Spojrzał Bereza na Warsz ostro i złośliwie.

— E, wy! wy! — zaburczał — wy wszyscy grodowi i ziemianie i wiele was tu jest, was by jak szczenięta wytopić i wydusić! Co po was! Gdyby dziecięciu panów było, po kolei każdemu będziecie na wierność przysięgali, a wszystkich zdradziecie! My was znamy! Komu tu wierzyć? Kłaniałście się i za kolana łapali, a jak się tamtego chorągwie pokażą, pójdziecie z pokłonem do niego. E, wy!

Dopił kubka i cisnął nim o stół. Starosta patrzył milczący i gniewny, ale Bereza ani na jego urząd, ni na gniew nie zważał. Nasunął hełm na głowę, poprawił pasa, na którym miecz miał uwieszony i powoli wywlokł się, nie powiedziawszy — Bóg zapłać!

Izba pustką stała.

Zwykle o tej porze bywało w niej najtłumniej, najwrzawliwiej; teraz choć drzwi stały na oścież otwarte, a światło biło na ulicę — nikt się nie przybłąkał. Ludzie przechodzili różni, nikt nie zajrzał.

Okolo północy, gdy koguty piał, już żona sta-

rosty chciała kazać dom zamykać, gdy niespodzianie z za węgla wysunęła się ludzi gromadka. Nie byli to rycerze, ani ziemianie, ale mieszczanie, których tu od niejakiego czasu mało widywano, oprócz kilku Warsza przyjaciół.

Ci, co teraz po nocy przybywali, właśnie do przeciwnego należeli obozu. Starosta, który jeszcze po izbie chodził stękając, zobaczywszy ich kilkunastu, a między nimi najpoważniejsze głowy, kupców bogatych, rzemieślników dostatnich — zmieszał się nieco.

Milcząc weszli do izby, a ostatni, nie pytając gospodarza, drzwi za sobą zasunął. Warszowi zrobiło się gorąco, potem zimno, zbladł, zmieszał się więcej jeszcze, stał się pokornym, słodkim, uprzejmym dla tych gości, których niedawno w ulicy le dwie chciał znać.

Starszyzna ta, poubierana w suknie długie, w kołpakach wysokich, ludzie wiekowi, poważni, stali długo z początku, rozglądając się, otaczając starostę.

Milczenia nikt nie przerywał.

— Cóż mi to, miłościwi bracia, przynosicie? — odezwał się w końcu Warsz łagodnie.

Patrzali po sobie, jakby wybierając tego co za wszystkich mówić miał.

Wysunął się naprzód podżyły, okrągły Soroka i ręką się po głowie pogładziwszy, poprawiwszy pasę rzekł:

— No, Warsz, wy nas wprowadziliście w kałużę, myślecie jak z niej wyciągnąć! Co teraz będzie?

— Ja? ja was wprowadził? — składając ręce przerwał starosta. — Ja? Com ja winien?... Czy to my mogliśmy się bronić, aby miasto w perzynę obrócili?

— A dziś ono choć nie w perzynie — dodał Soroka — to bez skóry i bez chleba kawałka. Popytajcie nas, wy tego nie zazналиście co my biedaki, chudzi — ny... A co teraz, panie starosto, co dalej?

Stach z Konar. T. IV.

— Albo ja temu winien co jest, abym odpowiedział za to co będzie?—zawołał Warsz.

— Hej, Warsz! A któż to z ziemiany siedemdziesięcią, z tą kupą warcholów się wachał, kto im wrota otwierał? Gdybyście wy potajemnie do Mieszka nie jeździli, nie dali mu znać co gdzie stoi, nie obiecali miasta dać, nie byłoby tego co jest!

Wszyscy gorąco potakiwali, Warsz to się za włosy porywał, to w piersi bił, odskakiwał, przebiegał, a z ust wyrzywały mu się niepowiązane słowa.

— No! co teraz?—naglił Soroka.

— A no, teraz—wtrącił Samko Zamiecha śmiało—coście zrobili dla Mieszka, musicie uczynić dla naszego prawego pana, nad którego my innego znać nie chcemy.

Mówicie, że miasto ocalić żądaliście? Przyjdzie Kaźmierz, to go też nie pożałuje, gdy mu bramy zamkniemy. On jak on, bo litościwy, a Ruś, którą z sobą ma, z dymem nas puści.

— Pewnie!—potwierdzili stojący za nim.

Warsz się za głowę trzymał.

— Albo ja wam bronię bramy otwierać?—zawołał—róbcie sobie co chcecie! Ja nie wiem co czyścić! Ja zawsze o dobro wasze dbałem, jak o swoje, reszta u mnie była niczem. Za was i za miasto ja albo głowę dam, albo do torby przyjdę!

— Ej! ej!—rzekł Soroka.—Albo to my was nie znamy? albo to my nie wiemy, kto na czym siedzi i komu służy? Komu wy to mówicie?

Warsz załamał ręce i milczał.

Gromadka starszych stała, jak sędziowie przed winowajcą.

— Anośmy po to przyszli—rzekł Soroka—aby wam dowodnie rzec, że, chcecie wy czy nie, my panu Kaźmierzowi otworzymy wrota, a przyjmujemy go jak pana naszego!

Na głowę kłamali ci co rzekli, że umarł, ino co go nie widać!

Warsz ramionami ściągnawszy, po namyśle przystąpił do Soroki.

— Róbcie sobie co chcecie—rzekł—ja—dobra miasta tylko pragnę. Byle mi głowy z karku nie stracili!

— Wasza głowa wasza rzecz—odparł Soroka—pilnujcie jej sobie, my mały ludek nikomu ich nie zdejmujemy ani przyprawiamy!

Postali chwilę i powolnym krokiem ku drzwiom się skierowali, za nimi kroczył aż do progu pokornie Warsz i, gdy ostatni z nich wyszedł, postawszy jak osowiały we drzwiach, powlókł chwiejąc się do izby.

Drugie kury piały. Wiosenna noc już się dalekim ku wschodowi brzaskiem rozjaśniać zaczynała. Warsz przeszedłszy się po pustej jadalni powrócił do progu i zapatrzył się w pustą ulicę. O spoczynku myśleć już nie czas było. U św. Floryana dzwonek jakiś ranny na modlitwę wołał; od strony zamku nowego słychać było głuchą wrzawę dolatującą aż tu, gwar stłumiony. Tam też nie spano. Ruch panował w obozie. W izbie światło było pogasło. Starosta oddychał rannem powietrzem, sam nie wiedząc dla czego sen go nie brał. Niepokój nim miotał. Dzień się robił coraz większy, szarzało, bieleło. Od strony obozu z gwaru wyszedł tentent daleki, jakby jazda szła wolna droga, krokiem mierzonym.

Chwilę jeszcze Warsz stał tak w progu, gdy coraz bliżej słyszeć się dał tentent koni. Ulicą postępował jakiś oddział wojska—dokąd? Chyba za miasto? Nie naprzeciw Kaźmierzowi ruszył, bo on z tej strony iść nie mógł.

Serce mu bić zaczęło, mieliłby dobrowolnie opuścić Kraków?

Warsz drzwi prędko przymknawszy, sam za nimi ukrył się tak, aby przez szparę na ulicę mógł patrzeć.

Oddział stapał powoli, długo nań czekać musiał. Naostatek pokazali się ludzie, których poznawał ła-

two, jako przyboczną straż książęcą, wszyscy w kolczugach, dobrze zbrojni i jednako poodziewani. Jechali z cicha, jakby miasta budzić nie chcieli, milczący, szyszakami pokryte twarze. Przodem jechał pułkownik, szła chorągiew zwinięta. Za oddziałem w małym przestanku, osobno postępowało kilku ludzi.

Otaczali oni jednego, w którym Warsz poznał Mieszka. Okryty popielicowym kożuskiem na zbroję, jechał z głową na piersi zwieszoną, z brodą podpartą, którą mu część dolną twarzy zasłaniała, zasępiony, blady, straszny, jakby nie wiedział co się z nim dzieje. Nie patrzył przed siebie, patrzył pod siebie, konia nie wiódł, szedł on sam za drugimi. Dokoła go osłaniali dworzanie, ale Kietlicza ani Bolka widać nie było. Domyślił się Warsz, że ci na nowym zamku zostać musieli.

Dwa oddziały szczupłe zamykały ten pochód smutny, jakby pogrzebowy, wśród ciszy poranku uspionego wysuwający się z miasta ukradkiem.

Książę uchodził unosząc życie i swobodę, ale wojsko jego nie ustępowało, zamek więc i miasto z nim bronić się miało, wystawiając na zniszczenie.

Przeprowadziwszy ich oczyma, Warsz zamknął drzwi i przy nich upadł na ławę. Ze znużenia i frasnku jak był we zbroi, oparłszy się o stół, z głową zwieszoną, wpadł w sen głęboki a niespokojny.

Zbudziło go gwałtowne do drzwi dobijanie się. Zerwał się nie wiedząc już z pełną gdzie jest i co się z nim dzieje. Biały dzień jasny wpadł przez szczeliny pozasuwanych okiennic. Do drzwi wciąż szturmowano gwałtownie i głosy nakazujące domagały się wpuszczenia.

Warsz pośpieszył odryglować zasuwę i ledwie miał czas w bok ustąpić, gdy na próg wpadł od stóp do głów zbrojny Kietlicz, z oczyma zaczerwienionymi, z odgrózkami na ustach, hełm tylko co zdjęty trzymając w ręku.

Zobaczywszy Warszę ochłonął nieco, ale złość

z niego zionęła jeszcze i przekleństwa z ust wymykały się jak grzmoty dalekie po gwałtownej burzy. Warsz zaspany ledwie się trzymał na nogach. Kietlicz tych co za nim szli, skinawszy ręką za drzwiami zostawił.

— Śpisz, stary niedołęgo! — zakrzyczał — a tu miasta bronić trzeba! Ty niedbalczel ty! Wrota zamykać, niech się mieszczanie kto żyw, zbroją.

— Nie kazał mi nikt! nie mówił nikt! nie nie wiem! — odparł Warsz.

— Rusiny ciągną z mordem, z pożogą! Idą mścić się za krew i ogień, który wasz miły Kaźmierz do ich ziemi nosił! Odwet przychodzi! Broncież się wy, baby jakieś, bo zamek mój też się będzie bronił do upadłego!

— A! — zawołał starosta — broncież wy i nas. Sami się nie obroniemy.

— Mieszczan wypędź do nogi! na częstokoły, wały, do bram! Musicie się bronić zajęcze syny, bo życia stradacie. Ruś was miłować nie będzie. Wasz to Kaźmierz pono prowadzi ją na swych poddanych, tak jak Władysław Polowców.

To mówiąc stojącego jeszcze Warszę, Kietlicz pehnął silnie ogromną, pięścią zaciśniętą.

— Idź, czego stoisz! idź! Coś ogłupiał! Rozsyłaj, trąb żeby mi ludzie szli do obrony, z czem kto ma. A poddacie się bez walki, ja was wyrzucę w pień! Ja—bo ja na zamku siedzieć będę, póki nie nadciągną posiłki. Idź! idź!

To mówiąc Serb wystraszonego starostę popędził w głąb izby, a sam zawrócił się do konia, którego łeb we drzwiach widać było. Dysząc oprawca na zamek wprost pobiegł ze swemi.

Pozbывszy się go Warsz długo stał jak wryty. Co miał czynić? słuchać jego, czy być posłusznym mieszczanom? Tak czy owak głową odpowiadał. Krzyk wpadającej żony do reszty go pomieszał. Chwycił za hełm na stole, i zapomniawszy przypasać miecza, nie wiedząc sam dokąd wybiegł w ulicę.

Tu ludzie snuli się tam i sam wystraszeni jak on, od drzwi do drzwi, spiesząc się, pędząc, stając, wykrzykując, wołając się. Miasto było obrazem nieładu i popłochu. Rządził kto chciał, rozkazywał kto głośniej krzyczał, słuchano chwilę, potem czyniono co kto inny doradzał.

Kupki przy wrotach domostw zbierały się nie-spokojne, zwiększały, rosły, rozpraszały, gromadziły w innych miejscach. Zatrzymywano przechodniów, rzucono się na ludzi nieznanych. Ciekawsi biegli ku bramom, bojaźliwsi uchodzili do lochów i szop, w ogrody.

Warsz wybiegłszy z domu opadnięty natychmiast, zarzucony pytaniami, groźbami, nie odpowiadał na nie, wrywał się jakby już tylko myślał o własnem ocaleniu. Chwymano go za suknie, szarpano odzież na nim. Nie wiedział dokąd się skryć, czując tylko, że najgorzej było w domu pozostać. W niepewności co czynić miał, wołał nie nie robić i skryć się. Jako schronienie jedyne dwór Juchima na myśl mu przychodził.

Wyrwawszy się gwałtem z rąk tych co się od niego domagali aby ich bronił i radził im, Warsz małemi uliczkami zbiegł pod dwór żyda. Tu pusto było. Bił we wrota co sił stało, długo odpowiadało mu milczenie tylko.

Wreszcie zasuwą w furcie się otwarła i blada twarz Juchima ukazała za nią.

— Idź! ty, człowiecze złej godziny! — zawołał gniewnie żyd. — Czego ty chcesz odemnie? Ja cię znać nie chcę? Jam ci nie winien nic.

— Wpuść! na Boga, zlituj się.

— U mnie miejsca niema—nie chcę, nie przyjmę! Na moją starą głowę nieszczęścia ściągać nie będę! Idź! idź, tu dla ciebie miejsca niema!

I zasuwą w oknie zamknęła się tak silnie, iż furta zadrziała. Warsz pozostał sam ze swą rozpaczą.

W mieście tymczasem nieład się coraz powiek-

szał, każdy zrazu czynił co chciał, potem starsi mieszczenie, naradziwszy się z sobą, poszli do bram, pilnując aby ich nie zamykano. Chciał kto z miasta precz, wypuszczali go, chciał do miasta nie broni—czekali.

Poznać było łatwo, że miasto się ani myśli nie chce opierać, i gdyby był Warsz spróbował pełnić rozkaz Kietlicza, byłby może życie postradał, a niktby go już nie usłuchał.

Wszystko to się spełniło nim jeden żołnierz Kaźmierzów ukazał się pod murami, nim najmniejsza garstka przodowników przybyła.

Wieść o nadchodzących przyniesiono na zamek, ztąd ona rozeszła się po mieście. Zastępy Kaźmierza odmalowano tak groźnie, że Mieszek po naradzie wołał sam ustąpić i iść po posiłki, a synowi zostawić zamek, powierzając go Kietliczowi. Na dolnym grodzie czyniono przygotowania do rozpaczliwej jego obrony.

Wszystko to nie mogło ujść oka tych co na Wawelu czuwali. Wojewoda Mikołaj już z wieczora dostrzegł co się działo w obozie nieprzyjaciela, serce wszystkim urosło, nowy duch wstąpił.

Domyślano się odsieczy.

Z wieży czatowano nieustannie, a że Wawel nad dolnym zamkiem panował, widać było najmniejszy ruch w nim i co się działo dokoła.

Pewnym był wojewoda, że największe niebezpieczeństwo przeszło, że lada dzień niewola się skończy. Zamierzał jak się tylko wojsko Kaźmierzowe ukaże, sam wypaść z zamku, aby oblegających wziąć w kleszcze.

— Teraz ten niezmierzony warchoł wpaść musi w ręce nasze—mówił wojewoda, biskupa po rękach całując.—Okrutny nie jestem, zemsty checiwy nie byłem nigdy, ale oszczędzić go, grzech! Inaczej my i pan nasz nigdy nie zażyjemy pokoju.

— Bogu zostaw staranie o pomstę i pokój nasz—

odparł biskup.—Byleśmy z więzienia tego wyzwoleni zostali, a pan nasz na zamek wrócił!

Jak na mieście i zamku dolnym wszystko było w trwodze, tu po długim ucisku, oddychało radością wielką. Księżna z synaczką i córką Adelaidą szły Bogu dziękować na mszę biskupią. Kościół mimowolnie przypominał jej męża, głos organu i śpiew ły z oczów wyciskały; przypominała sobie Kaźmierz przy tych organach, grającego i śpiewającego pieśni pobożne.

Lud na Wawelu, choć jeszcze nikogo widać nie było, czuł się weselszym, silniejszym. Nareszcie te okowy co go opasywały, prysnąć miały, a on odechnąć swobodniej.

— Pan przybywał — wołano w dłonie poklaskując.

Tłumnie na wałach zebrani, napróżno jednak do wieczora samego oczekiwali żeby się przeczucia ziściły. Wprawdzie na dole, dotąd porozprasane skupiały się siły, ale jak okiem zajrzeć, żaden oddział, ani czaty przednie się nie ukazały. Noc zapadła ciemna, wietrzna, chmurna, dalekimi rozświeconą błyskami, nie nie dojrzano, nie zmieniło się nic.

W mieście tylko gotowało się, wrzało, kipiało i dopiero późno w głęboką noc, uciszać nieco zaczęło.

Kietlicz, któremu dano znać, że bramy miasta stały otworem, posłał swych ludzi na mieszczań i pędzić ich kazał do obrony, a wrota zamykać. Lecz na ruchomą falę ludu, gdy się nie lęka zemsty, a czuje trochę silniejszą, niema potęgi coby ją zauzdalała i wstrzymała. Schwycić ludzi nie było podobna. Tłumy się rozlewały, znikwały jakby szły pod ziemię, skupiały potem w okamgnieniu i rozpraszały znowu, jakby naigrawając się z tych co je opanować myśleli. Małe ledwie gromadki dawały się zapędzić ku bramom, a i te, zaledwie odeszli stróż, znikwały gdzieś za domy i płotami.

Noc to była bezsenna.

Niektórzy na dachy powylaziwszy, spoglądali w ciemną jej otchłań, wypatrując tego, którego niegdyś wybawicielem zwali, i teraz go tem imieniem witać gotowi.

Cisza panowała w okolicy, tylko wprawniejsze oczy, z wierzeholką domostw, mogły dojrzeć na wschodzie, jakby bladą lunę na obłokach odbitą. Była li to jutrenka nowego dnia czy zwiastunka pożogi i wojny?

Co się z Warszem działo nikt nie wiedział. Biegano szukając go wszędzie. Od tej pory, gdy stukał do dworku Juchima, nie widział go nikt. Kietlicz słał po niego ludzi, mieszczenie, starszyzna gromadami upominali się o niego u płaczącej żony, zaklinającej się, że nie o nim nie wiedziała. Strzęsiono dom, szopy, łoche, nie było śladu.

Co widząc mieszczenie po cichu między sobą wybrali starostę, ale o nim nie dali znać do zamku, aby Kietlicz nań nie wsiadł. Czekali jutra.

Nazajutrz rano deszcz kropił, ale słońce dobywało się z chmur, wiatr rozpedzał obłoki powoli.

Po wczorajszym popłochu oczekiwanie dłuższe, nieco uspokojenia dało. Na zamku dolnym ochłonęło ze strachu, na górnym ogarniał niepokój. Na mieście już nie wiedzano co myśleć.

Kietlicz chciał koniecznie ażeby miasto się zawarło i broniło, ale swojemi ludźmi, za mało ich mając, osadzać go nie mógł. Posłano do ziemian, którzy obiecywali stawać z Mieszkim i wprowadzili go do Krakowa; teraz ich już widać nie było. Nie odmawiali posiłków, obiecywali się zwołać, pogotowiu nie było nic.

Siedzieli po gródkach, patrząc co Bóg da.

Kietlicz się i na nich odgrażał straszliwie, ale odgródki szły na wiatr.

Dzień cały znowu upłynął przy wzrastającym niepokoju. Chociaż wiadomość o zbliżającym się z Rusią Kaźmierzu pewną była, bo ci co ją przynieśli na

własne oczy widzieli pulki, które prowadził, zaczynało wątpić czy wprost na Kraków pociągnie. Wieczór już nadechodził, gdy okrzyki wielkie u bram miasta, odbiły się na zamekach obu. Nikt przybywających nie widział, podkradali się cicho, i ukazali u wrót, gdy się ich nie spodziewano.

Stały im wszystkie otworem.

W jednym z nich Soroka z głową odkrytą, przyjmował księcia Kaźmierz, który na koniu siwym jechał, u boku mając kniazia Romana. Za nim szły pulki polskie i ruskie. Razem wojsko i mieszczanie wielkim głosem Kaźmierz okrzykiwać zaczęli. Kilka ulicami wciągnęli tak bez przeszkody do miasta, które Ruś zobaczywszy, z obawy jej puste trochę się wydało.

Kaźmierz jechał wprost do kościoła św. Florjana, aby tam Bogu za powrót dziękować.

Dopiero, gdy ujrano z górnego zamku te zastępy i poznano chorągwie, biskup kazał we dzwony uderzyć i na wałach ludzie zahuczeli okrzykami.

Na dolnym szczelnie się zamknęli Mieszkowi.

Nadchodzący mrok nie dozwolił nic poczynić, jechali tylko książęta oglądać poczwarny, na pręde sklecony gród dolny, aby radzić jak go zdobywać.

Po Haliczu i Brześciu, którym Kaźmierz rady dał, choć obronniejsze były, zamek Kietlicza nie zdał się strasznym. Mógł jednak trochę zachodu i krwi kosztować.

Wojsko w rynku, po ulicach, na przedmieściach, około Wawelu się rozłożyło. Na sam Wawel przystępu bronił obóz i wojsko Mieszkowe. Książę zajął dworzec biskupi. W godzinie zmieniło miasto oblicze, stało się innem niż wczoraj, niby obozem jednym. Nieśmiało otwierali mieszczenie domy swe, Rusinów się obawiając, ale przekonawszy się, że spokojni byli, powoli się i z nimi bratać poczęli. Wszczęł się gwar, biesiady, opowiadania, śmiechy, wskazywano co i gdzie leżało, obliczanie sił, wróżby na jutro. Choć miało

obrońców, czuło miasto, że mu jeszcze srodze pokutować przyjdzie nim się Mieszkowych pozbędzie. Wojna miała się stoczyć prawie na ich śmieciiskach.

Nocą jeszcze pościągano z miasta do księcia Kaźmierz ludzi, którzy świadczyli, co się tu, jak i przez kogo działo. Niektórzy dobrowolnie biegli opowiadać co widzieli.

Słuchał Kaźmierz i ła mu się w oczach kręciła.

— Com zawinił tym, którzy mnie opuścili? — odezwał się. — Staralem się być dla wszystkich sprawiedliwym i miłosiernym.

Bolało go najwięcej to, że ziemianie krakowscy tak pochopni byli do odstępstwa. Chciano mu imiona ich zliczyć, aby się przekonał, że tych niewielu było, lecz słuchać odmówił.

— Wiedzieć nie chcę, którzy byli aby w sercu gniew i pomsta się nie zrodziła — rzekł książę.

Późno w noc u drzwi pańskich znalazł się i ten, którego najmniej spodziewać się było można — skarbnym Juchim. Stał już oddawna przed wrotami z głową obnażoną, rękami zwieszonemi, dopominając się, by go wpuszczono. Gdy się docisnął do księcia, padł na kolana przed nim i długo ze wzruszenia mówić nie mógł.

Chciał uprzedzić, co na niego donosić miano.

— Błogosławiony niech będzie Bóg, który sprawiedliwego — począł. — Za tobą było jęczenie nasze i boleść wielka; głowy mieliśmy posypane popiołem i szaty rozdarte.

Książę, któremu już mówiono, że Juchim Mieszkowi służył, wymówek mu nie czynił.

Gdy żyd jeszcze błogosławił i witał, rzekł doń krótko:

— Służyłeś przecie dawnemu swemu panu!

— A czegoż biedny robak nie uczyni, gdy go nogą cisną? Życia bronić musi każdy! Miłościwy książę — westchnął Juchim — za gardło trzymali mnie, posłusznym musiałem być!

Spytał go książę o starostę, bo o stosunkach jego z żydem, już także miał doniesienie.

— Nie wiem o nim nic, poprzysiądz mogę! — rzekł Juchim. — Jeżeli winien kto, że miasto się poddało, chyba on; ale czemuże bronić się miało? Komu żywot i mienie nie mile?

Długo bardzo, niespokojnie Juchim błogosławił, tłumaczył się, użalał na ubóstwo, na zdzierstwo, na wojnę, na dolę swoją, przypadając do kolan milezącego Kaźmierza, który go opuścił, nie dając znaku ani gniewu, ani poruszenia.

Cisnęli się tak kto mógł z żalami, doniesieniami, zalecając wierność swoją.

Książę na brata Mieszka mówić nie dopuszczał, słuchać nie chcąc obwinień przeciw niemu i otwarcie się z tem oświadczywszy, że Kietlicz był wszystkim winien, on namową, podżegaczem i sprawcą. Ktokolwiek poczynił o Mieszku, on wnet prostował, sprowadzając na Kietlicza. Na Serba zwalano myśl i wykonanie zamachu, i upartą chęć trzymania się na dolnym zamku.

Nazajutrz rano bardzo, ledwie na dzień się brało, ziemianie zaczęli się w mieście okazywać, nawet ci, co do siedemdziesięciu się liczyli, którzy pierwsi z Mieszkiem wciągnęli. Nim rozedniało i książę wstał, liczba ziemian powiększyła się znacznie, pierwsi się tu znaleźli co najwinniejszymi czuli. Jeden na drugiego winę strącał, wszyscy teraz wracali do dawnego pana.

Gdy się książę ukazał, pokłonami i okrzykami go powitano.

Przyjął to spokojnie, bez wymówek, bez gniewu, ale bez radości z nawrócenia.

Śreniawa, któremu najwięcej zarzucali wierni Kaźmierzowi, począł się tłumaczyć.

— Serce ojcowskie przebaczy choćby obłąkanym — rzekł. — Ujmowali nas i nęcił nie wiedzieć czem Dobrogost i Sędziwój, najeżdżał Kietlicz.

Kietliczem wymawiali się wszyscy, groźbami tego, zrzućcano nań własną winę.

— Sromamy się i kajamy, żeśmy ulegli — mówił Śreniawa — ludzka rzecz pobładzić, królewska przebaczyć. Odtąd wiernie tobie i rodowi twemu służyć będziemy. Zwiedziono nas, grożono.

Zaczęli i inni, już księcia znając, na Kietlicza narzekać.

— Zmuszał nas, nękał, serca nam psował, kłamstwem nas wziął! — wołali.

Z gorliwością wielką ofiarowano się do zdobycia zamku dopomagać, w którym Kietlicza ująć na pewno się spodziewano.

Gdy książę z Romanem na koń siadł oglądać gród nowy, ziemianie wszyscy posypali się za nim.

Zamczysko na przedce sklecone i liche leżało u stóp Wawelu, ladajakim wałem otoczone i tynami opasane. Do budowy tej nie miał Mieszek oprócz kłód drzewa ogromnych, które z sąsiednich lasów pościągano, z nich się i szopy i ogrodzenia składały, łatwem więc zdało się ogień podłożyć i wyprzeć nim nieprzyjaciela. Obszerność zamku znacznych dosyć sił w nim pozostałych domyślać się kazała.

Z wierzchołka Wawelu postrzeżono zaraz Kaźmierza jadącego ze dworem, i okrzyk się podniósł wielki, dzwony św. Wacława witały pana radośnie, a z wieży wiała czerwona chorągiew, którą wiatr wesoło unosił.

Rusini i Polacy stali w szeregach, czekając skinięcia, aby się rzucić na gród, lecz książę zwałki hasło do boju. Nie chciał poczynać lekko, aby żywotów ludzkich oszczędzić. Objeżdżano i oglądano ze wszech stron, radząc jak najłatwiej zdobywać było.

Posłał książę naprzód, domagając się dobrowolnego poddania; tego, który jechał, strzałami odegnano, łajaniem i pogroźkami. Rusini natychmiast chcieli rzucić się na wały, lecz tego dnia spoczynek dano wojsku i opasano tylko gródek dokoła.

Przez cały dzień coraz nowe gromady ziemian i kmieci przybywały z okolic, i dziedziniec a ulice dokola dworca biskupiego pełne ich były. Jednych tylko braci z Tęczyna brakło, którzy Mieszkowi do-
trzymując wiernie, z ludźmi swemi do niego poszli.

VI.

Spelniał Stach poselstwo swe szczęśliwie, choć nie bez wielkich utrapień i mozół. Niktby inny tego co on nie dokazał może, bo mało kto tyle co Stach włóczył się po ziemiach wszystkich i lepiej znał język ich i obyczaj. Na żadnym gościńcu obco mu nie było, gdzie zajechać, jak się opowiadać wiedział z doświadczenia. Znaczną część drogi przebywać musiał lasami, od probostwa do probostwa przeprowadzony, wymijając ludniejsze gościńce. Nad granicami szczególniej bezpieczeństwa nie było, włóczyły się tu gromady zbrojne, jedne Mieszkowemi się mieniać, drugie Kaźmierza, chciwe w istocie zdobyć tylko, szukając zwady, wdzierali się i Rusini bezpańscy, Połowców prowadząc z sobą na nieopatrzne dwory, a nie jeden kmieć, gdy małą kupkę mógł napaść, gotów był obdrześć, mszcząc się tego, co od rycerstwa doznawał.

Stachowi to nie było obcem, wymijał więc, ucho-
dził, krył się, nocami często jadąc, a dniem u księży spoczywając, aby się nie dostać w ręce cudze. Pieczęć biskupa krakowskiego, którego dycecezya do granicy sięgała, służyła mu za opiekuna.

Szczęśliwie jakoś aż do obozu księcia dobiwszy się, tu, ażeby sam nie był zmuszony stawać przed

Kaźmierzem, chorobę udał Stach, a poselstwo Wszebrowi przekazał i listy mu dał.

Jeszcze przed nim na Ruś doszła była wiadomość, iż w Krakowie ziemianie się burzyli, jakoby przeciw wojewodzie Mikołajowi. Kaźmierz nie bardzo temu wiary dawał, lekce sobie ważąc. Straszono Mieszkim, poczytywał to za zmyślenie. Dopiero gdy Stach listy i powieść przywiózł pewną o tem co się w Krakowie stało, niepokój wielki ogarnął wszystkich. Rycerstwo wszystko rzucając, natychmiast na odsiecz biedz chciało. Nie dano się rozmyślać księciu. Gwałtem niemal chwycono go, aby z Rusią szedł przeciwko zdrajcom. Nigdy może pośpieszniejszym pochodem, ochotniej i gwałtowniej nie biegło wojsko, nie dając sobie ni koniom spoczynku. Kaźmierzowi też szło i o los miasta i o żonę a dzieci, pozostawione na Wawelu, który długo bronić się nie mógł. Smutny, modląc się przez całą drogę, mało co mówiąc, Kaźmierz jechał, dając się więcej prowadzić niż sam szedł. Pochód był dla ziem które przebywał ciężki, bo nie pytano o prawo, a zabierano żywiąc się co na drodze znaleziono. Porozpręgały się trochę pulki, wszystkie jednym ogłodzonym gościńcem nie mogąc iść, każdy też rad był drugich wyprzedzać, bo gniew i niepokój pędziły. Dopiero zbliżając się ku Krakowu, do jakiegoś ładu Ruś i swoich można było doprowadzić.

Za dworem Kaźmierzowym ciągnął i Stach, tuląc się po kątach, aby oka na siebie nie zwracać.

Przybywszy do Krakowa, gdy już nie miał co czynić innego, przywdział zbroję, zabierając się razem z innemi iść do zdobywania dolnego zamku. Zajrzał do dworku Jaguy, w którym Hreczyna nie zastał i mało co czeladzi zgłodzonej, a spiżarnie puste i zapasy wypróżnione; wiedział już z wieczora o wszystkim co go mogło obchodzić, nawet o zniknięciu Doroty, którą za zginioną miano.

Nazajutrz po spoczynku, Rusinów i swoich utrzy-

mać już było trudno, tak się rwali na gród dolny. Obłączeni domyślając się, iż pod parkany ogień podłożyć mogą, aby ich wykurzyć ze wnętrza, nocą koły i drzewo darnią i ziemią pokładali, wodą oblewali; sposobili się do wścieklej obrony. Lecz, łatwo przewidzieć było, że bez silnej odsieczy nie długo się w słabych okopach potrafią utrzymać.

Odgrażali się mściwi Kaźmierza pułkownicy, iż noga z tych co na gródku się zamknęli nie ujdzie. Opasano ich gęstymi zapasy dokoła, nigdzie wyjścia nie zostawiając, ani nadziei przerznięcia przez oblegających. Jedna tylko strona, do Wawelu przylegająca, objęta być nie mogła, ale z tej spodziewano się wycieczki wojewody, który na hasło czekać musiał, aby razem z Kaźmierzem rzucić się na Bolka i Kietlicza.

Przygotowań żadnych do szturmowania nie potrzebowano, ani taranów do bicia zasieków, ani wież, ani drabin. Okopy świeże nie wysokie, parkany były nierówne, bramy drewniane.

Jeszcze się Kaźmierz ociągał z daniem znaku do rozpoczęcia walki, gdy rycerstwo już cisnęło się na wały, tak że wstrzymać je było trudno. Jeszcze raz, unikając krwi rozlewu, książę chciał posłać do obleżonych, aby się dobrowolnie poddali.

Sprzeciwiano się temu, Kaźmierz obstał przy swoim.

Wyprawiono Sieńca, śmiałego czelaka i wymownego, z gałęzią zieloną. Ten zaledwie ku bramie się zbliżył trąbiąc, gdy na wyżkach kilkunastu zbrojnych się ukazało, między którymi łatwo po szerokich ramionach i głowie dużej na krótkim karku Kietlicza poznać było można. Nie dano się Sieńcowi z poselstwa wypowiadać, gdy kilkanaście beltów z kuszy puszczone na niego, a jeden tak nieszczęśliwie padł, że mu kaftan pod ręką przebiwszy i pod blachę trafiając, w samo serce ugodził.

Sienieć tylko ręką się za piersi chwycił i na

wznak padł, a koń z pod niego ranny kilką strzałami, nazad krwawiąc poleciał.

Zatem wrzaski się podniosły z obu stron straszne, swoich i Rusinów żadna już siła powstrzymać nie mogła; rzucili się nawalem ku okopom bezładnie, nie patrząc wódzów, wyprzedzając, popychając, tłocząc. Zamięszanie powstało wielkie, w mgnieniu oka wały całe się ludźmi okryły. Zdawało się, że ta ciżba mały zametek zgniecie i rozniesie.

Ale Kietliczowi, którzy dotąd znaku życia nie dawali za parkanami, dopuściwszy ów tłum do samych ścian, cisnęli gradem strzały, belty, kamienie i bierwiona.

Padło co stało najbliżej pobite i pokaleczone, inni po trupach się drzeć zaczęli, wszczeła się walka zacięta, bo gdy jedni miotali głazy i belki, drudzy przez parkan ręczny bój zaczęli toporami, mieczami, oszczepami ku sobie sięgając.

Oblężeni wiedząc jaki ich los czeka, bili się rozpaczliwie i zjadle. Co który padł, na miejsce jego darł się drugi, tak, że za parkanami żywiej się mieniali waleczący niż Kaźmierzowi, którym trupy i kłody drogę tamowały.

Na wyżkach za parkanami widać i rozpoznać było można Bolka w całej zbroi z mieczem i Kietlicza, pędzących ludzi, zagrzewających, ciskających strzały.

Walka wrzała zacięta, gdy od Wawelu otwarły się bramy; wojewoda Mikołaj z doborem swoich ludzi puścił się ze swej strony na obleżonych, Kaźmierz też rwał się iść koniecznie do boju, bo był takiego serca, iż gdy w jego oczach walczyli drudzy, beczynn timer na to patrzeć nie mógł i jak prosty wojak biegł życie nastawiając, co i inni wodzowie w owych czasach czynili, aby ludzi przykładem zagrzewać.

Wstrzymali go ledwie ci co przy nim byli, mówiąc, że chwila nie przyszła.

Gdy się tu bój toczył straszny, z miasta co żyło
Stach z Konar. T. IV.

wybiegło mu się przypatrywać, mieszczanie choć się o siebie lękali, wytrzymać nie mogli po domach. Tłum ich zdala stał ogromny, ręce podnosząc, krzykiem swoim posilkując, rwąc się, jakby chciał też iść do boju, choć tam i miejsca już nie było, bo zamek opasywało wojsko i Ruś, tak, że sami się dusili oblegający.

Stojący dalej przez głowy swoim strzały miotali, wytrzymać nie mogąc, ażby na nich kolej nadeszła. Za wrzawą nie słychać nie było, nawet dzwonów, w które po wszystkich kościołach uderzono, gdzie się duchowieństwo za powodzenie oręża Kaźmierzowego modliło.

Stach był w tłumie na przedzie i szczęśliwie dotąd od kłód i kamieni się ochroniwszy, oszczep i miecz dobrze już okrwawił, sam nie wiele potłuczony.

W pierwszej chwili zdawało się, że bitwa potrwać długo nie może, a w jednej godzinie wszystko skończy; upłynęło ich trzy, a nigdzie parkanu nie złamano; Kaźmierzowi, którzy zrazu parli się z wielką zapalczywością, ostygli znacznie, ludu straciwszy dużo, a Kietliczowi nabrali ducha, kilka razy odparłszy szturm.

Trupa na wałach, przyniesionego belkami, zabitego kamieniami, rannych od strzał leżało mnóstwo na wałach—część ledwie ściągnięto w dół, aby drogę oczyścić.

Spodziewano się, że obleżonym posiłków zabraknie, ale zawczasu przygotowani, nie szczędzili ich i coraz gęściej sypali. Zaczynano się obawiać, aby w jedną rzucając się stronę, Kietlicz nie przebił i nie uszedł ze swemi.

Zagrzewali więc pułkownicy ruscy i swoi, coraz nowe prowadząc oddziały na słabsze miejsca, lecz nigdzie się wdrzeć do środka nie udawało. Widząc to Stach począł nawoływać, aby ogień podłożył pod parkany.

Nikomu jednak nie chciało się miecza na zagiew mieniać, a niektórzy wysmiewali doradcę.

Zebrał z trudnością Stach małą gromadkę, która mu się namówić dała, aby głównie przenieść z bliższych domostw, susz i smołę. Nie rychło udało się nanieść ognisko pod drewnianą ścianą, z którego dym buchnął kłębami. Stach upatrzył miejsce, gdzie dla wysokiego parkanu mniej ludzi było, drabiny kazał nieść i pęk smolnych pochodni ujawszy. nie czekając na drugich, z niemi się na zasiek drapać począł tak zręcznie i pośpiesznie, iż na wierzch się wdął, nim się opatrzone... Pochodnie zapalając, cisnąć wnet jął na dachy do środka, sam wołając:

— Gore!!

W istocie dachy dranicowe poczynaly się palić, ale więcej dymu na zamek szło z dołu od kupy chróstu pod parkanami podłożonej... Dym i wrzask spłoszyły z tej strony Mieszkowych, którzy cofać się zaczęli i uciekać, powtarzając—Gore!

Po całym zamku wołanie — Gore! się powtarzało — Gore! Gore!

Ci, co śmierci w boju się nie lękali, ulekli się, aby ich żywcem nie spalono. Parkan z jednej strony gorzał, na dachach płomienie błyskały—trwoga ogarnęła obleżonych. Kaźmierzowi w tej chwili napadli ze wszech stron i wrota wielkie, bronione słabo — wylamali. W kilku miejscach tyny pod naciskiem ich powaliły się.

Co się tam działo w tem zawarcu ostatniem, opowiedzieć trudno.

Rzeź się poczęła bezlitośna, wiązanie, bicie — pogoń. Dokoła stał lud tak ściśnięty, że nikt uchodzić nie mógł; kto się jednemu z rąk wysliznął, wpadł na oszczep drugiego. Wielu na ziemię waliło się, udając zabitych, chowając między trupy, tych trutowano i guściono, aż gdy z nich dech się dobywał ostatni, dobijającego trupów za nogi chwycił, kasał, obalał i słał drugim pod stopy.

Każmierza już w tej chwili zamięszania przyboczni utrzymać nie mogli. Wbiegł i on w te tłumy z mieczem podniesionym, przerywając się na drogę wiodącą do Wawelu, która otwartą była.

Niektórzy z Kietliczowych, nie mając innego ujścia, straciwszy głowy, na zamek górny zbiegać zaczęli, bo ich tu nikt jeszcze nie hamował.

Zobaczywszy to Rusini pierwsi, w pogon poszli za niemi i część walki groziła przeniesieniem się na Wawel, z którego wojewoda Mikołaj był wyszedł. Bronić go nie było komu. Mogli Kietliczowi ludzie, broniąc się lub mszcząc, podpalić i mordować tych, co na nim byli.

Krzyknął więc Kaźmierz na swoich kilkunastu przybocznych i popędził za Rusinami na górny zamek. Bramę otwartą przebiegł oddział Kietlicza, Ruś za nim i w podwórcach zamkowych, pod oczyma księżnej Heleny, biskupa i resztki dworu, wszczęła się znów walka zacięta.

Kaźmierz biegnąc za niemi, postrzegł, że przez drzwi otwarte do kościoła św. Wacława część uchodzących wtargnęła, starając się tam ukryć i drzwi zaprzeć za sobą. Rusini przypadli zaraz i pod naciskiem ich wrota świątyni runęły.

Z przestrachem ujrzał książę co kościelowi Bożemu groziło, Ruś bowiem nie rozróżniając co swoje a co nieprzyjacielskie, w pogoni za ludźmi już się na ołtarze rzuciła, chwytając z nich świeczniki i opony.

Na widok ten, przerażony Kaźmierz z mieczem podniesionym, z krzykiem ogromnym, jak piorun rzucił się na plądrujących.

Znany głos jego, zbroja; hełm, natychmiast Ruś powstrzymały od rabunku. Lecz, że pomiędzy ławy, za ołtarze, po kątach ciemnych nacisnęło się mnóstwo zbiegów, za niemi się uganiać poczęto i kościół Boży jękami się rozległ, krwią oblewał.

Nim pochwycić uspiąno zbiegłych, których wszę-

dzie znajdowano, dopadł Wszebór do drzwi, wołając, że Kietlicza z niemi uchodzącego tu widziano.

Pogon się zaczęła za nim i szukanie po komorach, na strychu, za ołtarzami, we wszystkich kryjówkach kościoła—Kietlicza nigdzie nie było.

Przed wielkim ołtarzem głazem ogromnym zamknięte było wniście do krypty i grobów — książę postrzegł, że wieko stało podniesione, a wniście otworem. Spuściło się wnet kilku do głębi.

Z podziemia dał się krzyk słyszeć głośny... Skrytego pod trumny wywleczono sprawcę wojny...

Gdy się twarz jego zbladła, z hełmu już obnażona ukazała, a ludzie ręce mu zwiąawszy, ciągnęli ku górze, stał właśnie Kaźmierz nad wschodami i pierwszy raz może w życiu gniew ogarnął go taki, że żelazną rękawicą, którą w rękę trzymał, opoliczkował zdrajcę *).

Wtem nadbiegł o Rusinach tu zasłyszawszy, książę Roman.

— Bierz go sobie! daruję ci za niewolnika tego psa! Weź go sobie! — zawołał książę — inaczej lękam się, abym krwi jego nie przelał, a wszystka krew tego łotra nie opłaci ani cząstki tej pocziwej krwi, która się przezeń wylała.

Kietlicz bezmówny już był i bezwładny, twarz blada krwią mu nabiegła od razów, usta miał okryte pianą, ciało poranione, pobita zbroja, poszarpana odzież, nogi w ucieczce poodzierane do kości.

Rusini kniazia, wyrok usłyszawszy, natychmiast go pochwycili.

Pozbyto się zaraz z kościoła i jeńców powiązanych i pogoni niepotrzebnej w nim, aby co prędzej oczyścić skalaną świątynię, ku której już zewsząd zbiegali się duchowni, śpiesząc bezsilni na obronę.

Książę Kaźmierz upadł na kolana przed wielkim

*) Historyczne.

oltarzem, aby Bogu podziękować za zwycięstwo, ale czasu na długą modlitwę nie było.

Biegli za nim ludzie z doniesieniem, że co żywego zostało na dolnym grodzie zagarnięto w niezwołę. Z innemi razem Bolka syna Mieszkowego i kilkudziesięciu ziemian krakowskich, starszyny wielkopolskiej, szlachaków.

Mikołaj wojewoda, który razem z tą wiadomością przybył do księcia, cały jeszcze nowym gniewem stare odżywiającym, — wołał, by ze zdrajców nikomu nie darować żywota, ścinać wszystkich i wieszać!

— Zostawcie to mnie — przerwał mu Kaźmierz niemniej gorąco — dajcie czasu do rozwagi i namysłu. Życia nikomu brać bez wyroku mojego nie dozwalam. Zabierajcie, zamknijcie, lecz włos niema spaść z ich głów bezemnie, Bolka na zamek niech tu dadzą!

Mikołajowi nie bardzo się to podobało i odparł szorstko:

— Miłościwy panie, my od nich nigdy pokoju mieć nie będziemy, gdy im bezkarnie ujdzie raz zdrada.

Właśnie gdy to mówił, dostrzegł Kietlicza związanego i pięść wyciągnął ku niemu.

— Czy i temu przepuścicie? — zapytał.

— Ten nie moim już jest jeńcem — rzekł książę — dałem go w moc i władzę kniaziowi Romanowi, ten ma nad nim prawo życia i śmierci, ale swobody mu dać nie może.

— El! el! — rozśmiał się szydersko Rusin — bądźcie wy o niego spokojni, ja mu w Haliczu lub Włodzimierzu znajdę kąć dobry, gdzie sobie w dybach chodzić będzie, drwa rąbać i wodę nosić, a psy karmić. Chłopisko silne, zda się choćby i świnie paść. A już jemu dobrze u mnie będzie!

Gdy tak rozprawiali, walka już była skończona, wzięto tych co żyli, dzielono na kupy, odzierano ze zbroi i odzieży, ciury nad trupami znęcały się coperdziej odzierając swoich i cudzych.

Wieczór już zastał krwawe pobojuwisko nagiem trupami usłane, gród dolny spustoszony, na pół spalony i rozerwany. Tłumy zwycięzców zawodziły pieśni radosne razem i okrutne.

Miecz do pochew włożywszy Kaźmierz otoczony towarzyszami szedł na dworzec, w którego drzwiach widać było zdala oczekującego nań biskupa, księżnę i dzieci.

Oblicze Pelki zarumienione było radością zwycięstwa, do którego on i brat tyle się wytrwałością swą i mężstwem przyczynili. Powitanie było rzewne, a księżna, która z trwogi jeszcze ochłonać nie mogła, łzami się ciągle zalewała. Dzikie wrzaski i jęki konających brzmiały w jej uszach śmiercią jeszcze.

— Bóg wielki, Bóg jedyny, Bóg nasz dał nam zwycięstwo! — zawołał biskup, oczy i ręce w niebo podnosząc — prawo i sprawiedliwość z nami były! Pan opiekunem sprawiedliwych! Probuje On tylko i krzyżę zsyła, aby tem większą okazał łaskę. Imię Jego niech będzie błogosławione!

— Amen! — dodał Kaźmierz, rękę jego całując.

Roman stryj witał tymczasem księżnę, mimo powagi i grozy tej chwili strasznej, z uśmiechem figlarnym na ustach.

— El ty gołąbko moja biała — zawołał — czyście choć piroga słodkiego dla gości upiec kazali, do łąźni winników nagotować, starego miodu utoczyć, bo my się tak upłasali, naskakali, że nam się i stół poczesny i kubek spory należy.

To mówiąc i z nogi na nogę przestępując a kołyszając się, jakby istotnie do płasów się zabierał, ocierał rękami zakrwawionemi uznojone czoło.

— Cieszę się — mówił dalej — że ja też tu na coś się zdał panu memu miłościwemu Kaźmierzowi, gdy on mnie tylekroć ratował. Rusini moi tak się zwijali koło kosowicy, że pokozy po nich grube leżą: tylko to siano jutro pachnąć nie będzie!

Żartował tak sobie wesoły zawsze kniaź. U wni-

ścia dwór cały wybiegłszy witał za kolana ściskając księcia. Stał i Goworek na pół smutny, wpół rozweselony, którego po biskupie, żonie i dzieciach pierwszego Kaźmierza uściskał.

— Zażyliście i wy biedy czasu tego oblężenia — odezwał się — alem ja przybyć wcześniej nie mógł, choć dniem i nocami śpieszyłem!

Gwarno opowiadać zaczęto, wszyscy społem, co się na zamku osaczonym działo, co w mieście, narzekano na zdrajców, a wojewoda Mikołaj piosnkę swą powtarzał, że surowości teraz zażyć było trzeba i nie litować nad winnymi, aby się to nie powtórzyło. Na ziemian nastawał najwięcej, jak tak do brotliwego pana zdradzić mogli.

Wspomnił biskup, że posła ztąd odprawił nie mówiąc kogo, a Kaźmierz przyznał, że to powrót jego przyspieszyło. Chciał zaraz wiedzieć, który był co życie ważąc z zamku się wymknął i do wojska przedzierał, aby go nie minęła nagroda, ale biskup zamilczawszy, o czym innem zagadał.

Wieczór ten zakończył się stolami dla starszyzny na zamku, a dla pospolitszego człowieka i dworu książąt obu w podwórcach zastawionemi, przy których do dnia białego pełno było.

Odechodzili jedni, cisnęli się drudzy. Rozporządzano jeńcami, zbierano łupy, przyprowadzano coraz więźniów nowych, przedniejszych, których w lichą odzież z postrachu znajdowano poprzybieranych. Musiano potem od jednego do drugiego z pobranych chodzić i każdemu zaglądać w oczy, aby ukrywających się pułkowników i ziemian rozpoznać. Tych osobno na zamku pod strażą zamknięto.

Stach, który przy zażegnaniu zamku się popalił i ran odniósł kilka, gdy wszystko się skończyło, pomyślał dopiero o sobie i do swego dworku się powłókł. Szczerściem był on trochę odległy, boby go Rusini, jak innych nie oszczędzali, choć tam już mało się czem pożywić mogli po Mieszku. Zaledwie kaftan z sie-

bie poszarpany i zbroję potłuczoną zdjawszy, zabierał się leżąc na łożu i spocząć, w sieni dał się słyszeć głos łekliwy, natarczywie domagający się wpuszczenia.

W progu, nieśmiało wchodzący blade Juchim się ukazał.

Czatował widać na powrót Stacha, krokiem niepewnym zbliżył się do leżącego i kłaniając się, stał przed nim.

Stach zuchwalstwu temu wydziwić się nie mógł, zerwał się oburzony z pościeli i ukazując na drzwi krzyknął:

— A idźże ty mi precz ztąd, zdrajco bezwstydnym!

Juchim ten wybuch zniósł spokojnie.

— Co to, zdrajco? jaki ja zdrajca? — odparł. — A! nie gniewajcie się! Na co to gadać takie rzeczy!

I z głębi piersi odetchnawszy, dodał:

— Ja już widziałem naszego księcia i pokloniłem się jemu, ja mu powiedziałem wszystko jak było... Cóżem ja miał robić? wojować z moimi starymi rękami...

— Idźże teraz z niemi gdzie chcesz — rzekł Stach — a mnie spokój zostaw...

— A! słoweczko tylko — rzekł Juchim. — Wy wiele możecie u biskupa, a biskup może wszystko u księcia... Niech mnie mienicy nie odbierają! A kto im lepiej zapłaci i lepsze pieniądze z czystego srebra bić będzie?

Stach nie odpowiedział nawet, odwrócił się tylko. Żyd stał uparcie.

— Za co wy macie nastawać i gubić starego Juchima!

— Ani gubić ani zbawiać cię nie myślę — rzekł Stach porywczo — ani dla siebie, ani dla drugich nie nie chcę, o nie nie proszę... Idź z tem do innych.

— Wyście powiedzieli, że Juchim zdrajca — ciągnął Żyd nie zważając — to jest złe słowo, straszne

słowo! Kogo on zdradził? samego siebie chyba, kiedy do tego nieszczęśliwego kraju noga jego stąpiła!

Nie otrzymując odpowiedzi, żyd mruczał, kręcił się, nie odchodził, wreszcie zagadując o tem i owem, natrącił o Mierzwie, i cicho spytał, co się z nim stało?

— Jeżeli go nie powiesili—rzekł Stach—to spodziewam się, że to wkrótce nastąpi.

— Al! niech go sobie wieszają! co mnie do tego! — zawołał Juchim, — Pytam o niego, bo on mi winien dużo... To jest zdrajca! On wszystkiego narządzi!

Zbyć się żyda nie mogąc Stach, okrył głowę i udał usypiającego; jakoż Juchim postawszy trochę, odszedł, a nim do wrót się dostał, znużonego już sen głęboki objął z marzeniami gorączkowemi.

Nad ranem książę Kaźmierz poszedł do swej komnaty. Z okna jej widok był na Wisłę ku murówance, której ściana jedna szarżała w pośród drzew zielonych. Książę spojrział w tamtą stronę. Niedługo Jagna dawała mu ztamtąd zuaki, gdy pilno jej było powołać go do siebie. Naówczas w oknie, u którego siadywała, wywieszała kobierczyk szkarłatny, który zdawał na murze widać było.

Oko Kaźmierza, nawykłe do tego miejsca, które on zajmował, rozeznawało łatwo, gdy był rozestany. I teraz zdało mu się, że kobierczyk u okna widać było.

Lecz mogłaż się już tam Jagna znajdować?... Służąca może niebaczna zawiesiła, nie wiedząc co robi. Może go oczy ludzkie? Serce uderzyło.

— Miałaby powrócić?

Smok ranny leżał u drzwi na posłaniu, rękę miał zgruchotaną ciężkim razem obuchem.

Książę sam poszedł do niego. Na widok pana, zerwał się stary sługa tak żywo, jakby o chustach, którymi miał poobwiązywane ramię i dłoń zapominał.

— Co wam, ojcze trzeba, od Smoka? — zapytał troskliwie.

— Tyś ranny!

— Jaka to tam rana! — odparł Smok—at—rękę trochę zgnieli.

Patrzył mu w oczy pilno chcąc z nich coś wyczytać.

— Kobierczyk wisi w oknie — szepnął książę—miałaby do murowanki powrócić?

Smok natychmiast wybiegł.

Kaźmierz wrócił, siadł, patrzył oknem i usnął tak znużony.

Dzień już jasny był, gdy Smok powrócił, zajął do komory księcia, zobaczył śpiącego i sam się położył, a gdy Kaźmierz wstał wiedział już, że Jagna była w domu z powrotem.

Hreczyn, który przybył do dworku oznajmił o tem Stachowi, ale rozpytywany, gdzie się ukrywali przez czas ten mruczał ni to ni owo ramionami dźwięgając.

Nazajutrz Wichfried też skorzystał z wolnej chwili, aby się przekonać co z Dorotą się stało. Słabość miał do niej. Najpewniejszym był że gdy Mieszek Kraków zajmował bracia ją pochwycić musieli. Z ich rąk żywą, nawet opieką Kaźmierza wydobyć jej nie mogła.

Wechodząc na próg domostwa zajmowanego przez Dorotę, w myśli się tej utwierdził. Znać tu było przejście żołdactwa i gospodarstwo nieprzyjaciół. W sieniach leżała słoma i siano, na których niedawno kupa ludzi spoczywać musiała, drzwi stały otworem, w izbach dawnego ich przybrania i sprzętów śladu nie było. Przechodząc je ze zdziwieniem postrzegł Wichfried w trzeciej dwie służebne Doroty, obdarte i wybladłe krzątające się około drzwi ostatniej komory, która stała zamknięta. Zobaczywszy Wichfrieda wydały okrzyk radośny.

Jedna z nich otworzyła drzwi zaraz; wskazując mu by wszedł.

Komora stała we mroku, okna były pozasuwane i dojrzeć tu nie mógł nic jeszcze Wichfried, gdy z kąta głos, wymawiający imię jego, oznajmił, że Dorota tu była. Jej to był głos, choć osłabły bardzo i zmieniony. Nie rychło, przystąpiwszy bliżej zobaczył ją na łożu leżącą, bladą, wychudłą, z oczyma tylko błyszczącymi jak dawniej. Włos rozpuszczony, poplątany, w nieładzie spada na ramiona jej, których kości z pod skóry żółklej wystawały.

Gdyby nie ten głos i oczy, nie poznałby był jej może, nie śmiał zapytać, co się z nią działo.

Wdowa dysząc gorączkowo nie mogła się zebrać na słowo.

— Jakżeście się potrafili ocalić od braci? — zapytał.

— Cudem! — odparła cicho Dorota. — Uciekłam zawczasu z domu! Widziałeś co z niego zrobili! Odarli mnie, zniszczyli. Czatuwali tu azali nie wrócić, alem była dobrze ukryta!

O! tak! dobrze! o chlebie i wodzie, na wyżkach, na zgniłym sianie, przez szczeliny dachu patrząc na miasto w wiecznej obawie, aby mnie i tam nie pochwyciono...

Patrz, co się stało z Dorotą. Skóra i kości! Głód, niepokój, niewczasy, zimne noce, choroba. Jedna stara Czechna miała litość nademną, żywiła mnie, leczyła jak mogła... Bez niej umierałabym musiała.

Rozplakała się i wnet z żywością niewieścią a dziecinną — poczęła:

— Al to nie, przeszło wszystko, siły mam jeszcze! To nie! odżywię się, spocznę. Krasa moja powróci! Czechna ma na to sposoby. Nie opuszczajcie Doroty, mówcie księciu niech zdrajców braci ukarze... Niech gardła dadzą! Oni nań zbierali ziemian, oni knuli z Mieszkim. Niech gardła dadzą!

Zaczęła łyż znowu roniąc nad sobą, a usta się jej nie zamykały. Wichfried patrzył i słuchał z politowaniem.

— Nie ocaliliście nic z tego, coście mieli? — spytał.

— Ani jednej sukni, ani jednego lachmana — mówiła wdowa. — Leżę na barłogu... Zlitujcie się nademną, ratujcie!

Zmieniła znowu tok rozmowy.

— O, byłem spoczęła, Dorota znowu piękną będzie! — wołała gorączkowo. — Zobaczycie! Życie jeszcze w sobie czuję, wszystko powróci. Książę też powróci mi musi, albo żyć nie będę!

Plotła tak długo, aż niemiec się w końcu obiecując pomoc oddalił. Wróciwszy na zamek, przy pierwszej zrzeczności szepnął księciu o losie Doroty, litując się nad nią. Kaźmierz prosić się nie dając odesłał do skarbnego, aby dom i ją zaopatrzone, ale słuchać nie chciał i imienia nawet nie wymówiwszy, odwrócił się. Wspomnienie nawet było mu przykre, wstępną i srom malował się na twarzy.

Wichfried sam też wysławszy co dla niej zyskał, nie śpieszył do Doroty. Kilka tygodni upłynęło nim wezwany przez sługę, którego wdowa umyślnie wysłała, niemiec niechętnie dosyć powlókł się do jej dworu.

Tu nowe go czekało zdumienie, domostwo odzyskało jeśli nie dawną swą świetność, przynajmniej pozór zamożności pańskiej.

Ślady zniszczenia zupełnie zatarte zostały. Wichfried wchodził do wielkiej izby rozpatrując się ciekawie po niej, gdy z drugiej wdowa wybiegła na jego spotkanie.

Nie była to już owa piękność dni dawniejszych jasna i ciągnąca oczy, ale niewiasta jakaś inna może do życia już wrócona, wdzięczna, uśmiechnięta, wesoła... Trochę schudzona, zdawała się jakby odmłodzoną, oczy jej jaśniały znowu, płeć odzyskała świeżość i rumieńce. Suknia jedwabna okrywała ją, miała już pierścienie, łańcuchy i ochotę, a odwagę do życia.

— A co?—zawołała od progu.—Sądziście, że już po mnie? O! nie! Jeszcze ja nie jednemu, gdy zechcę, zawrócę głowę.

Poruszyła się żwawo, aby swą rzeźwość okazać.

— Wszystko złe już przeszło! — wołała...

Niemiec zdziwiony nie mógł wymówić słowa, ona się śmiała, szczebiotała, wdzięczyła.

— Na nowo rozpocznę życie—mówiła.—Należy mi nagroda za to com się wymęczyła na tych wyżkach! w tej chacie przeklętej! Dym mi się cisnąc przez dyle oczy wygryzał, gdy nocą szczury biegały do mnie, krzyczeć musiałam ze strachu! Gzło, suknia popadały na mnie... A te dnie, a te noce, na przemiany to skwarne, to duszne, to zimne, a długie jak wieki! ani ich było przespać ni przeplakać! I to milezenie bez końca, gdyby w grobie! Tylko czasem jęk chorej baby z dołu, płacz dziecka, a z miasta krzyki pijanych żołnierzy.

Com ja tam przeżyła! Odpokutowałam za swoje i cudze grzechy. Teraz chcę zapomnieć o tem i żyć, żyć!—na nowo!

Uderzyła w dłoń. Wichfriedowi wstyd było za nią, stał jakoś skłopotany i zdrętwiały.

— Cóż, ty?—zapytała.—Przywiozłeś sobie z Rusi jaką córkę bojarską? kniahinię czy chłopkę?

— Nikogo!—rzekł niemiec—dobrze żeśmy ztamtąd życie wynieśli!

Rozśmiała się i pochwyciwszy pod rękę Wichfrieda, do komory go zaprowadziła.

Tu, wróciły jej stare nalegania o księcia, zaklinania niemca, aby jej pomagał — zwierzanie się o napoju, który Czechna przygotowała umyślnie, a ten miał niechybnie serce Kaźmierza skłonić ku niej znowu..

Wichfried był znudzony i gniewny, tak, że ledwie pół słowami odpowiadał, nie zraziło jej to jednak i nie puściła go od siebie, aż go rozchmurzyła i dobyła zeń co chciała. Niemiec często przybywał

tak ostygły i obojętny, powracał oczarowany i zawojowany... Gniewał się sam na siebie, Dorota tryumfowała...

VII.

Wojewodę Mikołaja żelaznym mężem zwano, nazwać go też można było kamiennym, bo raczej się skruszyć dał niż ugiąć. W bracie jego biskupie Pelce też samą krew i umysł nieugięty łagodziła miłość chrześcijańska i przytomna pamięć jego w każdej dnia godzinie Chrystusowa nauka. Choć pobożny, Mikołaj więcej był rycerzem i żołnierzem niżeli chrześcianinem. W nim jeszcze stary jakiś szczątek pogańskiego mieszkiał ducha.

Takim samym był względem pana, podwładnych i dla siebie, ta siła wielka duszy dawała mu lekceważenie tych, co jej nie mieli, dumny był a bezwzględny. Przyjaciół też miał mało, ale szanowali go i ci co nie lubili. Jeden biskup powagą swą czasem mógł go powstrzymać i ułagodzić, Kaźmierz nawet, gdy go prosił rzadko co wyjednał. Ziemianie się go lekali, lecz czasu wojny nie było nad niego wodza i żołnierza. Gdy on prowadził, szli wszyscy pewni zwycięstwa.

Mikołaj wojewoda, a brat jego Pelka o te czasy byli już prawie wszechwładnymi, Kaźmierz cenil wodza i człowieka, miał w nim przyjaciela, w sprawach kraju dawał mu wiele czynić nie pytając. Mikołaj swobody tej używał, wcale jej nie szczędząc.

Natychmiast po otrzymanem zwycięstwie, wo-

jewoda zapowiedział pomstę nieublaganą, karę surową na winnych.

Nie byłby zwłóczył z tem i wziął odpowiedź na siebie, lecz pierwszego dnia Kaźmierz stanowczo mu oświadczył, iż wymiar sprawiedliwości sobie zostawia. Wojewoda uledez musiał w duchu klnąc się, iż stanie wbrew księciu i winnym przebaczyć nie da.

Nazajutrz zbyt jeszcze wiele do czynienia miano, aby się losem jeńców zajmować. Jednego tylko Kietlicza losem rozporządził książę, oddając go w niewolę Romanowi. Wojewoda mruczał na to, wyrzekał, chcąc go natychmiast powiesić, myśleć nawet nie mógł o tem, aby z życiem uszedł ten, którego on o wszystkie Mieszka knowania i spiski obwiniał. Inni więźniowie wszysej, nie wyjmując Bolesława siedzieli na zamku jeszcze, gdzie i ziemian krakowskich kilkudziesiąt z owych siedemdziesięciu liczono.

Bolko najstarszy z synów z drugiego małżeństwa Mieszkowego, najulubieńszy mu, młodzian dzielny, silny i mężny, szedł w sprawie ojca więcej jako wojak boju cheiwy, niż jako zdobywca i nieprzyjaciół stryja.

Tak samoby może wojował był pod wodzą Kaźmierza z Pomorzany lub prusakami, bo mu wojna smakowała. Nie było w nim jeszcze namiętności innej, oprócz bojowej i rycerskiej. Bił się też do ostatka wściekle, zbroję miał na sobie połamaną, ciało okryte sińcami, ran kilka, a uśmiechał się jeszcze na wspomnienie tych, którym się śmiertelnemi ciosami odpłacił. Rozpamiętywał walkę wczorajszą, jak łakomec uczcą jaką. Teraz mu już było jedno co z nim stryj postanowi. Gotów był znieść los najsroższy, o jedno stojąc, aby oka nie zmrużyć, nie wydać jęku, nie okazać się słabym...

Zostawiony sam sobie, rzucony na słomę — myślał dość obojętnie, jaką męczarnią go ukarzą. Śmierci się nie bał, tylko wylupienia oczów, bo kalectwo

w młodym wieku, gorsze mu się nad nią zdawało. Rękę jedną dałby był chętnie za tych oczu dwoje. Więzienie też ciemne, smrodliwe, w któremby go skazano gnić, grozę w nim budziło.

Na wspomnienie ojca, braci, życia, swobody, wojny, łza mu się w oku czasem kręciła, ale płacz rycerskim nie był — i poświstywał, aby ból ukryć i uśmiechał się gorzko. Czekał tak zamknięty, a niepewność dolegała mu gorzej może niż to co go spotkać miało. Wiedział, co się z Kietliczem stało.

Niewola na Rusi, zaprzękanie, nędza! Kto wie? i jego mógł ten los spotkać? Z niewoli wszakci uciekali ludzie! To mu się jeszcze uśmiechało więcej niż ciemnica głucha.

Z tych myśli, wrzawa go jakaś rozbudziła. Podniósł się ku oknu z kratą drewnianą, przez której szczeble zamek widać było — wczoraj tyłą krwi obłany.

Pierś mu się jeszcze na to wspomnienie wzdymała.

Był to piękny dzień jego młodego życia, taki bój pijany, krwawy, zawzięty, mord, pożoga, walka wściekła — niestety, zakończona tem, że go tłum na ziemię obalił i na pół zgniecionego pochwycił. Ale — bronił się do ostatka.

Poznano go ze zbroi i twarzy i posadzono za kratą.

Patrzal: na zamku niedogorzałym sterczały belki czarne, obalone dachy, porąbane ściany. Ziemia była zorana i usłana trupami. Żaden z nich nie miał i łachmana odzieży na sobie, do mogiły; ciała zabitych świeciły nagie, żółte sine, krwawe, pogruchotane. Powiązani jeńcy, czerw prostą, siedzieli przy nich i na nich, gryząc chleb suchy, który im z koszów rozdawano.

Inni pod strażą pędzeni przez dozorców, z dołu na zamek znosili trupy, na kupy je zrzucając. Ruch był jakiś śpieszny wśród tych gruzów.

Bolko widział, jak z nich odgrzebywano jeszcze co warte było zachowania, jak zdala niedopalone drzewo parkanów dźwigano na górę i pokrywano nim trupy, na które rzucano chrust suchy wiązkami.

Jeńców zaczęto spędzać precz potem, i stracił ich z oczów, tylko trupy zostały. Patrzał jeszcze na to miejsce pamiętne sobie, odgadując gdzie stał, kędy padł, gdy dym począł się wznosić miejscami i otaczać trupów pagórki. Pod ściany drewniane podkładano żagwie wszędzie. Gdzieś tam błyszczały ogniki, z innych kłębiły się gęste dymy i zwolna podnosiły do góry. Zdala postyszał dochodzący trzask płonących bierwion smolnych, dranie z dachów upadłych i parkanów. Płomień rozlewało się, biegło ku sobie, chwytalo się — i wkrótce cała przestrzeń, którą zamek zajmował, stała kotłnią ognistą.

Gród i trupy razem ogień miał pożreć. Dokola stojące gromady podrzucały chrustu i suszy, pilnując, by się ogień dalej nie szerzył. Powietrze było spokojne, dym rozplywał się i unosił do góry słupy ogromne. Co gdzie stało jeszcze, waliło się z łoskotem, od dołu podgorzawszy, iskry podskakiwały do góry i gasły w powietrzu.

Kiedy niekiedy podmuch lekki wiatru odwiał dym, odrzucił zasłonę siną i ciała poległych widać było piekące się w ogniu, zczerniałe. Okopy rozrzucał jeńce, nie miało pozostać ni śladu walki braterskiej.

Gdy z jednego okna Bolko spoglądał wdychając nad losem ojca i swoim, z dwu innych szeroko rozrzuconych przyglądali się pożarowi siedzący na radzie: Kaźmierz, biskup Pełka, Mikołaj wojewoda, Goworek, Jaksa i kilkunastu starszyny.

Nieco na uboczu siedział kniaź Roman, jakby do narady mięszać się nie chciał, uśmiechał się pożarowi.

Biskup pilno badał twarz księcia, brata swoje-

go i otaczających, czytając w nich co się w sercach działo.

Mikołaj już od godziny począł swą sprawę, wymownie, gorąco obstając przy tem, że kara surowa na zdrajców była niezbędną dla postrachu i przykładu.

— Miłościwy książę — mówił — gdyby rodzony brat mój znalazł się pomiędzy jeńcami, Bóg świadkiem duszy mojej, nie żywiłbym go, nie prosił za nim, dałbym winną pod topór głowę. Surowości w tem państwie potrzeba, bo się wszystko rozprzega. Prawo Boże nie sprzeciwia się karze zasłużonej. Oni nastawali na gardło wasze, na życie, na prawa, na władzę, na skarby, oni by wam nie przepuścili, im się nie godzi przebaczyć.

Ziemiańskie za nim stojące, już to dla przypodobania mu się, już aby dowieść, że ze zdrajcami nie ich nie łączyło, choć książę milczał, potakiwali surowemu Mikołajowi.

Jak skoro on przestawał mówić, szmer i urywane słowa wtórowały karę surową, nieubłaganą. Kaźmierz słuchał, biskup oczy to na brata, to na niego obracał.

— Porwali się na nas, nie to jeszcze — ciągnął wojewoda — bunt to był, ale wojna! Gorzej że knowali, sprzysięgali się, zaręczali wierność, a obmyślali zdradę. Porwanie się z orężem krewkością ludzką można rozgrzeszyć, niepoczciwość o pomstę do niebios woła. Całowali nas pocałunkiem Judaszowym, zaklinali się krzywoprzysięstwem. Ślubowali wierność kopiąc doły.

Topor i pieniek — to ich nagroda!

Mruczano że śmierci winni — gdy ks. Kaźmierz, który słuchał cierpliwie, ręce do góry podnosząc, zawołał:

— Miły mój! miły mój! dość już krwawych tych słów. Winni są, a myżemy bez grzechu? Cóż gdy Bóg nas za winy nasze tak srodo karać zechce jak my ich? Przypomnij codzienną modlitwę o win

odpuszczaniu! Chrystusowa to nauka! a myśmy dzieci tego pana.

Wyrzekł to z zapalem wielkim, iż wszyscy, wojewoda nawet uczuł się przejęty. Czoło mu promieniało, zwrócił się ku biskupowi, jakby Chrystusowego ucznia i kapłana na świadectwo wzywał. W tym samym czasie spojrzął na brata wojewoda, oba te wzroki, między którymi biskup miał rozstrzygać tkwiły w nim.

Chwilę Pelka jakby nie pewien milczał, zdawało się, że duszną odmawiał modlitwę, twarz blada oblała się rumieńcem, oko otwarło — zwyciężyło w nim to, co zwyciężyć było powinno — słowo Chrystusa.

Wstał natchniony i począł głosem uroczystym zwracając się do brata:

— Bracie mój! dziecko moje! Nie dobre są rady twoje choć serce two dobre jest! Nie godzi się aby miejsce miłości w rodzinie zastąpiła surowość, szlachetniej jest dobroczyńcą być niż mścicielem. Zwycięzki Pyrrhus pokonawszy Rzymian, odesłał do Rzymu bez okupu dwóchset żołnierzy pojmanych, aby ci co męstwo jego poznali, wspaniałomyślności się też nauczyli. Aleksander Wielki wojując z Prussem, gdy go ujrzał tak znękanym iż pokarmu przyjmować ani ran goić nie dawał, czcząc męstwo duszy, nazad jeńca do domu odesłał. Tysiące takich przykładów przywodzą dzieje. Czytaj o Elizeuszu, Joramie, jaką dał radę prorok.

Bóg dał ich w ręce nasze, aby cnotę naszą wypróbował.

Kaźmierz usłyszawszy wymowne słowa, rzucił się z siedzenia ku biskupowi, i z najwyższą radością, obejmując go po rękach całować zaczął.

— Bądź mi błogosławiony, ojcze! — zawołał w uniesieniu — z serca mi wyjąłeś pragnienie, zgadłeś myśl moją — tak! Przebaczeniem ich zwyciężym.

Wojewoda rzucił się jakby mu cios zadano.

— Przeciwno kapłanowi i ojcu duchownemu —

zawołał — nie godzi mi się zdania mojego bronić. Kapłan inaczej mówić nie może, lecz na Boga, inne prawo duchowne, a rycerskie i świeckie a królewskie! Znajdujecie przykłady łaskawości, postawię wam innej surowości!

— Bracie — przerwał biskup — strzeż się abyś rozróżniając prawa w błąd nie popadł i duszy swej nie zgubił. Nie ma dwóch praw na świecie — jedno jest tylko, bo co się z Ewangelią nie zgadza, bezprawiem jest i pogaństwem.

Wojewoda skłonił głowę przed bratem, ale nie zamilkł.

— Samem to z ust twych dosłyszał mój ojcze — rzekł — iż w Piśmie świętem stoi: złe drzewo wycięte będzie i na ogień rzucone!

— Pismo mówi prawdę — odparł żywo biskup — a ty go nie rozumiesz. Nie stoi w piśmie kto drzewo ma ściąć i rzucić na ogień. Wyrok spełniającym nie człowiek jest, ale sam Bóg — on karze zło i jemu zostawmy surowość, gdy nam ułomnym przystało przebaczenie.

Mikołaj na piersi zwiesił głowę.

— Zaprawdę — rzekł kwaśno — przeciwko panu naszemu dobrze jest bunt podnosić. Uda się, to się zyszcze, nie uda, to przebaczy. Czemuż źli ludzie próbować nie mają?

Westchnął ciężko.

— I Kietlicz ujdzie z życiem?

— Kietlicz mój! — odezwał się kniaź Roman z kąta — o niego wy bądźcie spokojni, ja mu zawdzięczę jak zasłużył.

— A Bolko? — spytał Mikołaj — i ten wolnym ma być?

— Ten tembardziej na uwolnienie zasługuje, że szedł nie po woli własnej, ale za rozkazem ojca — odezwał się książę — bratankiem mi jest, krew moja. Rychlej rozbroję Mieszka gdy go puszczę, niż gdybym go dał ściąć lub trzymał w niewoli. —

Wszyscy jeńcy pójda wolni! — dodał — przebaczam wszystkim!

— I zdrajcom siedemdziesięciu co spiskowali — dodał wojewoda.

— Wszystkim! wszystkim! — począł Kaźmierz — i usiłując rozbroić gniewnego wojewodę, poszedł go uściskać.

— Mikołaju, druhu mój — zawołał — nie sprzeciwiaj się głosowi Bożemu, który słyszałeś z ust brata. Bóg dał nam szczęście — my dajmy miłosierdzie!

— Amen! — dokończył biskup.

Wojewoda potoczył wzrokiem dokoła, milczeli wszyscy, Kaźmierz na miejsce swe powracał, on wolnym krokiem izbę obrad opuścił.

Książę natychmiast przez drzwi otwarte skinął na stojącego w dali Wichfrieda.

— Bratanka mi tu prowadź! — rzekł wesoło.

Niewielka przestrzeń dzieliła dworzec od domu w którym Bolko był osadzony. Gdy Niemiec wszedł do izby, w której leżał, młodzian nie znający go, ledwie głowę doń zwrócił.

— Wstawajcie — rzekł Wichfried — pójdziecie za mną.

Jeniec opierać się nie mógł, zawahał się dumnie spoglądając, dzwigał się leniwo i niechętnie i, jak stał, w podartym kaftanie, płaszcza poszarpanego nie biorąc, posłusznie ku drzwiom się skierował.

Wichfried nie mówił nic, z twarzy też jego trudno co odgadnąć było.

Zdziwił się wychodząc Bolko, że go straż nie otoczyła — szedł wolno. Przejście przez kawał podwórca, pełnego butnych rycerzy, dla zwyciężonego było bolesnem. Szedł nie słuchając i nie patrząc.

Nie wiedząc dokąd go wiodą, domyślał się innego więzienia albo sądu. Zbroił się męstwem. Tłumi dworzec napelniał izby, Niemiec wskazał mu drzwi.

Były one wpół otwarte, rzuciwszy w nie okiem,

ujrzał więzień Kaźmierza i biskupa i radnych — spodziewał się sądu. Na próg wchodząc sposobił się stawić hardo, gdy książę z uśmiechem na ustach podszedł do niego rękę wyciągając — głos mu drżał.

— Chciałem ci sam oznajmić, że jesteś wolny — rzekł. — Wracaj do ojca twego jako świadek, że ja zemsty nie pragnę, że serce dla was mam braterskie, dla ciebie ojcowskie.

Bolko stał niemy, ledwie mogąc zrozumieć i uwierzyć temu co słyszał. Zwolna podniósł oczy zdziwione. Męstwo i duma opuściły go, z niedowierzaniem spojrzał na stryja, który obie ręce do niego wyciągnął. Widząc, że Bolko się nie rusza, przystąpił sam by go uściskać.

Młodzian nagle uczuł się rozrzuwionym, sam nie wiedział jaka siła ugięła mu kolana, ale Kaźmierz nie dał mu się schylić i pochwywszy do piersi przycisnął. W tem ujrawszy go tak pobitym i oszarpanym, zawołał na Wichfrieda.

— Miły mój, od tej chwili to gość! prowadź go do łaźni, rany niech mu zawiążą, okryjcie go jak bratankowi memu przystało, nakarmcie — niech spokojnie, a potem niech do mnie powraca!

Stał jeszcze oniemiały Bolko, gdy Niemiec łagodnie ujął go pod rękę i wyprowadził. Kazano przywołać innych jeńców, do których biskup miał przemówić surowiej, oświadczając im łaskę, a karząc i wyzywając do pokuty.

Takiego końca tej wojny, zaprawdę nikt się nie spodziewał. Zajądlność z jaką się broniono na dolnym zamku, krew, którą zdobyć jego kosztowało, każyły się obawiać surowego odwetu. Gdy biskup ogłosił przebaczenie wszystkim i oswobodzenie, po chwili osłupienia wyrwały się im okrzyki na cześć Kaźmierz. Niektórzy przybiegli do nóg jego i biskupa.

Dzień to był piękny dla księcia, którego serce otwierało się z rozkoszą miłosierdzia.

Nie wszyscy jednak wiadomość tę przyjęli rów-

nie radośnie, jak ci, których ona wyzwalała z więzów, Mikołaj i wielu z nim, szemrali chodząc chmurni, poczytywali to za błąd wielki.

Nie zbywało na zazdrośnych, gdy wieczorem Bolko za stołem był posadzony przy stryju, a Kaźmierz, o wszystkim zapomniawszy, przyjmował go jak bratanka, obdarzył go i przewidując, że ojciec o los ukochanego syna niespokojnym być musi, następnego dnia opatrzonego we wszystko wyprawił do Poznania.

Ogłoszone powszechne przebaczenie, rozeszło się zaraz po mieście. Po ulicach ze zdumieniem zaczęto opowiadać co łaskawy książę uczynił. Wieczorem już ci co byli znikli ze strachu, zjawiać się poczęli, pokazał się w domu swym Wirsz starosta. Ślubował tylko, że więcej urzędowania żadnego się nie podejmie i żyć chce Boga chwając, spokojnie.

Juchim także dowiedział się o tej łasce pańskiej, a na nim ona wrażenie uczyniła niespodziewane—korzystał i on z miłosierdzia—ale znajdował je dziwnem! Wiara jego, która głosiła zemstę, ząb za ząb, oko za oko, z powolności tej wskazywała mu słabość i ślepotę. Miał pewien rodzaj wzgardy dla ludzi, którzy siłę mając w ręku, mogą się pomścić—użyć jej nie umieli. Uśmiechał się sam do siebie, potrząsając ramionami. Doszedł w myśli do tego przekonania, że Mieszek nad ludźmi tak nierozumnymi kiedykolwiek przewagę mieć będzie. Dla niego było to wskazówką, aby na wszelki wypadek zapewnił tam sobie opiekunów. Przyszedł mu zaraz na myśl Mierzwa, uwięziony na zamku.

Zdało mu się nie złą rachubą, pomódz zapomnianemu do uwolnienia i na przyszłość mieć w nim znowu sprzymierzeńca. Przeczorny czelek myślał już o jutrze. Łagodny pan, według niego długo trwać nie mógł.

— Nie! nie! — powtarzał w duchu—oni tu panować nie będą!

Nazajutrz Juchim na zamek się udał, nie obawiając się już weale; i wyszukał Wichfrieda, któremu czasem pieniędzy pożyczął.

— Miłościwy panie—rzekł—dobrotliwy książę nasz, wszystkim przebaczył z wielkiego serca swego. Tu siedzi jeszcze biedaczysko, którego posadzono, a on nie zawinił nic, tyle tylko, że do Krakowa tęsknił, i przybył tu nie w porę. Niech go wasza miłość wypuścić każe.

Niemiec natychmiast poszedł do księcia i uzyskał bez trudności rozkaz uwolnienia.

Dodano Juchimowi komornika, z poleceniem, aby Mierzwę puszczone. Zaledwie się o niego dopytać potrafił. Mierzwa zamknięty do ciemnicy, zapomniany, już był prawie nadzieję życia i swobody utracił, choroba go złamała. Gdy Juchim do izby wszedł, znalazł go snem niezdrowym ujętego na garści słomy.

Cień to był dawnego człowieka, ale iskierka nadziei dokazała cudu. Dźwignął się, zbierając łachmany swe, całując Juchima po rękach—bo jemu przypisywał swe uwolnienie. Dopiero na powietrze wyszedłszy, osłabł znowu i żyd go musiał pod rękę do dworku swego prowadzić.

Po drodze ludzie tego Łazarza, z głową na pierśi zwisłą, wyżółkłego, zezerniałego, do trupa podobnego, ze wstrętem sobie pokazywali palcami.

Samarytanina czyn spełnił na nim Juchim, choć nie z miłością jego—ale z rachubą na przyszłość przeczorną. Mierzwa zaledwie odżywiony i wypoczęty, wnet do Poznania schronić się miał, niosąc z sobą wdzięczność dla Juchima i poprzysięgając mu wierną usługę.

Mierzwa, gdy się dowiedział o wszystkim co się tu stało, choć milczał ze strachu, nie rozpacział o przyszłości dla Mieszka. Jedna rzecz go trapiła, to los Kietlicza, bez którego książę się obejść nie mógł, a zastąpić go było trudno.

Oba z Juchimem ufali w to, że zręczny człek i z ruskiej niewoli wyrwać się albo wykupić potrafi.

W kilka dni później dopiero Stach także Mierzwę sobie przypomniał i pobiegł na zamek dowiedzieć się o niego. Tu i o uwolnieniu go i o pośrednictwie żyda mu powiedziano. Strwożyło to Stacha, który zafrasowany z żalem do biskupa się udał.

Pelka przyjął swego wiernego sługę łaskawie i z dobrą myślą. Gdy wybladły i znękany ukazał się w progu, wyciągnął rękę i błogosławił.

— A czegoż to tak zasepiony przychodzisz — odezwał się — kiedy się cieszą wszyscy ze zwycięstwa, ze spokoju i skończonych zatargów braterskich? Co ci to jest?

— Cieszyłbym się i ja — odparł Stach — tylko dla złych łaska zbytńia, to ich uzuchwali. Bóg daj, byśmy dobroci pana nie oplakiwali.

Począł zatem opowiadać, jak już ci co niedawno drżeli i truchleli, po cichu żarty stroili z miłosierdzia i lekceważyli tego co je wyświadczył. Narzekał Stach na przebaczenie staroście, Juchimowi i Mierzwie.

Biskup się uśmiechał z początku, starając zbytńie troski te Stacha okazać przesadzonemi. W końcu jednak, gdy się obszerniej przybyły wytłumaczył, zgodził się na to, iż czujność była potrzebną.

— Zatem patrz, czuwaj, nie przestawaj stać na straży — dodał biskup.

Chciał dlań jakąś nagrodę uzyskać u księcia, choćby Zaborowi z Przegaja, wyjednać ją obiecując, ale Stach odmówił.

— Ojcie mój — odezwał się — jam nagrodę wziął naprzód za cały żywot mój. Wszystkoby stracił, gdybym inną jeszcze otrzymał. Pokutą być musi życie do zgonu. Gdy mnie Bóg do siebie powoła, naówczas objawicie panu, jakem mu służył i wdzięczny był.

Postanowiono więc po krótkiej naradzie, aby Stach nie oddalając się, jak dawniej, pilne miał na

ludzi podejrzanych oko. Chciał biskup przy bracie swym Mikołaju umieścić go, lecz swobodnym być pragnąc, i tego Stach odmówił.

Wrócił do dworku niezbyt rad z tego, co się działo. Pomimo największej chęci zajęcia się czemś, śledzenia, Stach nie mógł teraz znaleźć roboty. Uciachło dokola i Mieszek nawet jawnie nie nie przedsiębrał. Siedział więc w samotnem schronieniu, za całą mając pociechę, że częściej niż dawniej do kościoła chadzał, a dłużej się mógł modlić. Wiek czyścił go pobożniejszym coraz i surowszym dla siebie. Nie zostawało mu już w życiu nic, tylko się dowleć do tego proga, od którego zdało mu się, że nie jest już dalekim.

Niekiedy rozmyślał o Jagnie, która rzadko znak życia dawała. Był czas, iż mu się marzyło, że Kazmierz opuścić ją może, a on opiekować się nią będzie. Nadzieja ta teraz coraz słabszą była.

We dworku nudy były nieznośne, na łowy, choć się kiedy wybrał — i one mu już nie smakowały. Z dawnymi towarzyszami gdy się spotykał, a ci go gwałtem wciągnęli do gospody w gościnę, wśród wesółych ludzi, siedział jak trup niemy, psując im ich wesele. Do niczego nie miał serca, tyle pociechy co w kościele, lub na rozmowie z księdzem o rzeczach, które nie są świata tego.

Do Konar, za któremi tęsknił bywało, teraz mu się trudno wybrać było. Zamyślał czasem jechać, zbierał się, od dnia do dnia odkładał, zawsze coś przeszkodziło. Wolał się włóczyć około zamku, po kościołach i życie prowadzić zadumane a próżniacze. Dawnych znajomości unikał jak mógł, jeden tylko Jaśko Bogorja często doń się wciskał. Ten jak niegdyś był lekkim i wesółym, tak pozostał nim, choć trochę postarzał i ocieżał. Dokazywał jeszcze na łowach lub w mieście i po dworach z takimi jak sam był.

Rodzina go dawno żenić chciała, swatano nie

jedną, zawsze albo ona jemu, lub on rodzicom się nie podobał! Już wreszcie sam chciałby się być zaswatać, widząc że na starość dzban i koń mu nie starczą.

Jednego dnia Stach leżał, patrząc na pułap, jak mu się to często zdarzało gdy spoczywał, aż usłyszał znany głos Jaśka.

Wpadł doń Bogorja podśpiewując podehmielony.

— Ej! ej!—krzyknął—co bo się z tobą dzieje, pustelniku tu mój zasepiony, a toż cię tu nędza zagryzie! Wstawaj, a chodź!

— Dokąd?

— A no, choćby się przewietrzyć.

Bogorja trochę się zawahał z wyznaniem i uśmiechnął.

— Prawdę powiem!—dodał.—Potrzeba mi na jedną wyprawę towarzysza wiernego. Nie mam, ino ciebie. Idę w takie miejsce, gdzie mi samemu nie rażno być. Chodź ze mną!

— Do kogo?

— El do baby wróżbiarki.

— Po co?

— Chciałbym wiedzieć, czy się ja raz przecie ożenię, czy nie? Baba słyszę wróży, jak nie można lepiej, ale sam do niej iść—ot, boję się!

Stach się powoli zwłóknął.

— Cóż ci po wróżbach?—rzekł.

Wyszli jednak razem. Jaśko przez ogrody zaprowadził do chaty, w której Czechna mieszkała.

Weszli do izby, w której ziola schły i garnki stały pełne zapachów odurzających. Ledwie się tu znaleźli, gdy z drugich drzwi wyjrzała stara, bystro ich mierząc oczyma.

Zwróciła się zaraz do Bogoryi.

— Czy to ja wam potrzebuję mówić po co przychodzę?—odezwał się Jaśko.

— Po co głębiej studiować?—odparła baba, za stół siadając.—Taki jak ty nie przyjdzie pytać o co innego, tylko o podwikę.

Rozśmiała się, żółtych parę ukazując zębów. Popatrzała trochę na Stacha i palce skierowała ku niemu.

— Ot ten, po co się tu przywłóknął, nie wiem, bo już mu nie nie pachnie.

— Ja też i wachać tu nie myślę!—odparł Stach szorstko.

— A no, bał się sam do baby iść—przerwała—żeby go nie uczarowała dla siebie, a ludzie się zeń potem nie śmieli, iż się w starej miotle rozmiłował.

— Ej, wy! ej, wy wszyscy!—dodała, grożąc Bogoryi.

— No, wróćcie!—przerwał, obu rękami na stole się opierając Jaśko—będzie li co z tego co ja sobie myślę?

Czechna głową pokręciła.

— Trzeba zobaczyć...—bąknęła.

Bogorja położył garstkę srebrników na stole, które stara pilno naprzód do fartucha zagarnęła. Wstała, poszła do kąta, dobyła z niego garnek szeroki a płaski, nalała wody coś mrużąc, z drugiego naczynia coś dodała i postawiła na stole. Bogorja i Stach patrzyli milezający.

Z komina, w którym pod popiołem stały węgle czerwone, dobyła ich kilka na skorupę, nasypała na nie proszku, dym dyszący rozszedł się po izbie—Stach do okna ustąpił.

Bogorja musiał iść i dać się okadzać. Postawiła garnek z wodą przed nim i kazała mu weń pać pilno, nie odwracając oczu. Jaśko, rycerz nieustraszonego, drżał zapatrując się na wodę, w głowie mu się zawracało.

Twarz jego bladła, nie mówił co widział, stał tak osłupiały długo, pot mu z czoła kroplami ściekał. Nagle zakrzyknął, dziko klnąc i odskoczył.

Padł na stół stojący blisko, gdy Stach mu w pomoc nadbiegł. Czechna szybko garnek zabrała i wodę z niego wylawszy, siadła spokojnie. Spoglą-

dała na Bogorję, który oczy w ziemię utopił i jeszcze do siebie przyjść nie mógł.

Stach ostro mierząc wzrokiem starą, naglił, aby odchodził.

— Idźmy bo ztąd—mówił.

Jaśko wstać jeszcze nie mógł. Gospodyni zwróciła się do Stacha, jakby zemścić chciała za lekceważenie.

— No, a tobieby nie powróży?

— Nie ciekawym.

— Niewierny!

— Wiedzieć nie chcę, co Bóg gotuje! — rzekł Stach.

— A juściby ci się zdało—poczęła baba.—Dajno mi rękę, powróżę darmo.

Stach się wahał, gdy go prawie gwałtem chwyciła za prawą rękę, poczęła się w nią wpatrywać pilno, długo i oczy z szyderskim uśmiechem podniosła na niego.

— Ho ho! — poczęła — a toć ręką a toć dłoń, co raz przylgnęła do twarzy.

Nim stara czas miała dokończyć, Stach spojrział na nią tak groźnie, że zmieszana puściła rękę i mruczając cofnęła się.

Nie do jednej ona twarzy na wojnie przylgnęła—podechwycił żywo Stach.—Co było, o tem niema co mówić; macie wróżyć, to wróźcie!

Czechna zatopiła w nim oczy ciekawe i poczęła cicho:

— Nie ma tam już nic... at!... niedola... niewola!

— A życia tego dużo jeszcze?

Stara pokiwała głową.

— Jak dla was, aż nadto! — rzekła. — Albo to tam wasze życie? Wyście pono w ciężkiej służbie. Ono wam już na nic, łupina od orzecha, który robak zjadł.

— Dosyć!—przerwał Stach zdumiony.

Ustępował już, gdy na myśl mu przyszedł książę, zwrócił się do starej, dobywszy pieniążków.

— Jeśli wszystko wiecie—rzekł—powiedzcie, co czeka tego, którego ja miłuję?

Czechna spuściwszy oczy, zadumała się.

— Jego — rzekła — czeka to, co wszystkich ludzi.

Potrząsała głową i zaśpiewała półgłosem:

— „Kto co lubi, to go zgubi!”

Zamilkła i odwróciła się od niego. Tymczasem wyszedł był ze swego osłupienia Bogorja, nie spojrzawszy na starą, wyciągnął Stacha ze dworku.

Śmiech się dał słyszeć za niemi.

VIII.

Kilka lat upłynęło od opisanych wypadków.

Kraków cały wybiegł na spotkanie zwyciężonego pana, który z wyprawy przeciw pogańskiej Jaćwie powracał.

Wojna to była, przypominająca czasy bohater-skie Krzywousty, walka z dziczą, w kraju niedostępnym, ze zdradą na każdym kroku. Dziś poddawał się Drohiczyn, jutro ci co wierność poprzysięgli zasadzali się na wracających spokojnie, aby ich wybić w lasach i moczarach.

Każmierzowe wojsko wśród błot, topielisk i gąszczy zgniotło dziec i rozpędziło.

Witano Kaźmierza zwycięzcę.

Nie nie zdawało mu się braknąć do szczęścia; nikt nie śmiał się porywać na niego, rodzina siedziała cicho na udziałach, Mieszek nawet dochowywał danego słowa, pokój panował w kraju i na rubieżach.

Kupcy ciągnęli z ziem dalekich, łany złociły się zbożem, kmieć oddychał, chwała Boża rosła, wznosiły się kościoły, uczeni mężowie przychodzili z zagranicy i rodzili się w domu. A na obliczu tego szczęśliwego pana poza łagodnym uśmiechem, widać było wiekuisty ów smutek dusz wybranych, których ten świat nakarmić, ani napoić nie może, a żadne szczęście nasycić.

Tęsknota zawsze biła z twarzy pięknej, spokojnej, malującej ukojony ból wewnętrzny.

Gdy przeciwko zwyciężkiemu panu wyszło duchowieństwo z biskupem na czele, witając go pieśnią dziękczynną, Pelka spojrział nań, spodziewając ujrzeć rozpromienionym, a znalazł na obliczu to co wyniósł z Krakowa. Rycerstwo śpiewało pieśni, powiewało chorągiewkami, niewiasty stojąc szeregami klaskały w dłonie, dzwony biły, lud się weselił. Kaźmierz jechał w płaszczu białym z krzyżem, który wziął na pogan, — z głową spuszczoną, uśmiechając się ledwie tym co go witali, zadumany, chmurny, jakby nie ze zwycięstwem powracał.

Na zamku czekała z dziećmi księżna, złotowłosego Leszka trzymając za rękę, cały dwór świetnie przybraany, komornicy, czeladź, lud mnogi.

Oko pańskie błędziło po okolicy i ukradkiem biegło za Wisłę do okienka, chcąc dojrzeć, czy tam jest znak życia jaki? Nie widać było nic. Okno stało zamknięte, kraśny kobierzec nie zwieszał się na murze. I tam przecież dochodziły dzwonów dźwięki i ztamtąd widać być musiało na zamku powiewające proporce.

W kościele św. Wacława hymn sam Pelka odśpiewał, książę pomodlił się u relikwii i wstał, z dziećmi i żoną pieszo idąc do zamku.

Ale siedzi milezący i uśmiechnięty tak smutnie, że ludzie go sobie pokazując, szeptali, iż go tak poleska dziec zmęczyła wyprawą.

Rycerstwo rozkładało się obozem, szło w miasto rozpowiadać o Jaćwie dzikiej, która w powrocie

omało nie wzięła im życia... Nie jeden płacz rozległ się wśród okrzyków, bo nie jedna mogiła została w lasach Polesia.

Stach, który przesiedział ten czas w Krakowie, na posługach biskupa, wywłókł się także na spotkanie znajomych, na rozpytanie o krwawą wyprawę. Tuż nadarzył mu się Jaśko Bogorja z ręką zawiązaną, ale dobrej myśli i wesół, że unióśł życie.

— Patrzajże, Zaborze — zawołał zdala do niego — nie będę mógł ręki podać do ołtarza narzeczonej, poganin mi ją siekierą ciał tak, że się dotąd zrosnąć nie może. Prawda, że on już więcej na tym świecie siekiery nie dźwigniel

Stach witał go trochę poweselawszy.

— Bóg łaskaw, że i tak nam wracacie!

— Cud prawdziwy! — mówił Jasko. — Pogańska dziec już się nam w Drohiczynie poddała i do nóg padała. Poili i karmili, przysięgali swym obyczajem posłuszeństwo i wiarę, dali zakładników, a w powrocie gotowali nam zasadzkę. Wystali ludzi w gęstwinie i błota, pozarębywali drogi, mieli nas zgnieść do jednego. Spotkać nas miał los Henryka!

Aleśmy się bili! Trzeba było widzieć naszego księcia, jak dzielnie mieczem wywijał. Ludzie nań prawią, że tylko przy organie śpiewać i z księżmi rozprawiać umie — a to człek do wszystkiego, prawa Krzywona krew...

Stach uśmiechnął się smutnie.

W tej chwili wśród tłumu, który wysypał się na spotkanie księcia, zobaczył Dorotę strojną wybiloną, która, ażeby przejeżdżający pan widzieć ją musiał, na wozie umyślnie sprowadzonym i wysoko wysłanym stała, górując nad wszystkimi, uśmiechając się, chustą powiewając i obwołując Kaźmierza.

Książę też, gdy nad drogą, którą przejeżdżał, miejsce obrała, widzieć ją musiał, litość go wzięła i uśmiechnął się jej, głową skinąwszy.

Z radości zarumieniła się cała, zapomniała, że

Stach z Konar. T. IV.

na nią tyle oczu patrzyło, podwajając wołanie i wiewanie chustą, aż ludzie się jej dziwili i naśmiewali. Prawda, że wśród rycerstwa wielu innych miała do brze znajomych i przyjaciół, którzy też ku niej głosami ukłony stali i od ust posyłali pozdrowienia.

Była bo znowu piękna, kwitła drugą młodością urodziwa niewiasta, a śladu lat i tego co przeżyła nie było na niej dopatrzeć.

Gdy wojska przeciągnęły, a wóz z nią potoczył się do dworu, na drodze jeszcze miała niespodziankę Dorota. Bracia jej, Dobrogost i Sędziwój, którzy dla okazania księciu posłuszeństwa, na wyprawę przeciw Jaćwie z nim ciągnęli, w ulicy się z siostrą spotkali. Wymijając wóz jej musieli. Oba przejechali koło niego ledwie się obejrawszy, plując z pogardą za nią. Sto oczów na to patrzyło. Dorota spłonęła i nie rzekła nic. Gdyby nie ten dzień, nie miasto, kto wie na coby się bracia z Tęczyna ważyli. Lecz ludzi było za dużo, którzyby za nią ująć się mogli.

Bogorja pociągnął za wdowę z innemi. Stach którego chciał wieść z sobą, oparł się; widok bezwstydnego zburzył go i napelnił obawą o Kaźmierza, tembardziej, że z Jagną źle się działo.

Gdy książę do Drobieczyna szedł, biedna Ścioborzanka niezdrowa już była, niepokój dręczył ją jakiś straszny. Kilka razy Kaźmierza powoływała do siebie na pożegnanie, we łzach się rozpluwając, choć przyczyny ich nie wiedziała sama. Próżno książę starał się ją uspokoić, weselością swą rozpraszając jej smutek, który mu się dziwactwem zdawał. Jagna stała, płakała, trzymała się za serce, patrzyła w ziemię, jakieś przeczucie ją dręczyło!

Po wyjeździe księcia, gdy z murowanki już ani proporcezka widać nie było, wszystko uciekło i zamilkło, Jagna okno zamknęła, włosy jak do snu związała, zdjęła suknie i pierścienie, poczuła się senną, słabą, biedną—i legła na łożo.

Spała tak jęcząc przez sen dzień cały, nie chcąc

jeść, do sług nie mówiąc. Gdy na obudzoną spojrzęły jej dziewczki, zdała się im jakby z długiej choroby powstającą, tak była wyniszczona i wybladła.

Starsza ochmistrzyni zaczęła ją poić zielem jakimś, którego ona pić nie chciała, leżała pół senna, z rękami pod głową, z oczyma ku górze zwróconemi, nie mówiąc nic. Czasem łkanie z piersi się dobyło i łzy widzieli tryskające z oczów, płynące po twarzy, ale się na nie nie skarżyła.

Dnie tak upływały, Jagna wstawać nie chciała czy nie mogła.

Co się jej tam przez te czasy prześniło, co przez myśli przesunęło, ona tylko wiedziała jedna; gdy dziewczęta przechodziły z pytaniami, zdawała się ich nie słyszeć.

Kaźmierz był już dawno na wyprawie, gdy Jagna coraz słabnąć gorzej, a czując w sobie ledwie resztkę życia, Stacha kazała wołać do siebie.

Przybiegł natychmiast, lecz gdy ją po długiem niewidzeniu zobaczył teraz, przeraził się, tak strasznie nagle znalazł zmienioną. Wychudła była jak kościotrup; policzki i oczy zapadły, czoło się zmarszczyło...

— Patrz, co się to ze mną stało! — poczęła z uśmiechem bolesnym, wyciągając ku niemu ręce chude i drżące.—Niema już Jagny i nie będzie! Kwitła, śmiała się i przekwitła i wysmiała ostatek... Czas było! Dłużej nie miałaby żyć po co!

— Cóż się wam stało? — spytał Stach.

— Nic... ot, tak... siły do szczęścia brakło, bo i na to sił potrzeba. Alboż zdrowe życie takie?... Czekać dzień, a mieć godzinę, płakać rok, a śmiać się chwilę.

I usiadła na łożu, okrywając się włosami rozpuszczonemi, piękne oczy swe świecące obracając na Stacha, który stał z rękami załamanemi przed nią.

— Wołać ciebie kazałam—mówiła dysząc zmęczona—boś ty mi przecie bratem, jednym w świecie. Mojego pana, sokoła mego nie chcę już męczyć dłużej,

już miał ze mną dość tej niewoli. Księża go męczyli, że żonę porzucił dla mnie, Petka mu groził ciągle. Synaczka stracił i męczył się tem, jak karą Bożą — za mnie. Wszystko dla mnie cierpiał, przeczennie. Więc mnie już czas było! To i pójdę. Ciebie chciałam pożegnać, no, i coś zrobić trzeba, aby mienia ojcowskiego obcy ludzie nie zabrali. Sprowadzicie mi takiego, co pisać umie, zapiszę moją wolę i zapieczętuje... Was opowiem za męża. Seiborzyce wam zostawię, wieś jedną dam za grzechy mnichom do klasztoru, do Pokrzywnicy, aby się modlili za mnie...

Zamilkła.

— Przecież z wami nie tak źle — odezwał się Stach — ludzie ludziom radzą. Są lekarki i lekarze, wyście młodzi.

— Nie, nie! stara jestem — przerwała, patrząc na ręce wyschłe — po co życie wlec? nosić jak łachmany dziurawe?... Na mnie już całego nie ma nic, ani nitki! Bóg miłosierny, tam gdzieś, pewnie lepiej będzie!

Uśmiechnęła się.

— Co taka jak ja niewiasta warta? — mówiła spokojnie — niewiasta, której Bóg nie dał dziecka? a sromać się kazał, oczów pokazać nie może? Trudno żyć? Gdzie? Bez niego? Nie! nie! A z nim, to jemu życie truć! Nie godzi się, nie godzi! Lekarz i lekarka nie pomogą, gdy człowiek chce umierać! Tylko mi takiego dobrego sprowadź księdza, aby mi się sromać nie kazał i dyabłu mnie nie dawał... Dam im wioskę do klasztoru... Reszta wasza!

— A mnie to na co? — zapytał Stach.

— O! na co? Wezmiesz sobie babę i będziecie żyć spokojnie, jak drudzy... Na zdrowie wam!

Stach głową trząsł.

— Albo to wy mnie nie znacie? — rzekł. — Ja też żyję z powinności, nie z ochoty. Mnie na co wioski? Baby żadnej nie wezmę i ziemi nie potrzebuje. Wioski rozdacie na kościoły.

Jagna się sprzeciwiała.

— A no, nie! Wy je sobie dacie komu chcecie. Wam je przekażę, bo się za to choć mężem moim nazwiecie, choć nie byliście.

— Boś nie chciała. — dodał Stach.

— Bom nie mogła — zawołała Jagna. — Dwóch mężów się mieć nie godzi, tamtego się rzec dla was nie mogłam... Gdy się go wyrzeknę, to chyba dla niego samego, aby spokojny był, do murowanki nie jeździł, a biskup się na niego nie gniewał.

Stach starał się te myśli rozpędzić, obiecując bliski powrót Kaźmierza, z którym zdrowie wrócić miało.

— Wróci? nie? ja tam nie wiem — rzekła. — Już choćby on wrócił, mnie trzeba umierać... Tak się stało tak być musiało!

Milczała chwilę i spuściwszy oczy, jakby zawstydzona, palcem kręcąc we włosach, szepnęła:

— Jam się czegoś napiła! Stara Czechna mi dała na powolną śmierć, bom tak chciała.

Stach krzyknął posłyszawszy, uśmiechnęła się.

— Nie bolało! — rzekła — anim czuła! Tylko mnie wypaliło, wysuszyło, wyjadło... Przyprowadź księdza, a nie z dyablami, takiego co anioly z sobą wodzi.

Nie mógł się jej Stach dłużej opierać, musiał być posłusznym. Z płaczem niemal odjechał do miasta, a że przy biskupie wielu miał znajomych księży, jednego z nich powiózł do niej.

Jagna się gości spodziewając, sługom kazała przyodziać się pięknie, choć suknie dawne wisiały na niej, jak cudze, bo z niej kości tylko i skóra zostały. Śliczne włosy bujne nawpół okrywały wychudłą twarzyczkę, w której oczy jasne świeciły blaskiem przedśmiertnym, ale usta miała spalone i sine, a ręce jak z białej kości... Stać nie mogła, chodzić nie mogła, więc ją posadzili na stołku, podparłszy poduszkami, i tak sparta o stół — czekała.

Z okna znowu patrzyła na zamek pusty i pła-
kała...

Ksiądz Wit, człek dobry, powolny, nawykły
w tym kraju przebaczać wiele (tym, co nie wiedzieli
co czynili), przybył pocieszać, nie zasmucać. Ja-
gna mu w krótkich powiedziała słowach, że Stach
mężem jej miał być, więc go za męża liczy, a choćby
nie chciał ich pobłogosławić—byle jej go mężem za-
pisał, bo mu mienie po sobie chce zostawić. Do-
dała, że wieś do Pokrzywnicy zapisze do klaszto-
ru, kilką kop groszy do kościoła św. Floryana,
przy którym ks. Wit zostawał. Wszystko to spisać
prosiła.

Ostatnią tę wolę opowiedziała spokojnie, przy-
tomnie, stanowczo, prosząc, aby ks. Wit poczesnych
do listu znalazł świadków i spisał go tak, by pod
kłatwą, nikt nie śmiał naruszyć.

Ks. Wit sądząc, że pocieszać był winien, ode-
zwał się, iż przecie żyć może.

— A choćbym i pożyła, mój ojeze, możecie spi-
sać, toć nie grzech, woli nie zmienię.

Wręczyła mu jeszcze ofiarę dla niego i kościoła
i rzecz była skończona. Wielkich naówczas formal-
ności nie wymagano. a gdy duchowny spisał i świad-
ków postawił i pieczęć przyłożono—starczyło tego.

Ks. Wita odesłano do miasta, Stach pozostał,
nie miała już siły do rozmowy, słabym głosem pro-
siła go tylko, by się dowiadywał do niej póki żyła.

Stało się wszystko po jej woli.

Po tym dniu nie zasłabła gorzej, owszem uspo-
koila się i położywszy, leżała pół senna, jak wprzód,
polewki trochę żyjąc lub chleba kruszyną.

Gdy Stach do niej przybywał, zwracała się do
niego zawsze z jednym pytaniem:

— Niema pana?

O panu przychodziły wieści. Stach rozpowia-
dał: jak wojował zwycięsko, jak nieprzyjaciół krzyża
pokonał, zdradę ich zwalczył i że już na drodze był

do Krakowa.. Droga z powrotem ciężka była i długa,
a Jagna codzień pytała:

— Nie ma pana?

Nareszcie jednego dnia Stach nie przybył o zwy-
kłej godzinie, dzwony się odezwały inaczej, weselej,
wszystkie razem, okrzyki z miasta aż tu dochodziły;
chora zrozumiała, że pan powraca, zarumieniły się
zapadłe policzki, usta zadrgały, oczy skierowały ku
oknu chciwie, ale aui go otwierać, aui kobierca wy-
wieszać nie pozwoliła. Popatrzała na Wawel, gdzie las
proporczyków widać było, jak się zwijały, a nad niemi
macierz wielka, chorągiew czerwona.

Tam on był. Patrzyła, patrzyła i zesłabłszy, do
łóżka się położyć kazała.

Aż do mroku marzyła spokojnie; gdy wieczór
zbliżać się zaczął, Jagna się ubierać kazała. Wdźniała
najpiękniejszą sukienkę, utrefiła włosy, posadziła ją
na stołku znowu. Co zatętniało w podwórze, pod-
nosiła ku drzwiom oczy.—Pana nie było!

Noc zapadła—Pan przybyć nie mógł!

Co za dziw? Otoczyli go tam swoi, rodzina,
duchowni, ziemianie, starszyzna—mógłże ich wszyst-
kich dla niej porzucić?

Już księżyc w ostatniej ćwierci wszedł późno
na niebo, gdy zaskrzypiały wrota. Jagna siedząc
drzemiała, poruszyła się, chciała wstać—nie mogła,
padła na stół, zakrywając twarz rękami.

Kaźmierz wszedł powoli — ujrzawszy ją przy
świecie lampki, osłupiał. Ręce wyciągała ku niemu...
Krzyknął boleśnie.

— Jagno! co się tobie stało?

Witała go uśmiechem.

— Nie, nie, sokołe mój złoty! ot, tak, zajadła
tęsknota! ot, tak, życia zabrakło... bo ciebie nie było.
Ale się doczekała! nie trzeba mi już nic!

Kaźmierz patrzył, sługi obwiniając, chcąc ślać
po lekarzy, szukać ratunku, wstrzymać go łagodnie.

— Siądź przy mnie, erle mój biały, panie mój

drogi! siadł a jeżeli ci twarz moja straszna, nie patrz na nią, jeżeli głos niemily, nie słuchaj, a mnie patrzeć daj na siebie i słuchać.

Kaźmierz napróżno chciał dopytać, co się tu przydarzyć mogło, zkąd choroba powstała, nie przyznała mu się do niczego.

— Przyszło? z powietrza? z niczego? Nie bolało, senne było... smutno! Przeciem pana doczekała, czegoś więcej pragnąć?

Kaźmierz miał lekarza Benedyktyna w Tyńcu, rodem z okolic Salerno, który i w Montpellier leczyć się uczył, chciał go jej przysłać, zakłęta, aby tego nie czynił.

— Choroba teraz minie sama!

Smutkiem tym struty, Kaźmierz na zamek wrócił z nim. Przed nikim nawet poskarżyć się nie mógł. Nazajutrz do swoich wyszedł wyblady, milczący; Wichfried poznał z twarzy, że coś złego stać się musiało.

Odważył się zapytać — Kaźmierz przed nim nie przyznał się do niczego. Na duszy mu było ciężko, na piersi leżał kamień, chodził zadumany, nie słysząc co mówią do niego. Stawał i patrzył w okno ku murowance, stał tak wkuty, nie wiedząc co się w okolo działo.

A Jagna — odżyła nieco, obudziło się w niej życia pragnienie. Nazajutrz poruszać się mogła, kazała się w oknie posadzić i kobierczyk wywiesić znowu... Próbowwała do krosien, ale siedzieć nie mogła, ręce opadały znużone. Patrzyła na nie i sama z siebie się śmiała...

Wieczorem Kaźmierz przybył znowu. Następných dni przybiegał na krótko. Jagna żyła, bo żyć zapragnęła.

Walczyła z tem, co ją do grobu ciągnęło. Stach, który przychodził zrana oszukiwał się i pocieszał, widział, że jej lepiej było, że na ustach uśmiech się zjawiał — mówił, że będzie żyła.

I tak się ciągnęło dalej. Dnia jednego Jagna po starą Czechną tajemnie posłała. Lekarka, która jej na śmierć powolną ziele dała, zdziwiła się usłyszawszy od slugi, że jeszcze żyje. Pokiwała głową, ruszyła ramionami, zamruczała coś do siebie.

Tegoż dnia pod wieczór przyszła do murowanki. Patrzyła na wychudłą, wyschłą ofiarę swą z trwogą zabobonna.

— Widzicie — rzekła Jagna — ot, ciągnę! Jużby to się było skończyło, gdy przybył ten co życie moje w swojej dłoni trzyma, umierać nie puszcza. Ja jeszcze żyć będę!

Czechna nie odpowiadała, zdumienie zamykało jej usta.

— Widzisz stara — mówiła Jagna — ziele zabija, a kochanie żywi, co tamto uśmierci, to wskrzesi... i — życie się trzyma!

Spytała stara, czego by chciała od niej.

— Nie, tylko cię spytać, czy tak długo ciągnąć się może?

— Czy ja wiem? — odparła schrypłym głosem lekarka. — Dawno się powinno było skończyć; jak się nie skończyło, wina nie moja, i rozum mój nie starczy... Ktoś tu lepiej odemnie czarował!

— Kto? On! — rozśmiała się Jagna. — Nie mogę bo umrzeć, trzyma mnie, a dopóki on będzie miłować, ja schnąć będę, kochać muszę i żyć muszę!

Uśmiechnęła się do starej, pierścień jej rzucając na podolek.

— Weź to — rzekła — już mi cię nie trzeba. Stanie się, co Bóg da!

Czechna jak pijana do domu wróciła, nie mieściło się jej w głowie, aby po jej ziele tak długo żyć można; silniejszych ono w kilka, kilkanaście dni ze świata brało.

Nie długo jednak troskała się tem stara, wiele zawsze mając na głowie. Czasu jej marnie trawić nie dawały, szczególnie panie mieszczy krakowskie,

które zawsze od niej tysiąca różnych rzeczy potrzebowały.

Po przybyciu Kaźmierza do Krakowa, upłynęła jesień cała i zima. Jagna ciągle słaba, umrzeć nie mogła. Księżę dręczył się tem widowiskiem, a odebrać od niego nie mógł. Stach także przybywał do niej często i nawykł był już tak patrzeć na swą chorą, iż uwierzył, że życie jej powrócić może.

Miało się już ku wiosnie znowu, gdy jednego rana, do biskupa idąc, u którego codzień się stawiać musiał, Stach w ulicy spotkał człowieka opończą osłoniętego, okrytego kapturem, choć dzień bardzo chłodny nie był, przekradającego się pośpiesznie pod płotami i oglądającego bojaźliwie.

Zdało mu się, że na widok jego, nieznajomy przechodzień przyspieszwszy kroku, rzucił się na boczną ścieżynę i znikł pomiędzy domami, jakby od niego uciekał. Chociaż nie widział jego twarzy, postawa i chód mocno go uderzyły. W tym nieznanym człeku coś mu przypominało Kietlicza.

Też same miał ruchy, kark gruby, głowę dużą, wzrost do niego podobny. Na samą myśl tę, że nie godziwy człek musiał się wyrwać z niewoli na Rusi i zbiedz tu dla jakiegoś nowego knowania, krew w nim zawrzała. Poskoczył za nim co siły.

Biegł nie mogąc go dognać, to z oczów tracąc, to biorąc na oko, a choć w ostatku znikł mu znowu, prawie był pewien, że się schronił do dworku Juchima. To mu więcej jeszcze do myślenia dało.

Juchim był zawsze menniczym, działa mu się dobrze, udawał wielką miłość dla pana, pod niebiosą go wynosił, a mimo to, pewnem było, iż z Poznaniem miał stosunki. Sam on nie krył się z tem, że bił pieniądze i dla Mieszka.

Podejrzanie to powziawszy, Stach natychmiast do drzwi zastukał, choć od powrotu Kaźmierza, noga tu jego nie postąpiła. Otworzono mu czekać nie dając, a gdy pośpiesznym krokiem dobiegł do izby gościnnej,

zastał w niej Juchima nad zwitkiem pergaminowym siedzącego spokojnie.

Na widok jego, żyd powstał z twarzą rozradowaną, najmniejszej nie okazawszy obawy. Stach nie chcąc mu się zwierzać z podejrzeń, udał, iż szło o małą pieniężną pożyczkę.

Juchim oświadczył się z gotowością największą usłużenia bez zastawu nawet i był tak uprzejmym, jakby w istocie Stacha kochał i szanował. Zmusiwszy go napić się grzanego wina, po rozmowie przecigniętej dość długo, odprowadził go aż do wrót.

Poszlaku człeka w kapturze żadnego tu nie było; Juchim jednak nadto mu się wydał swobodnym, zbyt wesółym i uprzejmym, aby się z czemś ukrywać nie potrzebował.

Stach wyszedł czując to.

Natychmiast wróciwszy do domu, z Żegciem umówił się o pilny nadzór nad dworkiem Juchima.

Przez cały dzień zwykle tłumy różnych ludzi uczęszczwały do bogatego żyda, urzędnicy dworu, ziemianie, rycerstwo, duchowni nawet, bo Juchim pieniądze pożyczał, mieniał, przesyłał, kupował kruszce, dostarczał ich...

Dozór nad dworkiem potrzebował bystrego oka, by w ciżbie tej rozpoznać podejrzanego człowieka.

Stach sam naglądał zdaleka, nie ukazując się. Nie udało mu się dopatrzeć zakapturzonego człowieka, ale Żegcieć mówił, iż go widział i w ślad chodził za nim niepostrzeżony. To co opowiadał zwiększało podejrzenie, iż w kapturze Kietlicz się mógł ukrywać. Żegcieć szedł za nim do dworku starosty Warsza, a potem do Czechny, którą znali wszyscy jako lekarkę i wróżbiarkę.

Drugiego dnia Stach sam zdała stanął na czatach. Kaptur, obejrzawszy się dokoła, wysunął się z dworku Juchima i wolnym krokiem, pod ścianami się tuląc, przez mniej uczęszczane zaułki, przekradł się do domu Czechny. Stach zdała go śledził, nie plosząc. Świadkiem

był, gdy po naradzie Czechna go na próg wyprowadzała. Twarzy i teraz dojrzeć nie mógł, ale głos słumiony dźwięczał mu jakby Kietliczowy.

Słyszał, gdy stara mówiła mu:

— Przyjdźcie jutro... dziś u mnie bab pełno w sieni, mówić o tem nie pora. Święto u nas, będę sama...

Długie życie na czatach spędzone, uczyniło Stacha wprawnym i przebiegłym, potrzebował koniecznie człowieka widzieć, podsłuchać rozmowę i zaraz o tem myśleć począł.

W izbie, w której stara przyjmowała, był z Bogorja, znał ją, potrzebował skryć się gdzieś tak w pobliżu by mógł jutrzejszą schwycić rozmowę. Począł błądzić około dworku, czatując, czy stara nie wyjdzie na miasto, aby się dostać do wnętrza.

Nad wieczór Czechna wyszła na nieszpór przedświątyni, i drzwi zaparła. Została sługa jedna, która po ziele na ogród wybiegłszy, za sobą dworku nie zamknęła. Skoczył Stach do sieni żywo i po drabinie na wyżki puste. Tu musiał noc przesiedzieć całą, czasu do powrotu starej z nieszpóru używszy na przeszkrobanie w pułapie otworu do izby, przez któryby coś widzieć i lepiej mógł słyszeć.

Nie rychło powróciła lekarka i nie sama. Przywiodła z sobą mieszczanina jakiegoś, za którego się podobno wydać myślała, pomimo, że zębów nie miała. Był świadkiem Stach, jak go poila i namawiała prawiąc o swych dostatkach i o szczęśliwym życiu, jakie mógł z nią pędzić.

Zapalono drzazgę. Czechna postrzegła na stole glinę, która się z pułapu posypała, gdy Stach otworzył sobie wierec. Zobaczywszy to, stara, oczy zwróciła w górę, głową potrząsała i zaczęła szczyry przeklinać. Szczęściem, że się to na nie złożyć mogło. Stach jako tako umieścił się na strychu, choć na nim wiązki słomy nawet nie było. Nawykły spać na ławie, na dyłach się położył, słuchając do późna jak mieszczanin

miód popijając o przyszłości ze starą rozprawiał. Nastąpiła cisza głucha i noc nie przespana.

Gdy dzień się robić zaczął, niecierpliwy Stach oka już nie zmrzył. Dokuczył mu trochę głód, a więcej niepokój. Nie rychło dały się słyszeć kroki i Stach oko przyłożywszy do otworu zobaczył wchodzącego w kapturze; nie oprócz kaptura dojrzeć nie mogąc, i ramion szerokich.

Rozmowę słyhać było wyraźnie, głos zdał mu się Kietliczowy, ale zniżony, cichy i jakby umyślnie zmieniony.

— No, starucho — rzekł — nie drożże ty mi się, nie dasz ty, znajdzie się druga.

— Mów dla kogo tego chcesz? — spytała Czechna.

— Co ja ci mam się spowiadać dla kogo — odpowiedział mężczyzna — to moja rzecz — na moje sumienie biorę, nikomu nie do tego.

— Nie powiesz to nie dam — odezwiała się Czechna — szukaj drugiej.

Nastało milczenie.

— Ty się żony chcesz zbyć? — spytała.

— Nie — mówił mężczyzna.

— Brata?

— Nie.

— Wroga?

— A no — wyrwało się zapytanemu — wroga takiego co nie jednemu mnie a tysiącom już dojadł i dokuczył, i należy mu śmierć.

— Mów jaki? Kto? co? — poczęła stara. — Muszę wiedzieć. Nie głupiam! Gdy możnego człeka zgładzicie, powloką was, wydacie mnie, kołem będą tłukli, albo kołmi szarpali.

— A jaż to mam być głupszy od ciebie i dawać tak, aby mnie za rękę chwycili — rzekł mężczyzna. — Czy mnie się chce też być szarpanym i bitym? Będę wiedział jak i przez kogo dawać?

— Komu? komu? — pytała Czechna uparcie.

Mężczyzna się uniósł.

— Al ty wiedzmo stara — krzyknął — dawaj albo nie, a wnętrzności ze mnie nie ciągnij! Nie twoja to rzecz. Mów co zapłacić, a powinno być takie by jak piorun ubiło — rozumiesz?

— I takie u mnie jest — odparła Czechna — co gdybym ci tylko powachać dała przewróciłbyś się i nie wstał, i takie co kropła konia ubije.

— Takiego mi potrzeba — odparł kapturowy — dawaj mi go i mów co chcesz za nie?

Czechna po cichu wymieniła coś sporo grzywien srebra, a mężczyzna krzyknął:

— Oszalała!

Wszczął się targ. Czechna wołała:

— Ani życie, ani śmierć darmo nie przychodził. Za mało oddać takiego ziela nie mogę, bo mnie ono samą kosztuje wiele zdrowia... Trzeba wiedzieć gdzie szukać, jak zbierać, z czym warzyć. Darmo mnie tego nie uczyli. Życiem ważyła gotując... — Rozgniewana dokończyła. — Idź sobie do szatana! niech ci on darmo służy.

Znowu się targowali sprzecząc, kaptur dawał mniej. Czechna przy swoim stała, łajali się wzajem, potem milczenie trwało chwilę, mężczyzna się poruszył, dobywał powoli coś z pod oponczy, stara poszła drzwi zaryglować, okno zasunąć tak, że w izbie mroczno się zrobiło. Szeptali po cichu, zaczął przybyły pieniądze liczyć na stole, a stara siadła nad niemi.

Brała niektóre do rąk i do ust próbując czy dobre są; szeptano cicho, brzęczały srebrniki zgarbiane do garnka. Lik ich trwał dosyć długo, a gdy się skończył Czechna poszła jedną okiennicę na pół odsunąć i z wysokiej półki, a z za garnków dobyła małą banieczkę glinianą, tak drobną, że się w garści mieściła.

Kaptur spostrzegłszy ją począł wołać. — A to co? za tyle grzywien taka odrobina?

— Coś ty chciał, abym ci wiadro dała? żebyś

studnie pozatrował? — odparła stara. — Będzie z ciebie i tego, bo kropki dość na człowieka.

— A jak nie poskutkuje? — zapytał.

— Poprobój! — rozśmiała się stara.

Zawahawszy się, sięgnął po bańkę.

— A patrz, ostrożnie z tem — dodała Czechna — abyś nie rozlał. Padnie ci na ciało, wyżre je do kości, prysnie w oko, wypali, jedna kropła w napój, olbrzyma zwali.

— W czym dać? — spytał cicho kaptur.

— W czym chcesz — szepnęła Czechna z powagą nauczyciela — albo w winie, w miodzie, w piwie, a choćby i w jadł.

— Dużo?

— Kropki dosyć...

Uwinięto bańkę w kawał płótna starannie, i człek włożył ją za pazuchę z ostrożnością! Już miał wychodzić, gdy stara ze śmiechem poczęła mówić.

— Myślisz, żem ja ciebie pytać potrzebowała ktoś taki i na co ci trutka? Próbowałam tylko. A no cię znam i wszystko wiem!

Zbliżyła się szepcząc mu coś na ucho, mężczyzna klnąc odskoczył od niej ku drzwiom, pogoniła śmiechem za nim. Słychać było jak drzwi, nagle odsunawszy rygle, otworzył i wybiegł prędko.

Stach chciał się wnet puścić za nim, ale czekać musiał, aż baba wyjdzie, aby nie płoszyć, i nie rychło dopiero, widząc, że za długo siedzieć przyjdzie, z dachu drabinę wydarłszy, skoczył w ogród uchodząc.

Słyszał jak za nim wrzawę wielką baby podniosły, bo posłyszano łoskot. Powybiegały na ogród, gdy on już przez płot do drugiego sadu się dostał i uszedł.

Do domu powróciwszy ledz musiał odpocząć, tak go kości bolały, po nocy na strychu spędzonej. Nie wiele się to na co przydało — podejrzenie jednak wielkie miał, iż kupującym truciznę Kietlicz był

musiał, a jeżeli on był — straszna myśl przechodziła dla kogo on ją mógł przeznaczać?

Stach chciał kapturowego, bądź co bądź pochwycić i zatrzymać. Żegieć i on zasiedli znowu około dworku Juchima śledząc i pilnując, lecz dla mnóstwa ludzi porwać się w ulicy nie śmiał Żegieć, chodząc tylko za nim, i strzegąc, aby im nie umknął.

Drugiego dnia wieczorem dopiero gdy ulica pustą była, udało się im podejrzanego zachwycić tak, iż się nań rzucić mogli. Ostrożnie rozpatrując się przesuwali uliczkę małą i Stach czatując nań, właśnie gdy miał nań rzucić, poznał odsłonioną nieco twarz Kietlicza.

W chwili jednej, z obu stron padli nań z Żegciem, lecz sługa w pośpiechu biegnąc o kół na drodze zawadziwszy, wywrócił się. Spłoszył się Kietlicz i uchodząc sam w ręce Stacha się rzucił, który za kark go chwyciwszy na ziemię obalić usiłował. Napadnięty nie tracąc przytomności dobył nóż z za pasa i żgnął nim Stacha, nie mającego na sobie nic oprócz losiowego kaftana w same piersi. Nóż wbił się głęboko, Stach zachwiał i padł na wznak, a nim Żegieć dobiegł począł kaptur uciekać, korzystając z mroku, w krzaki się rzucił i zniknął.

Na drodze leżał przebity Stach jęcząc z nożem, który mu jeszcze tkwił w piersi. Kląkł nad nim Żegieć, aby naprzód żelazo dobyć z rany, po które sam Stach bezsilną już sięgał ręką. Krew strumieniem buchnęła. Krzyknął przebity i omdlał, zdawało się, że dlań ostatnia wybiła godzina.

Nie mogąc odstąpić rannego, Żegieć wielkim głosem krzycheć zaczął nawołując o ratunek... Cisza nocna dozwoliła głosowi jego rozleść się szeroko i ludzie z uliczek bocznych i domostw wybiegać zaczęli.

Wypadkiem znalazł się i Jaśko Bogorja w pobliskim stojący dworze... Wzięto Stacha i zanieślono do dworku Jagny. Krew chustami trochę zatamo-

wać się dała, a Żegieć po lekarza pobiegł na dwór biskupi.

Rana była ciężka i głęboka, ale się nie zdawała być śmiertelną, bo nóż w serce wymierzony, po żebrach się ośliznąwszy, niżej był zatopiony.

IX.

Były to pierwsze dni Maja 1194 r., a rzadko u nas ten miesiąc kwiatów i zieleni tak pięknym bywa, jak go Bóg dał w tym roku. Ciche, spokojne upływały dni wonne w ogrodach, któremi Kraków otaczał się dokoła. Cieszyli się wszyscy spotykając po wojnie, i długie szczęśliwe panowanie zapowiadało.

Wrzawliwiej, szumniej nie zabawiano się nigdzie może jak we dworze wdowy Doroty, która teraz większą zdawała się mieć niż kiedy nadzieję, spoglądając na Wawel, że książę do niej powróci. Wiedziała ona, że Jagna dogorywała, że życie jej było na włosku, a Kaźmierz przy wjeździe do stojącej na wozie uśmiechnął się i pozdrowił ją tak, jak gdyby dawne czasy przypomniat. Skinienie to pańskie łaskawe lepszą przyszłość zdało się zwiastować. Wszystko się składało pomyślnie; Wichfried był czulszym i niezbyt się wyrzekał pośrednictwa, rachując też na Jagny chorobę. Czekano tylko, aby ona zgasała, nie mieć naówczas miał Dorotę przypomnieć i namówić Kaźmierza, aby dla rozrywki ją odwiedził.

W wigilję świętego Florjana, którego uroczystość, jako patrona Krakowa i kraju, od sprowadzenia zwłok jego, obchodzono z wielką świetnością, bo

Stach z Konar. T. IV.

i sam książę bardzo czynnie się nią zajmował. Dorota miała wieczorem gości wielu. Znaczna ich część porozchodziła się zawczasu, wdowa została sama, Czekala na kogoś jeszcze, coraz to oknem wyglądając. Zmierzchało, a w miarę jak wieczór nadchodził, wdowa coraz większą niecierpliwość okazywała.

Zawołała wreszcie na starszą sługę, ulubienicę swą Jagodę.

Jagoda to była, jak jej pani, już wielce dojrzała, ale wzorem jej nie wyrzekająca się jeszcze młodości. Usłyszawszy wołanie wbiegła z poufalością powiernicy i ręce na piersiach złożwszy, czekała marszcząc się nieco, co jej Dorota powie.

— Czego wam trzeba? — spytała.

— Czego? wiesz przecie — odparła Dorota — ten twój obiecany nie przychodzi, czekam na niego!

— O! przyjdzie pewnie — odpowiedziała Jagoda. — Czekaj może, abyście sami byli, nie rad trafić na ludzi, dla tego nie śpieszy.

— Obiecał przynieść z sobą? — przerwała niecierpliwie wdowa.

— Napewno! obiecał! — głową potakując mówiła Jagoda.

— A nie oszuka mnie?

— Gdzie zaś, człek stateczny, zna go dobrze Juchim. On lekarstwami handluje i z za morza je przywozi. Jeździ na Ruś po różne zioła, leki, krople, smarowania, a wiadomo, że tego nigdzie lepiej jak tam przyprawiać nie umieją. Nasza stara Czechna ani się do niego umywała.

— O! ta stara! — odparła Dorota — ona tylko okłamać a grosz umie wyciągać. Ziele jej żadne nie skutkowało. Nawet ta woda, którą mi się umywać kazała, wcale marszczek nie zgładziła.

Chód się dał słyszeć, Jagoda obejrzała się, wbiegła, a po chwili wprowadziła człowieka w opończy z kapturem, zdającego się ukrywać twarz, aby niezbyt w nią patrzano. Milcząc i rozpatrując się

dokoła wsunął się do izby. Dorota podbiegła ku niemu.

— Macie z sobą? — spytała.

— Mam go — odpowiedział głos stłumiony i schryply — zwolna dobywając z zanadru coś w płótno obwiniętego. Nie puszczał jednak z rąk, choć Dorota chciwie sięgała po nie. Zaczęły się szepty i targi o posiadanie tego skarbu, do którego przybyły, choć przywiązywać się zdał cenę wielką, ustąpił go wszakże łatwo.

Dorota ciągle rękę miała wyciągnioną, aby węzelek ów chwycić.

— Trzeba wiedzieć, jak się z tem obchodzić — rzekł przybyły — ani odytykać, ani wachać, bo wszystka siła uleci; dopiero gdy się kropla ma łać w naczynie do picia, można bańkę otworzyć. A ma moc taką, że i ręce pali, gdyby na nie padło.

Wdowie oczy świeciły.

— Ma moc wielką? — pytała.

— Ma moc straszną, wieknista! Ten, co się napije, nigdy już kochać nie przestanie. Gdy będzie pił, trzeba mu tylko imię niewiasty szepnąć.

To mówiąc, przybyły zwolna bańkę zawiniętą rozpowił, ukazując Dorocie, i znowu starannie związał.

— Dziw, jak oni wszyscy jedne mają naczynia — odezwiała się wdowa. — Czechna mi takie same bańki przynosiła.

Targ był skończony, wdowa oddała cenę umómną w worku, który przyniosła Jagoda, kupiec nie liczył, zalecił tylko, by nie odytykać naczynia i postąpić jak przykazał, copędzej uchodząc z domu.

Po wyjściu jego, wdowa z radości wielkiej trzymając drogi nabytek przyciśnięty do piersi, skakała po izbie, lubując się nim i podśpiewując. Z obawy, aby się co bańce nie stało, schowała ją w suknię.

Była to godzina, w której zwykle Wichfried nadchodził. Niemiec postarawszy, coraz więcej jeść

i pić lubił; gosdodyni dlań zawsze przygotowaną miała ucztę obfitą i wina poddostatkim. Nigdzie też lepiej napoju tego nie umiano osładzać i korzenną zaprawą wzmacniać. Rozkoszował się Wichfried w napoju napozór łagodnym, który dziwną mu wesołość i odwagę wlewał.

Późno w noc nadszedł zmęczony.

— Coście to tak na siebie długo mi czekać kazali?—zapytała wdowa, podchodząc ku niemu wystrojona i wonnościami oblana, uśmiechając się zalotnie.

— Przy panu musiałem być—rzekł Niemiec.—Nie przebaczyłby mi zaniedbania przy nabożeństwie do swojego świętego. Jutro mamy św. Floryana, w kościele obchodzono nieszpory, sam Kaźmierz śpiewał pieśń, którą mistrz Wincenty ułożył po łacinie.

— Jutro więc cały dzień będziecie pobożni?—spytała Dorota.

— Jutro od rana do nocy nie będzie spoczynku—mówił Wichfried.—Książę prawie nie wychodzi z kościoła, czei patrona sam gorliwie, aby mu inni też cześć oddawali.

— A po nabożeństwie, juści będzie na zamku uczta dla wszystkich?—zapytała wdowa.

— Jutro nie, bo to dzień święty—mówił Wichfried—następnego dnia dopiero gotuje się przyjęcie wielkie, na które wszyscy biskupi, duchowni, rycerstwo i ziemianie się ściągają. Będzie to dzień spoczynku i wesela.

Dorota słuchała ciekawie, chwytając każde słowo Wichfrieda.

Niemiec tymczasem oglądał się z taką chciwością za napojem, jak ona za jego słowami. Zrozumawszy to gospodyni, poszła przodem do jadalni. Wieczerza była gotową, wszystko co Wichfried lubił najlepiej. Jagoda ciepłe wino w sporym kubku podała mu zaraz z jakimś szyderskim uśmiechem. Siedział Niemiec za stół żywo i lice mu się rozjaśniło.

Pieczona sarna, której zapach po izbie się roz-

chodził, wabiła go; dobył nóż i umywszy ręce, zabrał się do krajania. Dorota usiadła naprzeciw, dotrzymując rozmowy, lecz nie tykając jadła.

— A taż?—spytała—żyje li jeszcze?

— Mówią, że żyje—rzekł Wichfried.—Chora bardzo, a umrzeć nie może, prawia ludzie.

— Ciągnie długo!—poczęła Dorota, głową trzęsąc—na co się już jej życie zdało? Kaźmierz tych kości i skóry kochać nie może! a cóż?... smuci się bardzo?

— Ponury bardzo—rzekł Wichfried, łakomie zając—Smutek ten powoli przejdzie. Dziś w kościele twarz miał pogodną i jasną.

— Musi o niej zapomnieć—mówiła Dorota—nieprawdaż? A jak jej się zbędzie, kolej na mnie, że sobie musi Dorotę przypomnieć. Mówiłam wam, gdy do Krakowa wjeżdżał, jak mi się pokłonił i uśmiechał!

Podsunęła nalany kubek Niemcowi.

— Pij bo, pij! póki nie ostygło.

Gdy Wichfried kubek drugi wypróżnił, pochyliła się ku niemu.

— Stary druhu!... moje szczęście w twoich rękach!

Ruszył na to ramionami Niemiec, a Dorota do-dała prędko:

— Nie zżymajcie się, nie chcę abyście mu mówili za mną, ani go ciągnęli. Zrobi się tak, że sam przyjdzie.

Wichfried spojrzał pytająco.

— Mam taki sposób, co go przyciągnie—mówiła wdowa—i na wieki go do mnie przykuje. Byle mu go dać kroplę i po cichu, gdy będzie pił, wymówić imię moje.

— El stare baśnie pleciesz!—przerwał śmiejąc się Wichfried.—Niemałoż mu ziele nadawaliście, a przecie go nie macie?

— Takie to było ziele! Czechna zwodziła mniel Nie zna i nie umie nic! Dopiero teraz za drogie

pieniądze z Rusi dostałam takiego lubezyku, takiego!

Wichfried śmiał się ciągle.

— Obeszłoby się bez tego, byle chciał przyjąć— rzekł— a pociągnąć go nie można, tak się boi.

— Otóż napój to zrobi, że się bać przestanie— odrzekła Dorota.— Jedna kropla do wina wlana wystarczy, jedna kropelka.

To mówiąc, wydobyła z za sukni zawiniętą bańkę, pokazała ją zdala i prędko schowała znowu.

— Odkryć jej nie można— rzekła— dopiero, gdy się nalewać będzie. Inaczej siłę postrada, tak mnie nauczono. Dam wam, ale dopiero, gdy mi przysiężecie, że użyjecie, jak przykażę.

Złymnął się Niemiec.

— Ja nie chcę!— rzekł krótko.

— A komu innemu ja nie powierzę— zawołała Dorota— wy musicie wziąć i musicie mu dać!

— Nie!— odparł Niemiec.

— Całe moje mienie wam przekażę— poczęła gorąco wdowa— całe mienie, wszystkie ziemie co mi po ojcu należą, co po mężu oddać powinni. Wszystko oddam wam! Dzieci ja mieć nie będę. Przy świadkach wam zapiszę!

Wichfried się odwrócił.

— A bracia?— spytał.

— A książę!— odparła Dorota.— On za zdradę mógł im i tak wszystko odjąć, co po ojcach mają. Obroni tego, co ja zapiszę.

Zadumał się niemiec.

— Kto wie, co w napoju jest!— przebąknął.

— Nie jużbym ja co go miłuję, źle mu uczynić chciała?— zawołała wdowa.— Czyż nie wiecie, że Bóg daje różną siłę ziołom dla pomocy człowiekowi, że jedne ciągną, drugie odpychają! jedne kochać kazał, drugie nienawidzić?

— A są i takie, co zabijają!— zawołał Wichfried.

— Czyż jabym mu śmierci mogła życzyć!— krzyknęła wdowa— ja? Ten co mi lubezyk sprzedał, człek pewny, stateczni ludzie ręczyli za niego.

Wichfried jadł i pił, słuchał jednym uchem, a w głowie coś liczył.

— Ziemi mieć będziecie po mnie dosyć— dodała kusicielka— byle książę się zaopiekował, a tego wam nie odmówi. Siedziecie na niej, jak książę udzielnny.

— W pustyni!— mruknął niemiec.

— Pustki się przecie zaludniają!— mówiła Dorota— byle ziemia była, ludzie się znajdują. Choćby i z waszych Niemiec pójda chętnie.

Prawiła żywo, Niemiec słuchał, coraz mocniej zadumany, ale jadł i popijał coraz raźniej. Dorota przysunęła się do niego, kubki nalewając sama, pogłaskała go po głowie, objęła za szyję. Zaczynał się rozochocony uśmiechać.

— El!— rzekła— bądź bo rozumnym a dobrym dla mnie i dla siebie... Zrób jak mówię, nie pożałujesz!

Niemiec się przestał opierać.

— Pojutrze, w czasie uczty— mówiła cicho— pod sam jej koniec, podając mu ulubioną jego czarę, jak się ona tam zowie?

— Teodulfowa— zamruczał Wichfried.

— Odetkniesz tę oto bańkę dopiero, gdy będziesz miał nalewać, wpuścisz z niej choćby kropkę jedną, a gdy pić będzie, szepniesz mu do ucha imię moje! Więcej nie potrzeba.

Niemiec głową potrząsał, ona ciągnęła dalej:

— Siła tego napoju sprawi, że zaraz zechce przyjąć do mnie, a gdy przyjdzie, już mnie nie opuści.

Słuchający głową niedowierzająco potrząsał— wdowa dobywała bańkę, strzegąc, aby zatyczki jej nie tknąć.

— Tak! ty to musisz uczynić— mówiła, nie zważając na opór Wichfrieda— musisz, uczynisz. Przysięgam, a ja uczynię cię możliwym i szczęśliwym!

Milczał jeszcze trochę upojony, trochę znudzony niemiec, ale ręka jego już po owo naczynko sięgała.

— Bóg z tobą—rzekł—naprzykrzona, natrętna, niepozbyta babo, zrobię co chcesz, ale skutku z tego tyle będzie, co z twych innych czarów, chybaby... tamtej nie stało, a innej mu się szukać nie chciało.

Wyciągniętą trzymał rękę.

— A przysiążże mi—natarczywie zawołała Dorota—że zrobisz, jak mówię, na Boga, na świętych, na uczciwość twą!... Dasz mu dopiero przy uczty końcu,

Niemiec rzekł z obojętnym uśmiechem:

— No, przysięgam, przysięgam!

I pochwycił w rękę bańkę, którą mu Dorota oddała, pilnując, aby ją natychmiast schował. Wichfried rozpiął kaftan na piersi, włożył naczynko, zapicła mu go Dorota i lice jej zajaśniało niezmierną radością. Śmiejąc się, nowy kubek mu podała.

— Pij—rzekła—dałabym ci złota roztopionego, gdyby je pić było można. Będiesz mym dobroczyńcą!

— Byle napój poskutkował!—dodał Niemiec.

— O, musi! ja wiem! ten będzie skutecznym!

Uderzyła w ręce i zrywając się z ławy, pisać poczęła wesoło przed Niemcem, który już ruszyć się nie mógł. Ale patrząc, lice mu się uśmiechało na widok pięknej jeszcze niewiasty, tak szczęśliwej, tak wesołej, że jemu się część tego szczęścia i wesela udzielała.

Pił tymczasem potrosze, bo napój ten palił go wewnątrz i zamiast gasić, powiększał pragnienie. W głowie kręciło mu się i szumiało. Coraz to kubek opróżniony stawiał, wyzywając do nalewania, a parę ich jeszcze wychyliwszy, sparł się zwolna o ścianę i usnął, ustami tylko poruszając uśmiechniętymi i coś niewyraźnie pomrukując.

Dorota zabezpieczyła go od upadku, aby z nim drogie naczynko nie zostało nadwerężone i pozostała na straży.

Gdy we dworku wdowy tak się do oczarowania Kaźmierza przygotowywano, w domu Stacha, Żegieć i kilku przyjaciół otaczali łóżko rannego. Uplyw krwi z piersi szeroko rozpiętej wstrzymać się udało. Żegieć wprędce od biskupa przyprowadził uczzonego Benedyktyna, który był Pelki i księcia lekarzem. Staruszek opatrzył starannie ranę, pilno chorym się zajął, dał mu wewnątrz jakieś leki, po których sen przyszedł spokojny, balsamem zalał bok skaleczony, ale pytany o chorego, nie odpowiadał nic z początku, w końcu rzekł, że wszystko jest w mocy Bożej, a On cuda czyni, gdy wola Jego.

Ze wszystkich ciekawych, którzy z początku łóżko chorego otaczali i domek napelniali, po upływie pół dnia pozostał tylko Żegieć wierny i ksiądz, który przyrzekł odwiedzać chorego.

Niewyjaśnioną dla wszystkich była tajemnicą ta rana otrzymana od nieznanego człowieka, na którego dlaczego Stach po nocy się rzucił, nikt też odgadnąć nie umiał. Domyślano się różnie, Żegieć mówić nie chciał, ci co znali rannego, wiedzieli, że dla pieniędzy i przez chciwość tego uczynić nie mógł, że z zazdrości o niewiastę nie rzucił się pewnie, bo płochości wszelkiej wyrzekł się dawno; musiała więc jakaś chęć zemsty i śmiertelna nim powodować uraza.

Jeden biskup Pelka, lepiej od innych wiedząc co się w sercu Stacha działo, domyślał się sprawy większej wagi i był niespokojnym. Zlecił też benedyktynowi, aby pilnie miał o chorym staranie. Po dniu spokojnym, drugiego rozwinęła się gorączka i ranny marzyć zaczął. Zrywać się z łóżka, chciał biedzą, wołając ciągle, iż pana otruć zamierzano!

Słyszał to lekarz i sługa, ale i oni wszyscy przypisywali gorączce to majeczenie dziwaczne, żadnego do wyrazów popłatanych nie przywiązując znaczenia.

Ile razy ze snu ciężkiego przebudził się Stach, z tą samą myślą się zrywał znowu, krzycząc, że na

ratunek biedz trzeba, bo pana otruć mają. Uparte to ostrzeganie, wołanie i prośby, uderzyły wreszcie Benedyktyna, tak, że do biskupa wróciwszy, z politowaniem mu o tem rozpowiadał.

Pełka tłumaczył to sobie marzeniem chorego, którego znając przywiązanie do księcia, nowy dowód jego w tem upatrywał.

— Śni się biedakowi—rzekł—jak mu cale życie się marzyło, że zawsze panu jego coś zagraża. Pocziwy sługa żył lat wiele jednym staraniem o bezpieczeństwo pańskie, więc i teraz w głowie się to powtarza. Daj mu Bóg ozdrowienie i życie!

Za życie to lekarz nie ręczył jeszcze, drudzy mu go nie wróżyli. Choć silny, Stach krwi utracił wiele, rana była głęboka, a co się wewnątrz jej działo, czy oręż nie był jakim jatrznikiem zatruty? Bogu jednemu wiadomem było. Gorączka rosła, sił ubywało i tylko gdy dziwaczne marzenie o otruciu księcia wracało, naówczas zrywał się z taką mocą, iż go kilku ludzi ledwie mogło utrzymać.

Benedyktyn leki uspakajające powiększał coraz, dopóki tego szalu wycieńczającego nie przemógł. Chory, choć go już skrępowała bezwładność, jeszcze mruczał przez sen, aby czuwano nad panem.

W sam dzień św. Floryana gorączka wreszcie ustawać zaczęła i przyszło osłabienie wielkie. Chory stękał, na ból głowy się skarżył, mnichowi się zwierając, że go prześladował sen trapiący, jakoby Kazmierzowi na uczcie do napoju trucizny wlać miano.

Badal go Benedyktyn, zkad mu myśl ta przyjsć mogła, lecz przed nim jaśniej się tłumaczyć Stach obawiał. Na karb gorączki poszedł ten niepokój. Tego dnia lekarz obiecywał więcej i pocieszającą wiadomość zaniósł biskupowi, który na intencyę chorego mszę świętą u relikwii św. Floryana odprawić obiecał.

Stary Hreczyn, który się był do Stacha przywiązał, w początku chorej Jagnie o wypadku znać dawać nie chciał. Po cóż miał chorą męczyć napróżno?

Gdy lekarz zrobił nadzieję wyzdrowienia, Hreczyn pomyślał, iż powinien iść powiedzieć co się stało, i dla czego Stach nie przychodzi. Dnia tego z południa, po wielkiem nabożeństwie, na które lud do dwu kościołów tłumnie się gromadził, bo na Wawelu i na Kleparzu kości męczennika były złożone, Hreczyn powlókł się za Wisłę.

Starego sługę swojego mile Jagna przyjmowała, i dowiedziawszy się o nim, zaraz go wpuścić każała. Wszedł Hreczyn zbiedzony, z głową spuszczoną, nie wiedząc co mówić. Jagna odziana siedziała oparta w oknie.

— Coś ty tak smutny? — zapytała spojrzawszy.

— Stacha nam pokaleczyli! — westchnął Hreczyn, wprost mówiąc z czem przyszedł. — Leży biedak, dlatego nie widzicie go od dni kilku!

— A! — krzyknęła Jagna. — Kto? co? mów!

— Nikt dobrze nie wie, jak się to stało — rzekł stary. — Nocą w ulicy napaść jakaś. Zdaje się, że z Żegciem czatowali na kogoś i ująć go chcieli. Ten broniąc się, w piersi nożem pchnął Stacha, dobrze, że go nie ubił. Biskup przysłał mnicha lekarza, okładając ranę, majaczył dużo, teraz się uspokoił.

Jagna płacząc, słuchała. Osłabiej teraz lzy przychodziły łatwo, drżała ze wzruszenia. Nie kochała nigdy Stacha, ale go jak brata miłowała i wdzięczną mu była. Jedyne to był człowiek, co ją nie zdradził, nie ciężył jej, był wiernym zawsze. Myśl stracenia go, była dla niej bolesną. Chciała sama umrzeć wprzód, pamięć swą zostawując mu w spadku. I to życzenie zagrożonem było.

— A! Hreczynie! Hreczynie! — zawołała — a! gdybym ja siły miała! ale ani na konia siąść, ani pie szo iść, ani na wozie jechać nie mogę, a ja tam przy nim powinnam być!

Zalamała ręce.

— Hreczynie! Hreczynie! wy mnie zanieście do niego!

Stary się począł mocno opierać.

— Ani wam myśleć o tem, miłościwa pani — rzekł — choremu nie pomożecie, bo mu spokoju potrzeba, sobie zaszkoǳicie, a jakby was nieść? Pełen teraz Kraków ludzi dla odpustu, dla nabożeństwa, zawałone ulice. Zobaczyliby was, gadali, dowiedziałby się pan i gniewał srodze.

Jagna płakała.

— Jakże go tak porzucić? — wołała — jak mu powiedzieć, że mi go żal?

— Ja mu powiem, gdy każecie — odparł Hreczyn.

— Inna rzecz posłanie, a inna żywe słowo! — mruknęła Jagna — ale wam nie poczuć tego!

Hreczyn kłaniając się do ziemi, już miał odchodzić, gdy Jagna odzyskała tę wolę wielką, jaką dawniej miała.

— Słuchaj stary — rzekła nakazująco — to nie może być! Wy mnie tam o mroku zanieść musicie! Choćbym umarła, nie pomoże nic. Muszę tam być. Nosze zróbcie, zakryjcie mi twarz chustami, droga niedaleka! Zaniesiecie mnie! Dziś święto patrona pańskiego, on u mnie nie będzie, ja u Stacha muszę być. Słowo mu rzeknę i powrócę.

Opierał się Hreczyn jeszcze, ale Jagna już wołała na sługi.

— Musi tak być, jak każe. Gałęzi urąbacie w lesie, nosze mi zrobicie.

Nastraszyły się służebne, ale nawykłe były do posłuchu, gdy Jagna chciała czego, próżno się jej opierać było. Hreczyn przeklinając siebie, że przybył z tą wieścią, musiał pójść rąbać drągi i gałęzie na nosze. Nim wieczór nadszedł, były one gotowe. Jagna od stóp do głów wielką się chustą okryła, a że iść nie mogła sama, prowadzić się, napół nieść musiała kazać. Włożono ją na nosze, jak rannego w boju i była w istocie Łazarzem porąbanym na pobojuwisku życia. Nie mówiąc słowa, z twarzą zakrytą dała się nieść nie jękawszy. Na promie przebyła Wisłę, we-

szli do miasta, gdzie ludzi pobożnych ścisł był wielki. Myśleli spotykający, że rannego lub zabitego niosą, słudzy na pytania nie odpowiadali. Gdy w dworku stanęli, Stach spał; Jagnę, choć ją niesiono powoli, zmęczoną, wpół żywą wprowadzili do ciemnej izby, w której chory odpoczywał. Posadzili ją w kącie na ławie, sparła się na stole i tak przebudzenia czekała.

Nierychło otworzył oczy Stach, jęcząc i wołać począł o wodę. Zegieć podając mu ją, szepnął, że Jagna się tu przynieść kazała.

Zdumiał się mocno Stach.

— Gdzież ona jest?

— Tutaj jestem! — odpowiedział cichy, słaby głos z kąta — kaleka do kaleki przybyłam, aby rzec ci jedno słowo: żal mi ciebie!

Stach kazał przynieść światło.

— Niech ją choć zobaczę, lżej mi będzie! — rzekł przejęty.

Zaniecono drzazgę i lampkę. Izba była niewielka, mógł więc łatwo dojrzeć siedzącą, a że mu smutku przynieść z sobą nie chciała, poczęła się uśmiechać. Na tej twarzyczce wychudłej, na której śmierć już położyła piętno swoje, uśmiech wykwitł, jak piołun ementarny, jak dziewanna mogilna.

Widząc ją, Stachowi zapłakać się chciało, — uśmiech ten przywołał wspomnienia młodości i kraśy dawniej. Długo na twarzyczce jej pozostać nie mógł i zniknął.

Spytała go o ranę; Stach spowiadać się nie mógł.

— A! — rzekł — sam bo nie wiem, za com ją otrzymał, co mi się przyśniło. Człek mi się zdał podejrany, włóczyłem się za nim, chodził do Czechny po trutkę, mnie się widziało już, że mogła być dla Kaźmierza przeznaczona! Stach ogarnął.

— Dla niego? — przerwała Jagna. — A któżby śmiał tego anioła Bożego, człowieka, co nigdy nikomu zła nie uczynił, wszystkim przebaczał, wrogów kochał. Któżby śmiał!?

— Nedorzeczy marzyłem—odparł Stach—sam wiem! Wyście to wiedzieć powinni, że kto kogo kocha, o nim śni i myśli, a śniąc mu się widma roją. A! a! sen był i zmora, a przecie niechby mu kto powiedział, aby nie pił inaczej, aż podczaszy skosztuje napoju.

— Taki obyczaj na dworze!—rzekła Jagna.

— Ale pan ufny jest — mówił Stach. — Nie jeden podczaszy, lada kto mu napój nalewa i daje.

— Możeż on mieć nieprzyjaciół?—wołała Jagna.

Stach zamilkł, wiedział i on, że żaden z książąt nigdy takiej u wszystkich miłości nie miał. Ci, co go otaczali, życie zań dać byli gotowi, ale Kietlicz? A jemu się zdało, że poznał niecnotę.

— Gdy pana zobaczycie—dodał chory—od siebie mu powiedziecie, niech napoju próbować każe!

— Ani dziś, ani jutro ja go widzieć nie będę—westchnęła Jagna—a za dwa dni czy moje usta będą co mówiły? któż wie... Dziś święto obchodzą, jutro wielkie gody. Szcześliwi ludzie będą tam patrzeć w twarz pana mojego, napawać się słodkiem wejrzeniem, słodszy głosem i sercem najslodsze jego!

Rozmowa skończyć się musiała. Hreczyn czatował na swoją panią i do powrotu naglił. Chmury się od Tatrów zbierały, błyskało w nich, chciał ją odnieść, nimby burza nadszła.

Więc groził nią stary!

— El! Hreczyni! — zawołała z uśmiechem — a pamiętasz stary, w jakie my burze z tobą puszcze przebywali? Gdy się drzewa od piorunów płonące na nas waliły, iskrami obsypując? A teraz ty się boisz?

— Teraz wam trzeba do domu — rzekł Hreczyn.

— Nieście! — szepnął cicho.

I ręką od ust posłała Stachowi pozdrowienie.

— Wyzdrowiej mi prędko, póki ja nie umrę—rzekła wesoło.

Jak dziecię sługi ją na ręce wzięły, i tak ze sklonioną głową na podwórze wynieśli, a Stach pozostał sam w stokroć teraz puściejszym domku.

Jak sen chorobliwy przesunęła mu się ta twarz Jagny błada; słyszał jeszcze jej głos, widział oczy. Chciał naprawdę usnąć z tym obrazem, spokojniejszym był, zleciwszy jej poselstwo do pana.

Sen też ogarnął go znowu.

Lecz ledwie zamknął powieki, stanęła przed nim postać zakapturzonego człowieka z Kietliczową twarzą, który szeptał szydersko: — Zapóźno! Jutro gody! Jutro mu może naleją napoju, po którym się nie wytrzeźwi.

Jutro gody!

Całą noc tym snem był Stach dręczony, a gdy o brzasku się zbudził i Benedyktyn przyszedł ranę mu balsamem zalewać, pot ciekł z uznojonego mazarzeniem czoła.

— Al ojcze!—zawołał—znowu miałem sen srogi! Pan dziś gody sprawia. Widmo straszne jakieś łało mu do czary truciznę.

— Z choroby to są marne widziadła! — rzekł ksiądz — a może nagabania szatańskie, uczynicie krzyż, zmówcie modlitwę, uspokoi się dusza.

Posłuszny Stach modlił się, lecz niopokój przez dzień cały dręczył go coraz większy we śnie i na jawie. Gdy wieczór nadszedł, rozpałała mu się gorączką twarz, krew w żyłach kipieć poczęła, wytężał słuch, serce biło.

Z wysiłku tego, padł na łożo osłabły i krzyknąwszy: Ratunku!—przytomność utracił.

Sekwencję tę sam przy mszy wielkiej śpiewał u organów w kościele i podobała się wszystkim.

Salve martyr gloriose!

Swą grą wyrazów, porównaniem świętego do kwiatu, wzywaniem opieki dla Krakowa:

(Cracoviae gaude vere).

Zachwycił duchownych, którzy hymnem tym zastąpić postanowili inny, po kościołach w Niemczech na cześć św. Wiktoryna i Floryana śpiewany. *Carus Deo Florianus — Toto corde fide sanus*). Oddawna księcia weselszym, aż do łez rozkosznych rozczulonym serdeczniej nie widywano. Wdzięcznie się wszystkim uśmiechał, i szczęśliwi byli, widząc ten rzadki promyk wesela na zwykle smutnej twarzy jego. Poważny nawet biskup Pełka, surowy Mikołaj wojewoda dnia tego oblicza pogodnie mieli, odmłodzone.

W istocie państwu teraz nie zbywało na niczem. Z łaski pana Mikołaja pokój był z Węgrami zmówiony, Ruś była w ład wprawiona orężem Kaźmierza, Jaćwa pokonana wyprawą zwycięską, Niemcy zajęci podbojem reszty pogan na Pomorzu, nie myśleli o napaści, od cesarstwa się jej nie obawiano.

Dostatek panował w domu; po utraconym Bolku, jedyna ojca i matki pociecha Leszek się chował zdrowo i szczęśliwie, jak siostra i brat młodszy. W środku państwa co dawniej wicherzyło i bruździło, ukoilo się i przycichło. Dzielnica bezpotomnego syna Kędzierzawego, spadła na Kaźmierza, Mieszek po oddaniu mu syna siedział upokorzony, książęta Szlązcy nie ważyli się porywać.

Lżejsze prawo nowe kmięciom dozwalało odżyć po Połowieckich najazdach i Kietliczowym ucisku. Świetne w przyszłości zapowiadały się lata.

Rozumny Pełka i silny Mikołaj ziemian butnych trzymali w karności, nie się nie przeciwilo, nie nie wyrывało.

Następstwo po Kaźmierzu papieżką bullą utwierdzone było w jego rodzie, duchowieństwo stało na

Stach z Konar. T. IV.

11

X.

EPILOG.

Nazajutrz po dniu św. Floryana, dla wszystkich tych, co z nim razem obchodzili święto patrona Krakowa, książę Kaźmierz wspaniałą ucztę gotował.

Zdawna ją przysposabiano, gdyż zaproszonych liczba niemała była, a książę uczcić ich chciał ze szczerobliwością królewską.

Trzech biskupów przybyło umyślnie na tę uroczystość do stolicy, wszyscy panowie Rady, dostojniejsi ziemianie, wojewodowie, żupani, starzy druhowie Kaźmierza i Henryka. Jaksa z Miechowa, Rusław, na którego ziemi Sulejowski klasztor zakładał, Jarosław Belina, Goworek z Sandomirza, Żyra z Płocka, stawili się do boku pańskiego. Do relikwii tego danego państwu swemu patrona, książę najwyższą przywizał cenę, widział w nich porękę błogosławieństwa Bożego dla tej ziemi. Pomiedzy duchowieństwem, jak perła czystej wody, jaśniał mistrz Wincenty, ulubieniec pański, któremu niedawno Kaźmierz napisanie hymnu na cześć świętego polecił*).

*) Bardzo prawdopodobnie może to być Kadłubka dzieło, styl i język na tę myśl naprowadzają.

straży prawa. Z biskupami Kaźmierz rządził wspólnie i zgodnie dzieląc władzę, którą oni wielkim swym wpływem podtrzymywali. Klasztory zwłaszcza Cysterskie rosły, mnożąc się prawie codziennie, krzewiły w ziemi niedawno pustej i bezludnej. Mnożyły się też osady po trzebieżach, ludność po miastach, handel złotem drogami przeżył kraj ze wschodu na zachód.

Z zachodu co tylko Włochy, Francya, Niemcy miały, otrzymywała dzielnica Kaźmierzowa, płynął towar, szli rękodzielnicy. W mniejszym stopniu odbijały się tu wszystkie ruchy umysłów, jakie się czuć dawały w krajach innych. Ziemiański ów udział w rządzie i radzie, nie był bez związku z wyswobodzeniem możnych w Niemczech i we Włoszech. Rodzina Rudobrodego w Wenecyi u stóp papieża składającego głowę dumną, w Polsce się odbiła, biskupom przyczyniając siły.

Kaźmierz, który miłował sprawiedliwość i pokój, dla którego słowo Boże było prawem najwyższem, nie pragnął zbytniej władzy, dzielący się nią chętnie, cieszył się tem wszystkiem, bo działał się po myśli jego. Wyswobodzony z brzemienia rządu samowolnego, mógł swobodnie oddawać się ulubionym marzeniom, o rzeczach zaświatowych rozprawić z uczonemi, uczyć dziejów i śpiewać chwałę Bożą.

Gdy nad wieczór goście wszyscy na zamku się zgromadzili dokoła stołów książęcych, dość było spojrzeć po ich twarzach, ażeby zgadnąć, że mieli pana miłościwego, który był im ojcem a bratem.

Gdy piękny zawsze jeszcze z podniesionem do góry czołem jasnym tego dnia, z włosami na ramiona puszczone, z łańcuchem na szyi, u którego klejnot z orłem i lwem był zawieszony—wszedł książę strojny, rzeźwy, wesół do wielkiej izby, oczy wszystkich z wyrazem ukochania zwróciły się doń, jak do słońca.

Sunęli się doń i cisnęli, aby słówko posłyszeć, wejrzenie dostać, uśmiechem się pocieszyć, albo choć otrzeć o niego. Nie było jednej twarzy ponurej, je-

dnego niechętnego serca. Nawet ci, co niegdyś obalamuceni szli przeciw niemu, przejednani dziś życia zań dać byli gotowi.

Zaprawdę inaczej też być nie mogło, tak miłością chrześcijańską, sercem anielskiej dobroci pełnem, wielkim był Kaźmierz, który dumy innych panów nie miał, a pokorą świętą obleczony, jeszcze się większym wydawał.

Choć zwykle na dworze jego zbytniego przepychu nie było, bo bogactwy swemi chętniej się dzielił niż używał, na ten dzień, a w cześć świętego patrona wspaniałość królewska jaśniała.

Wszystko, co skarbiec miał najpiękniejszego, wzięto na stoły. Police przy ścianach błyszczały od srebra i złota. Siedzenia wywyższone dla księcia, książęnej, biskupów, okryte były szkarłatem, cała izba zielonością przybrana majową, potrząsiona siolą wonnemi. Dwór pański przywdział szaty święte, krasne i okazałe, kto co miał najkosztowniejszego, włożył na siebie.

Śmiać się zdawało wszystko. Dzień przed wieczorem do zbytku był ciepły, więc szeroko otwartymi oknami, gość pożądan, wonne wiosenne wchodziło powietrze. Na twarzy książęnej Heleny, zwykle mającej wyraz jakby trwogi i tęsknoty, w dniu tym wiadać było pokój i szczęście. Gwar po izbach, przytomnością pańską hamowany tylko, to przycichał, to tłumionemi śmiechy i żwawszemi ożywał się wykrzyki. Około księcia skupiło się co było poważniejszego z duchownych i świeckich panów, a biskup Pelka pobłogosławiwszy stół, sam począł rozmowę od tego, iż należało Bogu za pomyślność jaką na to królestwo zlewał, dziękować.

— Tak Bóg sprawiedliwym błogosławi—rzekł—i przez pana naszego płynie nam łaska Jegol

Książę skłonił głowę.

— Bóg daj—odezwał się—zasłużyć na to coście

mi niegodnemu rzekli. Nie przypisuję tego sobie, ale waszym modlitwom.

Tak zagajona poważnie mowa, wnet przez Chmarę, który siedział nieopodal, na weselszy tor została zwrócona.

— Komp my to winni, dojść trudno—rzekł stary—to pewna, że nam ubożuchnym z tem dobrze, i bodaj długie wieki trwało czego używamy

A my biedacy, możemy zasłużyli też na miłosierdzie Boże, bośmy długo cierpliwie plagi i chłosty znosili.

— W niepamięć to puścić! — rzekł biskup. — Święcą się lepsze czasy, w niebie mamy Orędownika-Rycerza, który i od ognia i od wody broni.

— Bodaj też i od złych ludzi—dodał Chmara—bo to gorsze od ognia i wody.

Książe się począł nabożeństwem wspaniałym po kościołach radować, chociaż, jak mówił, wiele jeszcze niedostawało, aby świątynie polskie, włoskim, niemieckim i francuzkim równały.

— Da Bóg i my takie będziemy mieli — odrzekł Pelka — choć nam o kamień trudno, glina go zastąpi.

Cysters się odezwał, że mistrzów do budowania sprowadzając, swo ch można było nauczyć tej sztuki, a Jarosław Bogorja, wtrącił, iż z kamienia, prawda, cudzy lepiej budować umieli, a z drzewa od naszych cieśłów uczyćby się mogli.

— Proste było życie dawne na tych ziemiach—począł Jaksą—więc rzemiosła nie kwitły. Z obyczajem lepszym i ręce ludziom urosną zręczniejsze, boć nie święci garnki lepia.

Rozprawiano tak, jedząc, o rzeczy wszelakiej, książe słuchał, niekiedy wtrącając słowo.

Biesiada trwała dosyć długo, coraz się stając gwarniejszą, tak, że, w końcu już tylko najbliżsi słyszeć się mogli. W każdym kątku o czem innem rzecz się toczyła.

Przy dalszych stołach, rozmowy od ucha pańskiego odleglejsze, stać się musiały swawolne, gdyż je gęste śmiechy i puste słowa zdradzały.

Przeciągnęło się to do późnego wieczora, aż niektórzy wstawać poczęli, odeszła księżna, ziemianie dla chłodu na podsienia ustąpili, a książe został tylko, otoczony szczuplejszem gronem poważnych mężów.

Zostali przy nim biskupi, duchowni, Jaksą, Goworek, wojewoda Mikołaj i ziemian co ciekawszych kupka mileząca.

Mogli już teraz rozpocząć mówić o ulubionych Kaźmierzowi przedmiotach o rzeczach niepowsze dniach. Wichfried dnia tego wziął na się dobrowolne podczasowstwo, chodząc głównie około pana i biskupów, których rozmów słuchał, a kubki im nalewał. Książe przyjaźnie mu się uśmiechał i dnia tego dobrej będąc myśli, często swą czarę nalewać dawał.

— A! — odezwał się głośno — gdyby życie całe płynąć mogło jak ten dzień dzisiejszy, pół na nabożeństwie z Bogiem, pół z ludźmi sercu miłemi, na rozmyślaniu o rzeczach ostatecznych!

Niestety! nie tak zawsze się dzieje, ma prawa swe dzień powszedni, jak ma łaski dzień świąteczny. Chleb codzienny pożywać musimy we łzach i pocie naszych skroni... Niezemby to było, gdyby duch nie cierpiał, gdyby go nie trapiła tęsknota wiekuista która i najjaśniejsze chwile przyćmiewa.

— Miłościwy panie — rzekł Pelka — nie wylamać się nam z tego, czemuśmy przez ciało nasze podlegli. Człek z niewiasty narodzony, pełen jest wszelkiej nędzy, wschodzi jako ziele i więdnije jako trawa.

— Tak — dodał mistrz Wincenty — aleć to życie znikome wstępem jest do wiecznego, a jak powiada modlitwa, którą czytamy za umartych: „życie się o dmienia, nie ustaje“ (vita mutatur non tollitur). I do

brze rzekł Prudencjusz: „Nie płaczcie matki dzieci swych, bo śmierć jest żywotem nowym. Tak wyschłe ziarna pszeniczne umierają w ziemię zakopane i zielenią się wytykając z zagonów, kłosami odnowione.“

— Nam to tylko Chrystusowym dzieciom—rzekł Pelka—dostępna ta prawda żywota, pociechy tej nie mają poganie.

— Aliści—przerwał Wincenty—przecucie one-go życia drugiego i u najdzikszych pogan się znajduje, jak to wiemy o Getach (Prusakach), którzy wierzą, że dusze ich ciał wyszedłszy do innych narodzie się mających przechodzą, a inne nawet w zwierzęta.

— Myśmy — rzekł książę — doświadczyli tego w ostatniej wyprawie, iż gardzić śmiercią umieją, bo się bili mężnie i zakładników swych na stracenie skazali bez żalu.

— Jakże my, cośmy tego żywota wiekuistego pewniejsi—odezwał się biskup płocki — od nich śmielszemi być powinni w pogardzie śmierci.

— Tak, ojciec mój — odparł książę — życiaśmy pewni, lecz jakie ono dla nas będzie, czem? Któż to wie? Kto przewidzi?

— Określić to trudno—rzekł Pelka—co jest nad rozum człowieczy i nad słowo ludzkie.

— Wstyd mi tu przywozić — przerwał jeden z Benedyktynów — tego, którego święty Bernard heretyk zowie — (spojrzał na Cystersów z ukosa, — ale Abailardus ów potępiony, pięknie wyraził się o przyszłym życiu, że ono przez to jest szczęściem, iż będzie zapatrywaniem się na doskonałość Bożą.

„Światło słoneczne blask sieje w południe, ciepło potęgą swoją świat ożywia, najwyższą szczęśliwością będzie, gdy widok Boga serca nasze rozplomieni. Im lepiej poznamy, tem więcej ukochamy wszystkie jego doskonałości. Patrzyć na nie będziemy najwyższą

szczęśliwością. Szczęśliwe wejrzenie, oczy błogosławione, które tej chwały używają.“

Cysters czując się dotkniętym wymówką św. Bernardowi uczynioną, po krótkim namyśle odparł:

— Ten to nasz Bernard, który Abailarda potępił, przyczynę swego sądu w liście do niego wyraża, pisząc w nim, co się do innych mędrków czasu tego da zastosować. „Igra się teraz z prostaczków wiarą, rozdierają się tajnie Boże, zagadnienia rzeczy najwyższych zuchwale roztrząsają *).

— Ojciec miły—przerwał Kaźmierz, który uczył się z kolei dotkniętym zarzutem.— Nie godzi się może rozbierać i roztrząsać, ale godzi chcieć oświecać i szukać światła, nawet prostaczkom jak my. U ojców kościoła, u poetów chrześcijańskich, o których od was się uczę, wszak nieodgadnione zagadnienia co chwila wracają, bo się człowiek zajmowaniu niemi oprzeć nie może.

— Zaprawdę tak jest—dodał mistrz Wincenty—zagadki jednak pozostały nierozwiązane. Mędrcowie nauczają nas, że się nie wie, oprócz tego, że się nie wie nic. Teofrastus dodaje, że się w nic wierzyć nie powinno, oprócz, że niczemu wierzyć nie trzeba. A Eudemiusz poprawia go, dodając: *prawie* **).

— Smutno byłoby w tych ciemnościach — wiekować — rzekł książę. — Coś przecie światła płynie od ludzi Duchem Świętym natchnionych.

— Zapewne—dodał Pelka—poetom też śpiewać się przydarza o tem, czego oko nie widziało, ucho nie słyszało, a co ich dusza przeczuwa.

— Świadkiem ów piękny opis Raju u św. Awiktusa — rzekł mistrz Wincenty.

— Nie pomnicież go? — zapytał Kaźmierz.

*) Irridetur simplicium fides, eviscerantur arcana Dei, quaestiones de altissimis rebus temerario ventilantur.

**) Kronika M. Wincentego.

— Jakżeby mistrz Wincenty miał nie pamiętać czego? on, którego pamięć za *armarium* starezy? — odezwał się biskup, zwracając ku niemu z uśmiechem.

Skromnie zarumieniał się powołany.

— Sądę, że opis ten przypomnę sobie — odparł — i po małym namyśle rozpoczął: „Za indyjską ziemią, kędy świat się poczyną, jak mówią, a kończyny ziemi z niebiosy łączą, jest las śmiertelnym niedostępny, zamknięt w granicach wiekuistych, od kąd pierwszego grzechu sprawca wygnany był zeń po upadku, a aniołowie niebiescy przyszli na tę poświęconej ziemi zastąpić słusznie wygnanych winowajców. Niema tam pór roku przemiennych, wiodących za sobą zimę, słońce letnie nie przyświeca tu po mrozach. Gdy krąg wyniosły roku dla nas przywraca porę skwarów, gdy nasze pola bieleją szronem okryte, dzięki łagodności klimatu tu wieczna panuje wiosna. Gwałtowny Auster tu nie szumi, chmurzy uciekają od czystego powietrza, niebo jest zawsze jasnym. Ziemia nie potrzebuje deszczów, by ją orzeźwiały, rośliny karmią się rosą samą. Zielenieje ziemia, powierzchnia jej ogrzana łagodnie, wdzięcznie i świeżo wygląda, wzgórza okrywają trawy, drzewa zachowują zielone swe warkocze i tysiące wydają kwiatów, coraz nowemi odżywiają się soki. Tam owoce, które my raz do roku zbieramy, co miesiąc obficie się rodzą. Słońce nie warzy lilij jasnych, fijołki, których żadna ręka nie tyka, kwitną bezprzestannie, barwa ich nie blednie, kielich nie więdnije. Zimy tam niema nigdy, ani letnich upałów ssących ziemię, wiosna tylko z kwiatami, jesień z owocami paunją rok cały. Tu rosną cynamony, które wieść kłamliwa wyłączną własnością Sabeanom przyznaje, rośliny, które zbiera Feniks, gdy ma umierać, źródła dlań nowego żywota... Płonie ona na gnieździe swem i odradza się z popiołów, zmartwychpowstając po dobrowolnym zgonie. A niedość, że się rodzi po raz wtóry, odnawiając żywot ciała laty znękanego, coraz nowe na-

rodziny starości mu oszczędzają, która w płomieniach ginie. Drzewa sączą z żył płodnych wonne balsamy. Gdy lekki wiatr powieje, gęsty las oddechem jego poruszy, szeleści i mruczy, uginając gałęzie kwieciste, a powietrze napelniając wonią słodką i rzeźwiącą. Źródło przejrzyste i jasne tryska z głębin, w których oko się nurza, srebro nie błyszczy jaśniej, kryształ nie połyskuje świetniej nad wody jego. Płyną one wśród kamieni drogich rozrzuconych po brzegach, a najszacowniejsze klejnoty tu się walają jak glazy... Pola barwami malowane świetnemi, natura zdobi królewskim przepychem.

Wszyscy słuchali zachwyceni opisem Raju, aż biskup Pelka rzekł:

— Piękny jest Raj ten, lecz w pocie czuć pogannina, wołę św. Orjenta, gdy mówi o życiu przysłem.

Książę się zwrócił ku niemu, jakby pytał i żądał więcej, a biskup kończył:

— Nie powtórzę ja słów jego tak wiernie, jak mistrz Wincenty Awitusa, ale coś mi z nich w pamięci zostało i św. Orjent powiada: „Koniec nasz nie jest końcem, a śmierć, przez którą umieramy, sama nieustannie umiera. Duchem i duszą, które trwają i żyć mają wiecznie człowiek żyć będzie wiekuiście. Tak, człowiek wiekuiście żyć będzie, ale tu lży przewracają słowa, bo lepszym byłoby losem dla niego z żywotem się pozbyć boleści, a nawet zrodzonemu raz podobnym być tym, co się nie rodzi nigdy, aniżeli umarłym być dla żywota i żyć męczarniami w tych czasach niedoli, gdy grzech panuje światu. Nie sądźcie, proszę, aby srogość kary zmniejszoną była przez to, iż płomień sprawiedliwy prędko pożre winowajców. Patrzcie na one góry, które wieczne ognie trawia, palą się one zawsze, a nigdy spalić nie mogą. Patrzcie na świeże źródła i rzeki lazuruowe, płyną one ciągle, a wyschnąć nigdy nie mogą. Tak ogień wieczny żreć będzie złych, którzy w nim nigdy nie zgorzeją.

Po obrazie rajn Awitusa, ten drugi mąż piekielnych zachmurzył lice, a księżę przerwał żywo:
— Straszne to groźby, niestety. dla nas grzeszników!

— Bośmy myśląc o wieczności i trwogi jej mieć powinni—dodał biskup.—Lecz zaprawdę, za poważne to do stołowej rozmowy.

— Owszem—odparł Kaźmierz—żadna rozmowa miłsza być nie może. O śmierci myśleć potrzeba w każdej żywota godzinie.

— Tak, znikome jest wszystko—rzekł Cysters—i jak Proćper Tyro powiada: „wszystko co posiadamy przechodzi, co upłynęło nie wraca, próżności tego świata budzą dusz naszych ciekawość ludzaczemi pozorami, a w rzeczy są niczem.”

— Mój zaś Orientus w tąż śpiewa — dorzucił Pelka.—„Każdy dzień nas do śmierci zbliża, umieramy, gdy to mówimy, niedostrzeżonym pochodem krocymy do dni ostatka. Jak pochodnie woskowe, które z nocy dzień czynią, płoną od ognia powoli, a płomień je pożera, ludzkie rzeczy dokonywając się giną, a co żyje, niszczy i umiera.”

W tem M. Wincenty ujrzawszy posępniejące obliza, począł weselej:

— Różnie się ludziom różnym ten koniec przedstawia, jednym smutnie, drugim wesoło. I tak opowiadają^{*)}, iż raz na okręcie jednym filozof z błaznem płynęli. W tem zerwała się burza, dokoła świat cały oblokły ciemności; łoskot powstał okrutny, ludzkie się ozwały krzyki, bałwany srogie nawą miotać poczęły. Wiatry wściekle to go pogrążały w przepaście, to na falach wznosiły do góry, strącając z nich w mokre otchłanie...

Filozof widząc śmierć zbliżającą się, trwożyć poczynął wielce. Drżał o przyszłe kłopotząc się życie.

*) Krouika Wincentego.

Pewien był drugiego żywota, przecie mu i tego doczesnego żal było. Tymczasem błazen widząc, że już do stracenia nie ma, płasy wyprawiał, skoki dziwne i żarty szalone, ruchami śmiesznymi zabawiając potrwożonych. Aż oto burza ustawać zaczęła powoli. uspokoiło się wszystko. Naówczas błazen przystąpił do filozofa drwiąc z jego strachu, na co mu tamten odrzekł. — Nie miałeś się troszczyć o co, bo dawno jesteś stracony, ‘błazen nie stał o błazeńskie życie, jam się o żywot filozofa obawiał.

Rozśmiał księżę, astary Chmara rzekł:

— Ostрым językiem odciął mu się filozof; toć prawda, a no blazen to ma za sobą, że odwagi nie stracił.

— Filozofowi też trwogi tak bardzo za złe się mieć nie godzi—odezwał się Kaźmierz—bo wierzymy w żywot ów drogi, ale nam go ciemności śmierci zasłaniają, i choć przeczuwszy wiele, nie wiemy nic.

— Oprócz tego co nam chrześcijańska nauka podaje — poprawił Pelka. — Prudencjusz powiada: „Wierzymy, że ciało nie ginie, choć je grób pożera? bo Chrystus Pan wskrzesił ciało na krzyżu zmarłe i zaniósł je do tronu Ojcu, a przez to gościniec wytrzebił zmartwychwstaniu.”

— Rozwólcież — wtrącił cysters — abym do Prudencjuszwowych dołożył tu słowa św. Paulina z Noli, który o życiu przyszłem głosi: „Czeka ma dusza obmycia się z grzechu, drży mi serce pełne wiary, tętnią w niem więzy wszystkie. Duch mój w trwodze przyszłości lęka się, aby go nie spętały troski o ciało, by ciężar jego nie przygniótł go do ziemi, boi się, aby gdy trąba brzmiąca z otwartych ozwie się niebios, nie podolała skrzydły lekkimi unieść się na spotkanie króla, dźwignąć ku niebu do tysiąca świętych pełnych chwały, którzy z pęt świata wyzwoleni, ulatują lekko w przestrzenie ku gwiazdom wysoko! Niesieni na obłokach płynących między gwiazdami,

unoszą się w powietrzu, by pozdrowić króla niebios i połączyć się z jego zastępy jasnemi u stóp wielbionego Chrystusa."

— Ten to sam Paulin święty — przerwał Wincenty — powiedział pięknie: „Dusza, która ciała zniszczenie przeżyje, jest nieśmiertelną, dzięki jej niebieskiemu pochodzeniu. Zachowa więc uczucia swe i miłość swą z żywotem razem. Jeżeli umrzeć nie może, nie może zapomnieć, bo ma żyć wiecznie i wiecznie pamiętać."

— Al! — zawołał książę z uniesieniem. — Co za pocieszające słowa! — Wolno nam więc będzie kochać, cośmy miłowali, widzieć to, do czegośmy przywiązali się w życiu, spotkać druhów serdecznych, odnaleźć tam straconych ojców, braci, dzieci!

Chwilę milczano.

— To co pocziwiał miłością było w Chrystusie Panu — odezwał się Pelka — czemużby poza kres życia doczesnego przeciągać się nie miało? Wszak ci nie tylko dusza nieśmiertelną, ale i ciało ubłogosławione przywdziejemy znowu, a mój św. Orjent powiada: Mistrzu Wincenty! tyś mi to czytał, co czytasz, to pamiętasz!

Wszyscy się zwrócili ku Wincentemu, który skromnie rumienił się ilekroć do niego, jak do księgi się odwoływano.

— Pomnę to miejsce — rzekł. — Brzmi ono: „Przez nasze pobożne pragnienie i życie święte, stanicie się chwały godnymi w żywocie wiecznym i doczesnym tak, abyście uczczeni już przez pocziwiał żywot, który prędko upływa, po zgonie mogli wieczną chwałę pozyskać, albowiem, wierzajcie mi, a pomnijcie to, że wszystko co szalonym zdaje się znikomem, jest trwałem. Wiedźcie, że dusze wnikają w te same ciała znowu i wdzieją swe cielesne powłoki. Postawa, barwa, krew, żyły, skóra, kości, włosy, powrócą jak były. I nie tylko to, co kamienie spojone zachowały w grobach, co nie zepsutem prze-

chowną balsamy i prochy Arabij — i to co częścią w grobach leży, częścią w rzekach spłynęło, wszystko powróci prędzej, niż wyrzeczcie się słowo i stanie ciałem twardem. Co zniszczył wichur, co rozszarpały zwierzęta, co ogień strawił, co gruz przysypały, wszystko z rozproszonych części się połączy, choć je ptacy pożarli, ryby i dzikie potwory połknęły, wstanie na głos trąby Pańskiej."

— Al — zawołał słuchający z cbeiwością Kaźmierz — mnie na usta przychodzi ów rytm św. Augustyna o raju, który do moich modlitw należy:

„Serce moje spragnione chce się orzeźwić
„u źródeł żywota, dusza pragnie skruszyć wię-
„zy ciała, które ją zakuty w niewolę i jak
„wygnanka płonie żądzą powrotu do ojczyzny,
„ucieczki."

— Al miłościwy książę — przerwał Chmara — zlitujcie się, nie uciekajcie sierotom, potrzebniście nam!

— Niech Bóg da mu żywot najdłuższy — podchwycił Pelka — a o końcu myśleć nie szkodzi nam wszystkim.

— Nie zapominam o nim — mówił Kaźmierz — sposobię się doń, a choć Opatrzność Boża i ten mój pobyt na ziemi szczęśliwym uczyniła, przecie prawdziwej szczęśliwości tam dopiero wyglądam.

— Bo jej na ziemi być nie może — odparł Wincenty — ani cienia nawet! Nie ma tu chwili jednej bez kropli goryczy.

— Tak, ojciec mój, wielka to prawda! we wszystkim co tu nas spotyka, na dnie żółć i ocet się znajduje, po największej rozkoszy największy ból ogarnia; wiecznie tu tęskniemy, pragniemy wiekniście i ze spaloną wargą do źródła przyjdziemy!

To mówiąc Kaźmierz smutnie się uśmiechnął.

Stała przed nim ulubiona czara jego, misternie ze złota wykuta, pięknymi barwy obleczone, którą mu z Francji przywieziono w подарunku. Zdobił ją

dokoła biegnący napis Teodulfa biskupa Orleanu, który, że wiele pisał o sprawiedliwości, książę go sobie często czytać kazał i wysoce pisma jego szacował. Dlatego Cystersi, którzy tę czarę kazali robić dla księcia, wyręć na niej dali napis łaciński przez Teodulfa niegdyś ułożony:

„Ty coś niegdy wodę przemienił w wino,
„dając jej smak i barwę jego, pobłogosław tak
„rękami swemi tę czarę naszą, a spraw byśmy
„długo dni używali szczęśliwych.”

Wichfried stał właśnie za księciem, godzina była spóźniona, Kaźmierz pomyślałszy trochę, jakby się wahał czy jeszcze jedną wychylić czarę — podał ją z uśmiechem, pełniącemu podczaszego obowiązku.

— Nalej, Wichfriedzie, ostatnią! — rzekł — i idźmy na spoczynek!

Z pewną bojaźnią i pomieszaniem Wichfried przyjął czarę z rąk księcia, poszedł z nią gdzie stało wino, pochylił się.

Czy wino ciekło powoli ostatkami, czy nie mieć czarę wymywał, zabawił trochę długo, aż Kaźmierz, który rękę wyciągniętą trzymał, zawołał:

— Wichfriedzie! wina!

Podczaszy zwolna niósł nalaną czarę, a gdy książę do ust ją przykladał, schylił się szepcząc mu coś na ucho.

Jeszcze nie dokończył pić Kaźmierz, gdy złota czara z rąk mu wypadła, pochylił się na siedzeniu, głowa zwisała za poręcz, oczy stanęły słupem, drgnął tylko i ciężarem całego ciała na ziemię się obalił.

Wszyscy się rzucili ku niemu, pierwszy Wichfried przerażony, obejmując go rękami. Zerwali się biskupi, powstawali ziemianie, runęły ławy, rozruch się stał straszny, trwoga niewysłowiona... Wołano wody, lekarza!

Kaźmierz leżał już blady, zsiniały, martwy, za-

bity jak od pioruna, który mu nie dał jęknąć ni wymówić słowa.

Nikt wierzyć nie chciał zrazu, ażeby ten, który przed chwilą pełen był życia, mógł do tej wieczności, o której marzył i rozprawiał, przejść w jednym okamgnieniu. Odeierano go, oblewano, wodą, klękli do koła dworzanie, podnieśli na rękach płacząc.

Trupem już był zastygłym i zimnym.

Dziwną łaską jakąś twarz ta, którą dłoń śmierci dotknęła tak gwałtownie, nie miała na sobie śladów żadnej walki z życiem, żadnej męczarni, ani cierpienia. Błogi spokój ją oblewał, zdawał się uśpionym, powieki nawet same mu na oczy zapadły, a usta zdawały się uśmiechać.

Po chwili osłupienia rykiem boleści rozległ się zamek, podwórca, miasto.

— Kaźmierz nie żyje!

Noc to była straszna, zamętu, popłochu, łez przerażenia. Na wszystkich spadł ten cios, jak kamień z niebios w dzień pogodny. Co się stanie z królestwem? Co z Krakowem? Co z przyszłością? Co mieli poczynać biskup, starszyzna, ziemianie, dokąd i do kogo się obrócić?

Gdy u nóg martwego pana i małżonka leżała pół martwa, rozpadając się z żalu, drąc na sobie szaty Helena z trojgiem dzieci, biskup Pełka i Mikołaj wojewoda musieli już lży polykając radzić, aby uchronić sierotom ich ojcowiznę, niedopuszczając czychającego na nią Mieszka.

Noc majowa nie dobiegała do końca, gdy już na biskupstwie zebrała się rada i z rozpaczą w sercu, z trwogą w duszy, starsi o losach rodu i narodu radzić musieli.

A każdemu słowu niemal towarzyszyły okrzyki.
— Sieroty jesteśmy! sieroty, nie pana straci-
liśmy — ojca!

Któż taką chwilę boleści narodu całego odma-
lować potrafi?

Gdy w nocy zawrzało na zamku i krzyki się roz-
legły straszne, a żałobne dzwony miasto rozbudziły,
kto żyw wybiegał w ulice. Jedni drugim podawali
wieść nie do wiary.

— Książę umarł. Umarł pan i ojciec nasz...

Nie chcieli wierzyć ci, co go kochali, biegli
pół nadzy na zamek, gdzie ciało jeszcze w ubra-
niu uczotwem nietknięte leżało otoczone płaczą-
cemi...

Wichfried włosy rwąc na głowie, o ściany
się rozbijał z rozpacz. Dziwne wieści krążyły
podawane cicho z ust do ust. Pelka go kazał przy-
wieść do siebie. Zamknęli się w izbie osobnej, sły-
chać było głosy podniesione, jęki i wołanie, i jakby
padanie na ziemię, a gdy Wichfried odszedł, biskup
powrócił niemy, błądy nie mogąc się na nogach
utrzymać. Niemiec wprost do klasztoru na Tyniec jak
pokutnik powlókł się piechotą.

Nim ranek nadszedł, Kraków cały był jedną
izbą żałobną, jęki i zawodzenia słyszeć było
wszędzie.

Na dworze Doroty z wieczora pozapalano światła,
służba przybrana stała, gospodyni strojna wyglądała
oknami na drogę ku zamkowi.

Gdy na mieście uderzono we dzwony i krzyki
się słyszeć dały, Dorota na próg wybiegła.

Ulicą leciał człek bez nakrycia na głowie,
rozpasany, z włosami rozwianymi i wołał nieprzy-
tomny:

— Pan nie żyje? pan umarł!

Wdowa zabiegła mu drogę. Powtórzył jak
obłąkany.

— Sieroty my! pan nie żyje! U końca uczy-
czarę do ust niosąc, skonał!

Z krzykiem dzikim Dorota nazad rzuciła się do
domu i na progu padła zemdlona. Ztąd ją na ręce
wzięły sługi i na łóżko zanosły.

Wśród tego zamieszania jakie po zgonie księ-
cia panowało, około południa następnego dnia bra-
cia z Tęczyna nie zapomnieli skorzystać z chwili,
na którą oddawna oczekiwali. Oddział ich ludzi
otoczył dwór Doroty i pochwyconą powieziono do
Tęczyna.

Tu u wieży, która potem przez długie wieki
od imienia nieszczęśliwej zwała się Dorotką, bra-
cia zamknęli ją, ażeby więcej rodowi ich sromu
nie czyniła *). Żyła w tem więzieniu pokutując
szalona niewiasta lata długie, więcej już nie widząc
świata.

Stach, który w gorączce ciągle marzył o otruciu
pana, tej nocy złowrogiej nie dowiedział się o śmierci
jego. Żegieć mu ją utulił, uspokajając jak umiał tem,
że wołanie i bicie we dzwony było resztą wielkiej
uroczystości i uczy zamkowej.

Benedyktyn dopiero, gdy ranę przyszedł opa-
trywać, z zapłakanemi oczyma na pierwsze zapyta-
nie o wrzawę w mieście, odpowiedział z rezygnacją
mnicha.

— Módl się za duszę pana, którego Bóg wziął
do swej chwały.

Padł twarzą na ziemię Stach nieprzytomniały
z bólu; wróciła gorączka zaogniła się rana, ale nie
przeznaczonem mu było życia tak rychło dokonać.
Powoli znowu zbliżniać się zaczęła rana, wróciły
siły, tylko nie ochota do nowego życia.

Stach mógł odzyskać dawne nazwisko swoje,
chciał Pelka go umieścić u brata wojewody; nie

*) Paprocki: „Herby.”
Stach z Konar. Tom IV.

przyjął tego znekany człek, który ciszy i pokoju pragnął. A że wiek mu do klasztoru wstąpić nie dozwalał, pozostał w mieście wzięwszy szatę pokutniczą, więcej żyjąc w kościele, niż z ludźmi, milczący, dogorywający już tylko.

Gdy na Wawelu dzwony uderzyły zwiastując zgon pana, a głos ich doszedł do murowanki za Wisłą, Jagna, która na łożu swem w pół drzemiała, pół marzyła, otworzyła oczy, tęgnęła silnie dłoń przyciskając do piersi, i nazajutrz sługi znalazły ją uśpioną na wieki.

K O N I E C.

Drezno, 1879

MUSEUM
JIK
276

